

HELEN SCHULMAN

POSTSCRIPTUM

Bruce'owi!

Zoe!

Isaacowi!

Autorka pragnie podziękować za wsparcie i silną wiarę Sloan Harris, Karen Rinaldi, Elizabeth Gaffney, Rodzicom, a także Elissie Schappel, Dani Shapiro, Ilenie Silverman i przyjaciółom z GQ, Joan Aguado, Philomenowi Lancasterowi, Bruce'owi Handy oraz - jak zawsze - niezwykłemu bratu, Charliemu Schulmanowi

Louise Harrington czas dłużył się między jednym łykiem wody a drugim. Przez okno jej gabinetu przesączało się wczesne lato, a kiedy spojrzała między stosami teczek, które piętrzyły się na parapecie niczym miniaturowa budowla na tle nieba, zobaczyła, że świat poza jej biurem wypełniają chłopcy.

Niechlujnie ubrani, z bandankami na głowach, rozpościerając dłonie, skakali niczym ogary, wyrzucając w powietrze krążki frisbee; rozebrani do pasa, brzdąkali na bongo, harmonijkach i gitarach; siedzieli zgarbieni na trawniku, kościste obojczyki prowokacyjnie sterczały pod obszarpanymi, przepoconymi podkoszulkami, melodia, wygrywana z całego serca, otulała ich niczym opiekuńcze skrzydła; śpiewali, fałszując niemiłosiernie; porozkładali się na betonowych murkach, na murawie, podłożywszy pod głowy zwinięte w kłębek swetry, torby i dżinsowe bluzy; wygrzewali się w słońcu; jedni z podwiniętymi nogawkami dżinsów na owłosionych łydkach, a inni w szortach, brodzili w fontannie, rozkoszując się ciepłym wietrzykiem. Drzemali, palili, czytali Nietzschego, Derridę i W drodze Kerouaca, słuchali piosenek z walkmanów i tranzystorów, które robiły im zamęt w głowach; sączyli kawę i ciskali za siebie puszki po piwie; jeden pił mleko prosto z kartonu, jakby stał przed otwartą lodówką w maminej kuchni; snuli się, wpatrywali się w inne, pełne szczęścia oczy. Wydawało się, że są ich setki, klejących się do setek wiotkich dziewcząt w kusych spódniczkach; setki świeżo skojarzonych młodych par mrowiły się na imponujących kamiennych stopniach biblioteki uniwersytetu Columbia. Byli o połowę młodszy od Louise. Odnosiło się wrażenie, że wciąż ich przybywa. Co stało się z jej życiem?

Pochyliła głowę nad podaniem, które położyła na kolanach. Ten kandydat chciał na przykład studiować rzeźbę, zamierzał zostać magistrem sztuki i wybrał tę świetną

placówkę, w której Louise właśnie wczoraj objęła stanowisko pełniącej obowiązki pełnomocnika do spraw rekrutacji. Urodził się w 1979 roku, skończył niedawno Bennington College i zamierzał pracować z metalem, odlewać swoje dzieła. Szczupłymi palcami bez ozdób Louise przerzuciła trzy listy polecające dołączone do podania, zatrzymała się dłużej nad esejem chłopca, poświęconym majestatycznym sylwetom wież World Trade Center. „Duchowa esencja tych architektonicznych gigantów na zawsze odcisnęła się w moim mózgu - pisał chłopak. - Stała się moją muzą”.

„Duchowa esencja”, „odcisnięta w mózgu”? Grafoman czy schizofrenik? Wróciła do listów polecających (nikt nigdy nie traktował ich serio, chyba żeby któryś przestrzegał, iż kandydat jest psycholem, albo żeby został napisany przez samego papieża lub co najmniej przez Richarda Serre), obejrzała dołączone przezrocza, nie najlepsze świadectwo z college'u, sprawdziła czek na siedemdziesiąt pięć dolarów na rzecz uniwersytetu Columbia i włożyła podanie do teczki w kolorze zielonym, czyli zawierającej komplet dokumentów - do oznaczania obiegu teczek używała okrągłych kolorowych naklejek (czerwonych, żółtych i niebieskich; Louise lubiła czystość kolorów podstawowych) - i odłożyła teczkę na bok, dla pierwszego z trzech docentów, będących podstawową kadrą Wydziału Sztuk Pięknych, do których trafiały papiery kandydatów. Doświadczenie mówiło jej, że teczka wróci do niej w rekordowym czasie jak akademicki bumerang, poplamiona kawą, upstrzona resztkami klusek, z odciskami palców, jakie zostawiają zarejestrowani przestępcy i czytelnicy „New York Timesa”, co miało stanowić niechlujny dowód, że dokumenty zostały uważnie przestudiowane. Tymczasem papiery chłopaka z Bennington w najlepszym razie zostaną pobieżnie przejrzone. Może po drodze z New School na Columbię, na ósme w tym tygodniu seminarium,

ktoś podniesie przezrocza w górę i rzuci na nie krytycznym okiem w ruchomych światłach autostrady.

Louise znów wyjrzała przez okno. Przyglądała się młodym, beztroskim studentom: zajęci byli swoimi sprawami, robili to, na co mieli ochotę. A ona? Kto mógłby ją winić za wybory, jakich dokonała?

Wyszła za męża. Ona była zbyt młoda, on za stary. W tym zapewne tkwił problem. Dlatego im się nie ułożyło, chociaż na początku było tak wspaniale. Kiedy się pobierali, Peter nie był stary w dosłownym sensie tego słowa, nawet teraz trudno byłoby go nazwać starym. Nie wyszła przecież za wdowca z gromadką dzieci, za tłuściocha z grubym portfelem, ważnymi przyjaciółmi i drogim samochodem, faceta, który w weekendy kładł się na kanapie i słuchał muzyki klasycznej. Nie poślubiła kogoś w wieku swojego ojca, na litość boską. Dzięki Bogu, zabrzmiały jej w uszach słowa matki. Mężem Louise został profesor, którego wykładów z astronomii słuchała. Rozwiodła się z nim przed czterema laty, po dziesięciu latach wspólnego życia, i może dlatego wylądowała tu, gdzie wylądowała.

Wstała, przeciągnęła się i wychyliła przez otwarte okno. Czy któryś z tych smarkaczy na dole był świadom jej obecności, jej tęsknot i pragnień? Z dumą pomyślała, że ciągle jest atrakcyjna, dzięki aerobikowi miała świetną figurę, zachowała dobrą kondycję. Czy któryś z nich pomyślał, zauważył, że ona, dopiero co mianowana na to prestiżowe stanowisko, lecz przecież życzliwa nowicjuszom, pracująca dla ich dobra, stoi tam, na piętrze, w gabinecie, że decyduje o ich przyszłych losach, biedzi się nad ich życiorysami i podaniami? Samolubne dzieciaki. Dlaczego nie zwracali na nią uwagi? Tkwiała w swoim biurze uwięziona niby Długowłosa w wieży i męczyła się, czytając kolejne podania. Czy któremuś z nich przyszło do głowy, że kobieta, do której zwracali się „pani wybaczy”, kiedy któryś przypadkiem

potrącił ją na schodach, była niegdyś równie młoda i egzaltowana jak oni? Studentka, która odważyła się poderwać nauczyciela.

Peter Harrington, eksmaż, był nadal serdeczny, dobry, jak zawsze błyskotliwy. Przystojny, o wyostrzonych z latami rysach, szeroki w barach, wąski w biodrach, wyhodował tylko nieznaczny brzusek. Mogła polegać na Peterze, należał do ludzi statecznych, budzących zaufanie, zaliczał się do cenionych specjalistów w swojej dziedzinie. Nadal był jej najlepszym przyjacielem - to jedyny prawdziwy przyjaciel, znów zabrzmiały jej w uszach słowa matki - i nadal wykładał fizykę na tej samej uczelni, na której pracowała, wyłuskując z grona chętnych przyszłych artystów, wyławiając, niczym poszukiwacze złota, najmniejsze samorodki talentu. Często jadała z Peterem kolacje w którymś z wynajętych przez uczelnię mieszkań, zamawiała dania do domu albo Peter coś gotował, a potem do późnych godzin rozmawiali, aż któreś na wpół sennym głosem zadawało pytanie, dlaczego ich małżeństwo się rozpadło. Nigdy nie kończyli tych rozmów w łóżku. Spotykała się po rozwodzie z różnymi facetami, szczerze mówiąc, spotykała się i przed rozwodem, ale teraz od bardzo dawna z nikim nie spała.

Powietrze za oknem było przesycone zapachem kwitnących wiśni, świeżo skoszonej trawy i ostrym dymem marihuany; każdy jego powiew doprowadzał Louise do szału, tak że ścisnęła nogi i zagryzała wargi. Jej nowy gabinet, szary i schludny, świadczył o dobrym guście poprzedniczki; zdobiły go pnąca bluszczu zwisające z doniczek z mchem, śliczna stara porcelana - zastawa do herbaty, małe pękate imbryki, filiżanki i spodeczki, ustawione pionowo pięknie zdobione talerze - na ścianach wisiały staromodne ryciny przedstawiające jabłka, gruszki, paprocie. Wszystko w odcieniach delikatnej zieleni i bieli. Niezupełnie odpowiadało

to gustom Louise - wolałaby coś skromniejszego - ale akurat tego ranka pomagało jej wtopić się w akademickie otoczenie. Po południu jednak świeży, poranny powiew wiatru zamienił się w nieznośną duchotę. Louise zrozumiała, dlaczego jej poprzedniczka któregoś równie pogodnego dnia w ubiegłym tygodniu z krzykiem wybiegła z tego pomieszczenia, przysięgając, że jej noga już tu nie postanie. Lojalna, odpowiedzialna, dwa dni, w miniony czwartek i piątek, instruowała Louise przez telefon, wprowadzając ją w nowe obowiązki. Powiedziała, że zamierza przenieść się do zielonej, falistej Wirginii, otworzyć sklep z osobliwościami i antykami i nareszcie żyć jak człowiek. Louise miała zbyt wiele pytań natury administracyjnej, technicznej, żeby zadać to najważniejsze: co to dla niej znaczy żyć jak człowiek? I dlaczego ona tego pragnie?

W powietrzu czuło się teraz oleisty, ciężki smród śmieci i zapach kebabów z ulicznego wózka, tak charakterystyczne dla górnego Broadwayu, przytłaczające życiodajne wonie wiosny. Louise przełożyła stertę teczek na podłogę, wstała i wychyliwszy się przez okno, wzięła kilka głębokich oddechów, uniosła ramiona, tak że wiatr przewiewał jej prostą lnianą sukienkę w ciekawym jasnożółtym kolorze, kupioną u Barneya w chwili słabości. Czasami pozwalała sobie na takie posunięcia - nierozsądne, głupie, próżne lub nawet szalone - w nadziei, że odmieniają w jakiś sposób jej życie. Przypomniała sobie, jak Peter zakpił z niej - nie bez okrucieństwa - kiedy kilka tygodni temu jedli zaaranżowany naprędce między wykładami lunch na schodach biblioteki uniwersyteckiej, widząc, jak Louise trzyma swoją pizzę z dala od ciała, by nie pobrudzić idiotycznej drogiej sukienki.

- Wydałaś na nią pewnie całą tygodniówkę - roześmiał się, wycierając usta lnianą chusteczką, którą podarowała mu na ostatnią rocznicę ślubu. Od rozwodu nie celebrowali już

tego dnia, ale Louise nigdy nie miała go zapomnieć. - Dla kogo się tak stroisz? - dodał bezlitośnie. - Dla studentów?

Musiałaś sobie na to zasłużyć - usłyszała znowu głos matki, krzykliwy i natrętny. - Może Peter miał zły dzień, pewnie miał okropny dzień, jeśli powiedział coś takiego, a ty go musiałaś sprowokować, Louise, albo może źle go zrozumiałaś. Peter nigdy się tak do ciebie nie odnosił, nawet do hycła by się tak nie odezwał. Do hycła? Są jeszcze na tym świecie hycle? Łapacze psów? Są łapacze piłek bejsbolowych. Są łowcy snów, mamó, myślała Louise, słynni dziennikarze, wydawcy magazynów mody, patologiczni kłamcy, którzy biją pianę w piosenkach pop, są też łowcy chłopaczków; a może Peter był łowcą chłopaczków, mamó, może był z tych pieprzonych instruktorów sportowych, co to uganiają się po szkolnym boisku za prymusami, którzy napastowani, nie wiedzą, czy śmiać się, czy płakać, bo tak czy owak, mają przerabane. Louise usiłowała wyobrazić sobie Petera uganiającego się po boisku za jakimś bladolicym, skrajnie wyczerpanym wzorowym uczniakiem, ale jakoś nie mogła. Peter był także wzorowym uczniem i sportowcem, jego kariera szkolna była typowo amerykańska - bramkarz szkolnej drużyny piłkarskiej, w szóstej i dziewiątej klasie laureat stanowej olimpiady w dziedzinie nauk ścisłych, po maturze stypendysta Westinghouse, cieszący się zaufaniem rówieśników, członek samorządu szkolnego, wrażliwy gnojek. Obciążony nadobowiązkowymi zajęciami, niezwykle popularny, z głową w chmurach, nie miał czasu ani potrzeby, ani nawet technicznych możliwości, by przeznaczyć choć chwilę na uganie się za kimkolwiek. Może więc matka miała rację, może rzeczywiście Peter miał zły dzień i dlatego był podły dla Louise, kobiety, która była kiedyś jego żoną i którą podobno kiedyś, jak sam twierdził, kochał. Louise życzyła Peterowi, aby miał jak najgorszy dzień, skoro zepsuł

jej dzień swoimi kąśliwymi uwagami, i życzenie to nie było nierealne, ponieważ była przekonana, a właściwie pewna, że podobnie jak ona sypiał sam. Ta mściwa myśl sprawiła jej przyjemność. Złośliwą przyjemność. Nie napawała jej dumą, ale poczuciem winy też nie.

Znów wciągnęła głęboko powietrze; czuła, jak popołudniowa bryza owiewa jej szyję, chłodzi spocone pachy. Nigdy nie nosiła stanika i teraz, mając trzydzieści osiem lat, była pewna, że nigdy nie będzie nosić. Ubieram się tylko dla siebie, do cholery, pomyślała i ostrym ruchem zatrzęsnęła okno.

Praca czekała. Kolejne podania. Odwróciła się gwałtownie w stronę biurka - białe arkusze po tygodniu suszy żółkły niczym starodruki i połamały się na brzegach, posypując papierowymi płatkami pudełko na listy z popękanego fajansu z Delft - i trąciła łokciem stertę teczek. Tym łokciem, który Peter, zawsze gdy się wykąpała, zwykł był nacierać balsamem. Ruchem domina teczki posypały się na podłogę i wypadły z nich wszystkie wypełnione długopisem lub piórem formularze, na których wyraźnie zaznaczono wytłuszczonym drukiem: WYPEŁNIAĆ TYLKO NA MASZYNIE. Na podłodze powstał prawdziwy galimatias. Louise z trudem powstrzymywała się od płaczu.

Walczyła ze sobą, ale w końcu się poddała, z jej gardła wydobył się suchy szloch.

Po chwili, czując się głupio i śmiesznie - prawdziwa ciamajda, usłyszała matkę - nachyliła się i zaczęła zbierać rozsypane dokumenty. Warshofsky, Evans, Aguado... Układała je w porządku alfabetycznym. Przyszli artyści i artystki, ich niebotyczne nadzieje, ich nabrzmiałe wzruszeniami serca. Kiedy skończy się dzień i opuszczą szkołę, ci, którym dopisze szczęście, wylądują w jakichś galeriach, będą się ubierać u Miguela Aldovera i cały dzień

popijać kawę z ekspresu. (Czy nie byłoby to idealne życie dla Louise? Musi się nad tym zastanowić). Pechowcy staną za barem w knajpie albo będą prowadzić zajęcia plastyczne w podstawówkach. Co pewien czas w którymś roczniku objawi się geniusz, albo przynajmniej finansowy geniusz! - plotka głosiła, że Jeff Koons skończył Columbię pod innym nazwiskiem, choć on kategorycznie temu zaprzeczał toteż podania napływały nieprzerwanie: jesienią, wiosną i latem. Zima była czasem innych zajęć. Lód i śnieg, kilka kilogramów nadwagi, egzystencjalne męki. Niepokoje.

Aguado, Evans, Warshofsky. Nareszcie we właściwym porządku. Coś się jej jednak udało. Wykonała jakąś pracę. Podniosła kolejną teczkę: Feinstadt Scott.

Serce Louise na chwilę zamarło. Potem znowu, i znowu. Objaw zespołu wypadania płątka zastawki mitralnej, dobrze jej znane zastygnięcie najważniejszego narządu jej ciała, jakby potknięcie tancerki. A potem łomot w piersiach, ciężkie rozpaczliwe uderzenia ptasich skrzydeł, jakby to biedactwo (jej serce) tłuło się o przeszklone drzwi patio.

Louise wstrzymała oddech. Scott Feinstadt. Pogładziła dłonią teczkę.

Jeszcze jako młoda dziewczyna, kiedy mieszkała w Larchmont, знаła pewnego Scotta Feinstadta. Jej Scott Feinstadt był malarzem i grafikiem. Kochała go całe życie, bo czyż jej życie nie zaczęło się właśnie wtedy, pierwszego dnia w szkole średniej, kiedy obudziła się rano, myśląc: chcę wszystko wiedzieć, wszystkiego doznać! (teraz nie chciała nic wiedzieć, niczego doznawać). Kochała go z daleka, od pierwszej chwili, kiedy go zobaczyła, czyli w dniu rozpoczęcia nauki. Miał dziewczynę, Scott Feinstadt zawsze miał jakąś dziewczynę, piękną hipiskę, niejaką Robertę Goldman, która miała długie rude włosy, nosiła powiewne hinduskie suknie, pierścionki na palcach u nóg, kolczyki,

bransoletki na ramionach i ozdobny tatuaż na kostce lewej nogi. Kiedy oboje, Scott i Berta - jak ją nazywał - ramię w ramię wkroczyli tego pierwszego dnia do szkolnej auli, morze się rozstało. Usiedli w pierwszym rzędzie, tuż przed Louise. Scott też miał wtedy długie włosy, gęste, ciemne, związane w kucyk, już wtedy przetykane siwymi jak szron pasemkami.

Trzy lata później Bertę zastąpiła tancerka Trisha, a jej miejsce zajęła Theresa Longo, ciemnooka córka właściciela jedynej włoskiej restauracji w Larchmont. Kiedy rozstał się z Theresą, która wróciła do kuchni, przyszedł czas Louise. Scott Feinstadt należał teraz do niej. Randkowali ostro tamtego lata, gdy Louise przeszła do ostatniej klasy. Scott wrócił właśnie do domu po kilku miesiącach spędzonych we Włoszech, rodzice i babka odmówili dalszego przesyłania mu pieniędzy, które stanowiły zaliczkę na poczet przyszłego spadku, wrócił więc i zaczął pracować w nowo otwartych delikatesach Cheese Bazaar, żeby zarobić na studia. To tam miejscowe gospodynie odkrywały ser jarlsberg, kupowały quiche, kiwi, sos pesto i domowy makaron. Tam chodziło się na ciasto marchwiowe i „świeżo mieloną” kawę. Tam Louise i jej przyjaciółki chroniły się przed słońcem, tam chodziły na mrożony jogurt po „General Hospital”, a po rannych godzinach wcierania soku z cytryny we włosy, wargi i uda siedziały godzinami na słońcu, czytając najcieńsze z cienkich powieści i opasłe kolorowe magazyny.

Ponieważ Louise kochała Scotta na odległość, kiedy był w szkole i kiedy był za granicą, a jeszcze bardziej, gdy wrócił i podjął pracę w Cheese Bazaar, zdarzało się, że zachodziła tam nawet dwa razy dziennie, przed obiadem i po. Aż wreszcie Scott zaproponował jej randkę. Czekala na niego, aż sklep zostanie sprzątnięty i zamknięty, a potem kilka godzin jeździli po okolicy jego starą rozklekotaną czerwoną furgonetką, a Scott ciągle wtrącał włoskie słowa: molto bene, grazie bella.

Wysłuchiwała jego barwnych opowieści i odgarniała mu niesforne siwe rozwichrzone pasemka włosów z czoła. Zerwali ze sobą kilka tygodni przed jego wyjazdem na Rhode Island do szkoły sztuk pięknych.

„Tak będzie uczciwie wobec ciebie - oznajmił Scott, siedząc za kierownicą swojej czerwonej furgonetki, potem jak Louise obciągnęła mu pałę. - Nie chcę cię wiązać. Chcę, żebyś miała szalone, pełne przygód życie”.

Ona i szalone, pełne przygód życie!

Zginął w drodze na Rhode Island. Wypadek na autostradzie.

Nie dotarł do szkoły, nie miał szans przekonać się, jakim jest artystą, nie miał czasu pożałować swojej decyzji, ocknąć się, wrócić na kolanach do Louise i prosić o wybaczenie. Nie zdołał nawet za nią zatęsknić.

Ją też ominęło wielkie wyróżnienie. Nie była już jego dziewczyną, w chwili gdy umierał. Pod koniec lata Scott Feinstadt zaczął się spotykać z jej najlepszą przyjaciółką Missy i w ten sposób pozbawił Louise wdowiej godności, którą Missy napawała się długie lata.

A jednak Louise opłakiwała Scotta przez całe pół roku. Płakała dzień i noc, wypłakała wszystkie łzy. (Od tamtej pory w złych chwilach tłumiała szloch, krzyczała, ale nigdy już nie uрониła ani jednej łzy). Błada i uduchowiona, w długich białych bluzach z grubej bawełny lub cienkiego jedwabiu, snuła się po szkolnych korytarzach jak Ofelia; dzinsy od Fiorucciego wisiały na niej jak na kołku. Oczywiście wszyscy chłopcy zapraszali ją na studniówki, chcieli odwozić ją do domu samochodem i pieprzyć się z nią. Tej wiosny i lata Louise była popularna jak nigdy. Ale jej nie zależało. Teraz jej zależy, a wtedy nie. Odrzucała z pogardą kolejnych amantów i ich propozycje i samotnie przemierzała ulice Larchmont w drodze ze szkoły, zostawiając za sobą złamane serca. Wreszcie

poszła do college'u, gdzie nikt nie znał jej tragicznej historii, i poczuła ulgę. Była anonimową postacią miała wrażenie, że zapadła się w głęboką zaspę śnieżną i nikt tego nie zauważył, dopiero późne wiosenne roztopy odsłonią jej ciało. Wtedy pojawił się Peter i uratował ją.

W przeciwieństwie do beztroskich młodych ludzi, nastolatków, których widziała z okna swojego biura, prawdopodobnie nie wierzyła w siebie, brakowało jej pewności. Nie wiedziała, gdzie postawić stopę, jakby wspinając się po schodach swojej młodości, dotarła na chmurę, na której niebezpiecznie jest stanąć. W tamtym czasie nie mogłaby związać się z kimś równie młodym i słabym jak ona. Potrzebowała nie chłopaka, lecz mężczyzny.

Był rycerzem w lśniącej zbroi. Peter. Wszyscy tak uważali: jej koleżanki, stadko zazdrosnych, ambitnych piękności, otaczających wianuszkami jego katedrę, i oczywiście pani Harrington, która go urodziła. Tylko nie matka Louise. Ellie Silverstein przez pierwsze pięć lat małżeństwa córki próbowała wyperswadować jej ten związek, przez następne pięć przekonywała, że należy go ratować. Jakim sposobem matka potrafiła z taką dokładnością podążać drogą wzlotów i upadków życia uczuciowego Louise? Dzięki przenikliwej inteligencji i znakomitemu wyczuciu sytuacji.

„Jak na Amerykanina z protestanckiej rodziny to bardzo miły chłopak, ale ty nie dałaś sobie innej szansy” - zwykła mawiać na początku, potem diametralnie zmieniła zdanie: „Musisz spróbować jeszcze raz, Louise. Tacy jak Peter nie rodzą się na kamieniu”.

Istotnie. Scott Feinstadt, a potem ci inni, z którymi spotykała się w pierwszych miesiącach po rozwodzie, szybko odpływali w niebyt. Oni rodzili się na kamieniu. Seksowni, uwodzicielscy, pojawiali się na pęczki w każdym pokoleniu. Byli bystrzy, samolubni i lekkomyślni. Świetnie się

prezentowali w swoich znoszonych, poplamionych farbą dżinsach. Kiedy dorastali, jeśli w ogóle dorastali, zostawali korespondentami wojennymi, producentami filmowymi, grafikami animacji komputerowej: bogaci, leniwi, rozpieszczeni i bezwzględni. Ciągłe gdzieś podróżowali - Bali, Maroko, Bhutan - beznadziejnie zakochani w jakiejś dziewczynie z Korpusu Pokoju, irańskiej fotoreporterce albo w olśniewającej ciemnoskórej aktorce, która dostała akurat rolę w ambitnym serialu - w kobiecie, która nimi pomiatała, do tego stopnia nimi pomiatała, że w końcu oni musieli zacząć pomiatać tobą, ci wspaniali Scottowie Feinstadtowie. Romansowa zasada domina, jak mówiła niegdysiejsza przyjaciółka Louise, Missy: „Samotne kobiety stają się składnicą poronionych romansów”.

Nie byli tacy źli, w każdym razie nie nosili w sobie zła. Byli po prostu niedojrzali, zbyt popieprzeni, obsesyjnie spragnieni nowych miłości. Co innego profesor Peter Harrington. On był uczciwy. Małżeństwo Louise uchodziło za staroświeckie w oczach jej rówieśnic - których matki, podobnie jak jej matka, zaprzeczyły same sobie, wychodząc za mąż zbyt wcześnie, podporządkowując własne potrzeby i pragnienia mężom i dzieciom, po czym zostały porzucone dla zezowatych kocmołuchów - stanowiło przejaw swoistej kontrkultury. Miało własną, tajemniczą élan. Ale matka trwała w przekonaniu, że Louise źle wyszła za mąż, źle i zbyt młodo. I znów okazało się, że miała rację, co Louise doprowadzało do szału.

Wiele czasu minęło od tamtych dni, kiedy Louise była jeszcze studentką, a Peter ambitnym asystentem, może geniuszem, jak wszyscy twierdzili: koleżanki z jej roku, które chodziły na wykłady z astronomii i plotkowały w toalecie w przerwach między zajęciami, popalając ukradkiem papierosy, dziewczyny z akademika prażące kukurydzę w małej

kuchence na ich piętrze, lekko postrzelone studentki fizyki z długimi tłustymi blond włosami. W studenckiej gazecie nazwano go „największym mózgiem uniwersytetu”; Louise wyłowiła tę notatkę zaraz potem, gdy pierwszy raz spoczęło na nim jej spojrzenie, a później gorliwie szukała wszelkich informacji o młodym przystojnym wykładowcy, starając się, by jej ciekawość nie zwracała niczyjej uwagi.

Błyskotliwy naukowiec, którego prace publikowano, z szansą na dożywotni tytuł ledwie dobiegał trzydziestki. Prawie dziesięcioletnia różnica wieku - która z czasem cudownym sposobem skurczyła się do nieznamiennej statystycznej - wówczas wydawała się przepaścią, jakby smarkula z podstawówki chodziła z chłopakiem ze szkoły średniej czy uczennica ósmej klasy ze studentem ostatniego roku college'u. Mała Louise Silverstein, studentka ostatniego roku historii sztuki, czuła się dumna u boku poważnego profesora Petera Harringtona. W drugim semestrze drugiego roku zapisała się na jego zajęcia „Wszechświat i my”, mając nadzieję zaliczyć w ten sposób wymagany kurs nauk ścisłych.

Wyglądając przez okno, obojętnie już przypatrując się wytatuowanej piersi gracza, jego dziewczynie o czerwonych warkoczykach, kibicującej mu zza linii boiska, wspominała moment, kiedy Peter pierwszy raz zwrócił na nią uwagę. Tamtego odległego dnia wpatrywała się w wierzbę płaczącą za oknem sali wykładowej w centrum Ithaki, a kiedy się wreszcie ocknęła z zamyślenia i odwróciła wzrok, napotkała spojrzenie łagodnych piwnych oczu wykładowcy. Jak długo się jej tak przyglądał, czule i znacząco? Oczywiście Petera przypominały oczy zranionej sarny. Aż do tamtej chwili myślała o nim jako o „profesorze”, tak jak myśli się o „prezydencie”, „doktorze”, „gwiazdorze”. Zdawał się uosobieniem siły i wiedzy, tymczasem jego spojrzenie było ciepłe i bezbronne, aż nadto ludzkie. Z ust Petera, tak żywych,

pełnych śliny, bakterii, zza śnieżnobiałych zębów, płynęła jednak czysta poezja. Louise natychmiast pojęła, że te słowa przeznaczone są dla niej, że mają ją uratować. Słowa anioła: „Wapń w waszych kościach jest pozostałością wygasłych gwiazd”. Wtedy właśnie dwoistość postaci Petera - jego autorytet i otwarcie wyrażone pożądanie - która pociągała ją i odpychała zarazem jak bieguny magnesu, połączyła się w duszy Louise w jedno.

Zaczerwieniła się, zrobiło się jej gorąco, więc szybko wbiła wzrok w pustą kartkę i wzięła do ręki flamaster, który zazwyczaj leżał beczynnie na jej biurku. Włożyła jego koniuszek do ust, plamiąc na niebiesko wargi, co wyglądało, jakby nabiła sobie siniaka. Peter - jak później wyznał - zauważył tę plamkę! Kusila go! Teraz tym świeżo zwilżonym flamastrem narysowała niebieskie serce. Jak dzieciak. Była jeszcze tak dziecinna, że rysowała serca na marginesach. Udawała przy tym, że myśli. Że pograżyła się w intelektualnej zadumie nad głębokimi myślami wykładowcy. W głowie czuła zamęt. Nigdy żaden mężczyzna tak się przed nią nie obnażył. Czyżby stało się to za przyczyną jej nowych perfum? Jeszcze tego wieczoru kupiła trzy takie same flakoniki w prowadzonej przez hipisów drogerii w śródmieściu.

Dwa tygodnie później - dwa tygodnie, dwa kolejne wykłady i znowu spojrzenia, mniej błagalne, bardziej seksowne - odważyła się do niego podejść po zajęciach. Czekala cierpliwie w kolejce długowłosych, inteligentnych piękności tłoczących się wokół jego katedry, pocierając jedną bosą stopę o drugą. Miała na sobie minispódniczkę. Była wiosna, Louise nienawidziła butów i kiedy się tylko dało, chodziła po trawnikach i błotnistych ścieżkach kampusu boso. Gdy się trochę przeredziło, podeszła. „Panie profesorze - zaczęła. - Nie rozumiem pewnych rzeczy...” „Może da się coś na to poradzić, Louise - odparł Peter. - Proponuję, żebyśmy

poszli na kawę i przedyskutowali twoje wątpliwości". Pod Louise ugięły się nogi, poczuła skurcz brzucha, zacisnęła kolana. Profesor chce się z nią przespać. Czy to dopuszczalne? Cudowne uczucie grzeszności. Po dwóch filiżankach kawy i szczęśliwej godzinie w Collegetown Louise, nie wierząc samej sobie, leżała przytulona do Petera na swoim pojedynczym łóżku w pojedynczym pokoju akademika. Po pewnym czasie odważyła się zapytać Petera, co sprawiło, że posyłał jej tak jednoznaczne spojrzenia w czasie zajęć. Czy zadziałały perfumy? Może światło padające przez okno oświetlało w jakiś szczególny sposób jej rude włosy? A może wyczuł jej bezmierny smutek po śmierci Scotta Feinstadta? Aż do tej chwili Louise krążyła po uniwersytecie niczym niewidzialna zjawą, jakby fizyczny ruch jej ciała w przestrzeni nie potraçał najmniejszej drobinie otaczającego ją powietrza. Czegoś podobnego doświadczała teraz, prawie dwadzieścia lat później, na przykład tego ranka, kiedy zmierzając do swojego biura rekrutacji, mijała beztroskich studentów zupełnie przez nich niedostrzegana.

Wówczas jej niewidzialność została w cudowny sposób uleczona. A przecież z Peterem zmaćili tylko zastały spokój jej pokoiku; młody Peter okazał się wspaniałym kochankiem, wspaniałym, czułym kochankiem - widać niejedno na ten temat przeczytał - a jej to pochlebiało; cieszyła się, że zakochał się w niej profesor. Jakże się starał tamtej nocy; kiedy tulili się do siebie pod jej pojedynczą, lekką jak piórko kołdrą, a grahamkowe krakersy w otwartym pudełku między nimi kruszyły się od każdego ich ruchu, Peter wyznał, że od razu zwrócił na nią uwagę. Louise nie mogła uwierzyć we własne szczęście.

„Łania" - zwierzył się, że tak ją nazwał, ledwie ją zobaczył; strzepując okruszki i przyciągając bliżej jej miękkie, wilgotne ciało, wyszeptywał słowa niczym modlitwę w jej

alabastrową szyję. Tak o niej mówił przez wiele miesięcy, przesiadując do późnej nocy z najlepszym przyjacielem i współlokatorem Derrickiem - dwaj młodzi naukowcy pogrążeni w niekończącej się debacie nad etycznymi aspektami pieprzenia studentki. Po którejś sownicy podlanej szkocką nocą z Derrickiem - łania!, łania! - Derrick (na szczęście) wycofał się w zacisze swojego komputerowego laboratorium, a Peter został sam, godzinami wpatrywał się w nieustający romantyczny deszcz za zamglonymi oknami Ithaki, gdy tymczasem dojrzewiała w nim decyzja. Wydawało mu się, że zawsze dotąd szedł za tym, czego chciał. Kto nie ryzykuje, ten nie wygrywa! - powiedział sobie, a teraz leżał w jej łóżku, przywołując w myślach tamte chwile, wtulony w zagłębienie jej szyi, a jego wilgotny oddech zostawiał na jej skórze delikatny naszyjnik drobnych kropelek, jakby przycisnął usta do szyby; jego uczucia były szczere. A więc tamtego dnia w sali wykładowej rzucił się głową do wody, podniósł wzrok, spojrzał wprost w oczy Louise, jedyne wśród chyba sześćdziesięciu par oczu w tej sali, i wypowiedział swoją maksymę: „Wapń w waszych kościach jest pozostałością wygasłych gwiazd”. Wapń w jej kościach, mówił to do niej, dla niej; jej wapń, jej kości, przetworzona materia gwiazdna, energia niewykreowana i niezniszczalna, cała ta wielkość, poezja, spokój, mądrość buddyjska, naukowe teorie. Od dawna nie czuła się tak dobrze, związana z czymś ważnym, znów stała się częścią ogromnego wszechświata, uczestniczką życia. Kurs astronomii zaliczyła śpiewająco i jak wiele sławnych studentek przed nią poślubiła swojego wykładowcę. Była młoda, miała mgliste pojęcie o świecie, potrzebowała przewodnictwa. Peter był interesujący, serdeczny, coś już w życiu osiągnął. Na razie wystarczyło to im obojgu.

Jak się do niego mieli koledzy z uniwersytetu, z którymi zresztą nigdy się nie zadawała? Chłopcy podobni do tych, którzy hałasowali teraz pod oknem jej biura. Bez samochodów, dorabiający wieczorami jako kelnerzy i pomywacze w tanich barach, chłopcy, których może nie było stać nawet na papier toaletowy? Kiedyś Peter i jego współlokator trzymali pod umywalką w łazience tampaksy. Tak się wyszkolili. Były mąż, Peter, delikatny, inteligentny, pewny siebie, mądry. I może w tym właśnie tkwił błąd. Louise zrobiła „dobrą partię”. Miałaś wyjść za nieudacznika?, tłukły się jej po głowie odzywki matki. Może, może przy nieudaczniku zajaśniałyby jej walory?

Dość tych rozmyślań. Spojrzała na teczkę Scotta Feinstadta. Kim był ten tajemniczy kandydat na magistra sztuk pięknych, noszący imię i nazwisko jej dawnego chłopaka? Czy odważy się zajrzeć do środka?

W biurze zrobiło się gorąco, przez zamknięte okna świeciło słońce. Louise zaczęła się pocić. Sięgnęła do biurka po chusteczkę i wytarła pachy. Gładka, chłodna, jasnowaniliowa teuczka przesunęła się na jej kolanach niczym fala na żółtym wzburzonym morzu, ale zdołała podtrzymać ją kolanami. Wyrzuciła chusteczkę do małego oliwkowozielonego wiklinowego kosza na śmieci, gdzie rozkwitła jak biała róża. Louise wzięła głęboki oddech i sięgnęła po teczkę.

Feinstadt. F. Scott.

F. Scott? Nazwisko wypisano w lewym górnym rogu formularza pewnym, wyrobionym charakterem pisma. Oczywiście nie na maszynie, lecz czarnym atramentem, zapewne wiecznym piórem. Scott Feinstadt też uwielbiał pisać wiecznym piórem, była w tym elegancja i swoiste dostojeństwo. Okrągłe, starannie wypisane litery ginęły w nicości. Spojrzała na dół. W rubryce przeznaczony na adres

był tylko numer skrytki pocztowej; skrytka pocztowa w Mamaroneck, bliźniaczym mieście jej rodzinnego Larchmont. Czytała dalej.

Data urodzenia. Dwudziesty ósmy sierpnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt sześć.

Jej Scott Feinstadt (nie F. Scott Feinstadt) urodził się dwudziestego ósmego sierpnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku. Pamiętała dokładnie, ponieważ zginął również dwudziestego ósmego sierpnia - dwudziestego ósmego sierpnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku. Dla części mieszkańców Larchmont fakt ten miał jakieś mistyczne znaczenie, dla niej było to coś niesamowitego, zaskakującego i ostatecznego - umarł w dwudziątą rocznicę urodzin, kiedy właśnie z chłopca przeistaczał się w mężczyznę.

Co więcej. Ten Scott Feinstadt, F. Scott Feinstadt skończył Szkołę Rysunku w Rhode Island. Zrobił dyplom z malarstwa i grafiki. Lubił duże płótna, jak jej Scott Feinstadt, malował także tylko olejami, ale jego kompozycje - nie tak jak tamtego - utrzymane były w „ciężkiej, karmelowej tonacji brązów”, jak pisał w dołączonym do podania eseju. Uwielbiał „karmelowe odcienie”. F. Scott Feinstadt także bawił rok we Włoszech, gdzie spędzał czas, „zajadając gelati, pijąc wino, oglądając dzieła sztuki, przesiadując w kościołach i trwoniąc pieniądze otrzymane z okazji bar micwy”. Jego esej zaprawiony był lekką ironią; była w nim kpina z samego siebie, ale i miłość własna. „Wierzę w siebie. Można chyba powiedzieć, że wierzę bez najmniejszych zastrzeżeń, całkowicie. Muszę jeszcze złapać ton, ale wiem, że mi się to uda, nawet jeśli okaże się, że będę pracował zrywami i szukał po omacku. Chcę żyć pełnią życia, jestem żądny przygód. Może brzmi to chełpliwie, ale tak właśnie czuję”.

Scott Feinstadt dołączył trzy listy polecające, od dwojga najwybitniejszych profesorów ze Szkoły Rysunku w Rhode

Island, trzeci napisała pani Cipriani, która uczyła Louise sztuki w szkole średniej.

„W mojej trzydziestoletniej karierze pedagogicznej miałam tylko pięcioro równie utalentowanych uczniów jak Scott... (bla, bla, bla...) i chociaż zazwyczaj nie akceptuję malowania w szkole aktów z modelu, portret dziewczyny Scotta przywodzi na myśl jedną z odalisek Matisse'a”.

Louise poczuła, że kręci się jej głowie. Berta, Trisha, Theresa Longo, wszystkie jej poprzedniczki ukazane w pełnym rozkwicie młodości na wystawie przedmaturalnej. W miasteczku wybuchł skandal. Rabin i jego żona nie czuli się winni i stanęli lojalnie po stronie syna, przerażone dziewczęta przeżyły chwilę sławy. Scott nigdy nie namalował aktu Louise. Obiecywał, ale obietnicy nie spełnił. Wolał się z nią kochać, tak mówił, niż zredukować ją do dzieła sztuki.

„Rekomenduję go jak najgoręcej i z całego serca”, pisała pani Cipriani.

I kto by pomyślał! Pani Cipriani, produkt lat sześćdziesiątych - Louise pamiętała jej długie, ciemne, przedwcześnie siwiejące włosy - która kończyła listy formułką „w harmonii i pokoju”. Czyżby pani Cipriani straciła rozum?

A może to Louise traci rozum?

Podniosła słuchawkę, żeby zadzwonić do Petera. Zawsze dzwoniła do niego, kiedy czuła, że musi z kimś porozmawiać. Niedawno przyszło jej do głowy, że ich rozwód był równie łagodny i somnambuliczny jak małżeństwo. Rozstali się spokojnie i pozostali przyjaciółmi.

Być może też dlatego właśnie żadne z nich dotąd nie ułożyło sobie życia na nowo i może dlatego też Louise czuła się taka samotna. Wystukała numer wewnętrzny Petera, trzy szóstki, jakby łagodny, dobry Peter był wcieleniem Bestii, na koniec, dla odegnania Złego, jeszcze zero.

- Wydział Fizyki - w słuchawce zabrzmiał młodziutki głos jakiejś ślicznej, dorabiającej sobie w sekretariacie studentki i po długiej chwili, jakby to było połączenie zamorskie, wreszcie odezwał się jej eks:

- Profesor Peter Harrington. - Spokojny, władczy głos. Louise nie mogła dobyć słowa z gardła, wciągnęła głęboko powietrze, wydając przy tym jakiś nieartykułowany dźwięk.

- Pani Harrington, czy to znowu pani? - zagadnęła studentka.

- W porządku, Farrah - powiedział Peter i dziewczyna odłożyła słuchawkę.

Farrah. To boże dziecię musiało być starsze, niż Louise przypuszczała. Może magistrantka. Musiała już trochę żyć na tym świecie, bo najwidoczniej została poczęta w dniach największej popularności Aniołków Charliego. Kiedy się pobierali, wśród studentek Petera były niemal same Samantha i Tabithy. Potem pojawiły się Alexis i Crystal, kolejne nieślubne córki Aarona Spellinga. Czyżby za rogiem czekało już pokolenie Torich?

- Dobrze się czujesz, Lou? - zapytał Peter.

Louise skinęła głową. Skinęła głową do słuchawki. Kiwała, że tak, dobrze się czuje, chociaż wcale nie czuła się dobrze. Miała wrażenie, że traci rozum, zaczyna wariować.

- Kolacja aktualna?

Oczywiście, pomyślała Louise. Przecież to czwartek.

W czwartki jadaliby u niej. Jeśli była zbyt zmęczona, żeby gotować, a niemal zawsze była zbyt zmęczona, żeby gotować, przeglądała menu restauracji oferujących dostawę na telefon i zamawiała coś w jednej z nich. Peter uwielbiał dobrze zjeść i Louise dbała, żeby go zadowolić: krewetki z Shun Lee West dowożone ekspresowo za dodatkowe dwadzieścia dolarów, najlepsze tomiko, jakie można było znaleźć na Upper West Side, prawdziwe burrito z Mission - style. Do tych etnicznych

dań zawsze zamawiała sałatkę: z kurczaka, z glonów, z awokado z krewetkami. Tak było w czwartki. W poniedziałki spotykali się u Petera. Jechał metrem do Balducciego, gdzie zaopatrywał się w anchois i kapary, potem zaglądał na rynek, kupował ekologiczne pomidory, mizunę, „cudowną” edamamę, lepszą i jeszcze bogatszą w białko niż soja. Po oliwki i ser szedł do Murraya, a oliwę zamawiał przez Internet. Pieczywo tylko z Sullivan Street Bakery. Same zakupy zajmowały mu kilka godzin. Wracał do domu, otwierał wino, żeby szambrowało. Do stołu siadali około dziesiątej. Każdy posiłek był swoistym dziełem sztuki. Ostatnio podał kurczaka w panko, japońskiej panierce. Japońska panierka? Czy w Japonii mają jakąś tartą bułkę? Louise wolała nie zadawać pytań. W poniedziałkowe wieczory szczerze nienawdziła Petera.

- Tak, aktualna - wykrztusiła wreszcie.

- Świetnie. Później o tym porozmawiamy. - Cały Peter. Wiedział, że jest jakieś „to” i że, jak każde inne „to” w życiu Louise, może poczekać. Że nic nowego nie mogło jej się przydarzyć.

Odłożyła słuchawkę.

Po chwili podniosła ją ponownie. Musiała z kimś porozmawiać. Ale z kim? Czowała, że za chwilę eksploduje. Może z matką? Wykluczone. Matka ledwo tolerowała jednego Scotta Feinstadta. Miłe nic dobrego. Cóż dopiero powiedziałyby na drugiego? Missy. Może przecież zadzwonić do Missy dawnej szkolnej przyjaciółki, tej, która ukradła jej Scotta Feinstadta.

Długo trwało, zanim się pogodziły, Louise i Missy, niegdyś przyjaciółki od serca, niemal siostry - razem na prywatkach, wspólnie spędzane noce. Było ich sześć, Louise i Missy, Mindy i Lory, Rachel i Sabelle; jedna samotna, Anna, przywódczyni, łączyła swoje uczennice w pary, usadzała je w

półkolu i uczyła sztuki całowania. Louise zapamiętała tylko swoje usta na burzy ciemnych włosów Missy, delikatny zapach ziołowego szamponu na jej szyi. Potem, gdy już były nastolatkami, dziecięce zabawy seksualne poszły w zapomnienie, zwierzały się sobie, dzwoniły do siebie wieczorami, chodziły do Cheese Bazaar i na zakupy do Loehmanna. Nic nie zraniło Louise bardziej, może nawet śmierć Scotta (czyż nie zasłużył sobie trochę na to, co go spotkało?), jak widok ich obojga, gdy wysiadłszy z jego furgonetki, ruszyli ramię w ramię White Plains Road, każde z dłonią w kieszeni dżinsów partnera, podczas gdy ona, Louise, bezmiernie samotna (stojąc - westchnienie - na przystanku autobusowym), wciąż go jeszcze kochała.

Podobnego uczucia straty połączonej z trwaniem zaangażowania emocjonalnego doznała, gdy mając dwadzieścia cztery lata, jako młoda mężatka, zaszła w ciążę i poroniła. Nie zdążyła nawet zastanowić się, czym będzie dla niej to dziecko i czy go pragnie, aż nagle, gdy je straciła, zdała sobie sprawę, że je kochała. Wszyscy mówili, że jest młoda, że jeszcze będzie miała dzieci, a ona wierzyła - czyż sama nie była trochę dzieckiem? A jednak nadal liczyła kolejne tygodnie ciąży i w dniu, kiedy wedle obliczeń powinna urodzić, odczuła zdziwienie, że dziecko nie przyszło na świat. Nadal nie mogła otrząsnąć się z tego zdziwienia, ciągle była w pewnym sensie zdumiona, że nie ma dzieci. I tym, że tamto dziecko okazało się jej jedyną szansą.

Wytrwale, choć bezowocnie pielęgnowała w sobie miłość do Scotta Feinstadta, tak samo jak pielęgnowała w sobie miłość do dziecka, choć dziecko się nie urodziło, choć Scott Feinstadt przestał ją kochać, choć wygrała ta suka, Missy. Dzień pogrzebu - Co za scena! - matka poszła z nią, wiedziona tyleż macierzyńskim instynktem, co, jak Louise podejrzewała, chorobliwą ciekawością. Missy siedziała w pierwszej ławce

koło rabina i pani Feinstadt, a siostry Scotta, Stacey i Annie, na lewo od rodziców. Od czasu do czasu Missy odwracała załamioną twarz i omiatała wzrokiem zebranych. Louise nie miała złudzeń - napawa się własną żalobą. Musiały minąć dwa lata, dziewięć miesięcy i trzydzieści pięć dni - wtedy właśnie po raz pierwszy poszła do łóżka z Peterem - by Louise na tyle wybaczyła dawnej przyjaciółce, aby zacząć odbierać jej telefony. Od tamtej pory dzwoniły do siebie w miarę regularnie.

Teraz Missy mieszkała w Los Angeles, wyszła za seksownego boliwijskiego reżysera. Dzięki zapłodnieniu in vitro urodziła bliźniaki, Owena i Oliwię. Kostiumy od Jill Sanders zamieniła na dżinsy Earla, zamiast na śniadania do Hugo chodziła na spotkania matek, znowu zapuściła ciemne loki, które teraz były jeszcze bardziej splątane, niż kiedy była dzieckiem. Jak wiele znanych Louise kobiet, które mając po dwadzieścia kilka lat, ubierały się w najdroższych butikach, tak i Missy po trzydziestce wróciła do niezobowiązujących strojów, jakie nosiła, kiedy była nastolatką, a tymczasem Louise teraz właśnie każdy zarobiony grosz wydawała na markowe ciuchy, puszczając mimo uszu przytyki Petera. To podążanie za modą znaczyło, że przejmowała się upływem czasu - pierwszy szok starzenia się. I tak Louise zimą przechodziła w obowiązujących czerwieniach i czerniach. Wiosnę przywitała w różnych odcieniach żółci, różu oraz bieli. Zawzięcie ćwiczyła na siłowni, aby pozbyć się tłuszczu na ramionach, teraz były twarde jak skała. Tymczasem Missy w ciągu dwóch ostatnich rozmów telefonicznych rozwodziła się nad walorami niejakiego doktora Blue Jeansa, który nawet z jej najbardziej złachanych ukochanych ogrodników, pamiętających czasy szkolne (kiedy jeszcze gustowała w niebieskościach), zdołał zrobić szykowny, nadający się do noszenia ciuch. Ta suka Missy

dzięki doktorowi Blue Jeansowi znów wchodziła w swoje stare lewisy, biodrówki z rozszerzanymi nogawkami, dumnie obnosząc znak obecnego statusu, ledwo zarysowany brzusek kobiety, która rodziła. Louise nie mogła ukryć zazdrości.

- Miss, to ja - zagadnęła teraz do słuchawki.

- Nienawidzę go, nienawidzę go, nienawidzę. Chodziło oczywiście o Marcosa, męża Missy. Albo go kochała, albo nienawidziła, w zależności od tego, kiedy Louise zadzwoniła.

- Co znowu zrobił? - zapytała Louise, chociaż co ją to właściwie obchodziło? Kogo, poza kilkuset ludźmi z branży filmowej i dziennikarzami z „People”, obchodziło, co akurat wykręcił Marcos? Może jeszcze Amerykańską Akademię Filmową? Jaką tam akademię!

- Siedzi w „Ivy”, prawda? Z Jayem, Markiem i wianuszkami producentów. Coś go wpieniło. Bla, bla, bla, chyba wiesz, o czym mówię?

Cóż, chyba tak, pomyślała Louise. Dlatego właśnie były przyjaciółkami.

- Krótko mówiąc, Zorro rzucił Jayowi scenariusz w twarz.

- Jezu - westchnęła Louise. - Czy to nie Jay wpłacił za niego kaucję i wyciągnął go z aresztu?

- Tak... ale nie przypuszczałam, że wiesz o tym, że siedział. Nie wiesz o tym, Louise, dobrze? Nikt nie powinien o tym wiedzieć - brukowce miałyby używanie. O Boże, obym tylko nie żałowała, że ci powiedziałam.

- Co mi powiedziałaś? - zapytała Louise, jak przystało na prawdziwą przyjaciółkę, wyrywając przy tym jakiś włos, który ominęła kosmetyczka przy ostatniej depilacji woskiem. Ciągłe dotykały ją czyjeś ręce: nacieranie solami, okłady z wodorostów, francuski manikiur z tipsami.

- Kocham cię - tchnęła Missy w słuchawkę. - Kocham cię bardziej niż jego.

Czy to nie smutna przypadłość, charakterystyczna dla wszystkich przyjaciółek, że kochają się nawzajem bardziej niż swoich mężczyzn? A jednak każda gotowa jest porzucić drugą dla kolejnego faceta.

- Marcos wcale nie jest taki zły - powiedziała Louise. - Tylko ma temperament.

- Jasne - przytaknęła Missy. - W końcu to Boliwijczyk. Powinien mieć temperament. Dlatego wyszłam za niego. Ludzie kochają go za ten temperament. Lunch byłby nieudany, gdyby Marcos nie cisnął scenariuszem.

Przerwała.

- Może powinien cisnąć krzesłem.

- Nie rozumiem. - Louise nachyliła się do przodu w swoim fotelu. - Myślałam, że jesteś na niego wściekła... że zachował się jak grubianin...

- Przyszedł do domu bez sernika - wyjaśniła Missy. - Ja nigdzie nie wychodzę. Jestem hausfrau. Żyję gorzej niż moja matka. Żywię się resztkami z jego stołu.

Czy to prawda? Czyżby rzeczywiście Missy miała gorsze życie niż jej matka? Za czasów ich młodości pani Goldberg czyniła rozpaczliwe wysiłki, by „wrócić do siebie” po odchowaniu dzieci i rozwodzie. Robiła wszystko, począwszy od płukania okrężnicy po nocne wyprawy do dyskotek. Wkrótce potem, gdy zapisała się na kursy pomocy społecznej, zginęła razem ze swoim dwudziestopięcioletnim przyjacielem w wypadku samochodowym, zderzyli się czołowo z samochodem dostawczym Pepperidge Farm na Boston Post Road. Czy to była cena za zakazane, ledwie kiełkujące szczęście? Louise tylko raz widziała tego chłopaka, na przyjęciu weselnym Missy. Miły, w wypożyczonym fraku, z kuflem piwa w ręce. „Poznajcie się, to Chuck, pieścuch mojej mamy” i kilka innych, może mniej niezręcznych uwag. „A, to ty jesteś najlepszą przyjaciółką Missy... fajnie...

fajnie...", takie tam pogaduszki. W pewnej chwili Chuck mrugnął porozumiewawczo. „Wiem, że nie możecie zrozumieć, co pani Goldberg we mnie widzi..." Louise dopiero teraz uderzyło, czy naprawdę powiedział „pani Goldberg", czy też na jej wspomnienia rzutuje dziecięca pamięć. „Jest już w odpowiednim wieku - ciągnął Chuck - by zrozumieć, że my, faceci, nigdy nie dojrzewamy, lepiej więc zadawać się z nami, dopóki mamy w miarę atrakcyjne ciała".

Wtedy stwierdzenie Chucka wydało się Louise zabawne, ale smutne. Teraz nie potrafiłaby powiedzieć, co w jego słowach mogło być smutnego. On i pani Goldberg mieli przed sobą jeszcze cztery wspaniałe miesiące życia, co patrząc wstecz, nie wydawało się wcale najgorszą perspektywą. Przynajmniej odeszli szczęśliwi, jak mówiła Missy. Pomimo protestów rodziców chłopca, ale zgodnie ze swoimi przekonaniem, udało się jej pochować oboje obok siebie.

- W końcu napisałam do Rogera - szepnęła Missy w słuchawkę.

- Do kogo? - zdumiała się Louise.

- Do Rogera. Chodziłam z nim na studiach.

- To ten doradca finansowy?

- Właśnie. Musiał do tego czasu zbić niezły majątek. Ma piątkę dzieci, same dziewczyny. Mieszka w Greenwich.

- Skąd to wszystko wiesz?

- Poprosiłam Marcosa, żeby zajrzał na jego stronę internetową. Wysłałam mu miły, niezobowiązujący liścik, że niby spotkałam kogoś z naszego roku i przypomniałam sobie o nim. - Missy westchnęła. - Teraz inicjatywa należy do niego, prawda?

Missy zawsze była odważna.

- I wysłałaś ten list?

- Nie, poprosiłam Marcosa.

- Poprosiłaś Marcosa?

- Tak. A przedtem mu go przeczytałam.
- Przeczytałaś mu ten list?
- Aha. Wiesz, co powiedział?
- Noooo...
- Powiedział: „Jesztem szaszdrozny o teho facet...”.
- A więc podziałało - wtrąciła Louise. Powoli zaczynała tracić cierpliwość.
- Nie. Ciągle mi przerywasz, nie mogę dokończyć żadnego zdania.

- Przepraszam - mruknęła Louise nadąsanym tonem.
- Tylko się nie obrażaj - ostrzegła przyjaciółkę Missy. -
No więc Marcos powiedział: „Jesztem szaszdrozny o teho facet, bo ciebie miał, jak byłaś dobra”.

Obie zamilkły nad tym zdaniem.

- Nienawidzę go - stwierdziła Missy.
- Jestem w pracy, Miss - przypomniała Louise.
- Tak? Boże, skąd mogłam wiedzieć? Ja zawsze płacę za nasze rozmowy z prywatnej kieszeni.
- Później się do ciebie odezwę. Trzask.

Louise odłożyła słuchawkę nieco oszołomiona i zagubiona. Przez chwilę nie wiedziała, jaki jest dzień tygodnia ani dlaczego właściwie zadzwoniła do Missy. Missy tak właśnie na nią działała. Potrafiła zupełnie zbić ją z pantałyku. Dlatego Louise ją kochała.

Spojrzała na biurko. Zapukała w blat. Jak najbardziej materialny. Nowe biurko, odziedziczony bałagan, jej gabinet. Na środku, tam gdzie ją odłożyła, leżała nadal teczka z dokumentami F. Scotta Feinstadta. F. Scott Feinstadt, jego esej dołączony do podania, oceny z Rhode Island. I dwa numery telefonów. Do końca tygodnia poprzedzony kierunkowym czterysta jeden i od przyszłego tygodnia nowy, poprzedzony kierunkowym pięćset szesnaście. Kto nie ryzykuje, ten nie wygrywa, prawda, Pete? Tak kiedyś

mówiłeś. Niewiele myśląc, Louise podniosła słuchawkę i wystukała numer. Jeden sygnał, drugi, trzeci. Już zamierzała się rozłączyć, ale mimo wszystko postanowiła wytrwać. Po siódmym sygnale po drugiej stronie ktoś się wreszcie odezwał.

- Witam - zagadnął tajemniczy młody człowiek.

- Ja też cię witam.

Dlaczego, u diabła, to powiedziała?

- Maleńka...

- Mówi Louise Harrington z uniwersytetu Columbia, Wydział Sztuk Pięknych, rekrutacja.

- A więc nie jesteś moją maleńką - zaśmiał się młody człowiek.

Nie, z całą pewnością nie.

- Czy mówię z F. Scottem Feinstadtem? - zapytała urzędowym tonem.

- Owszem, w rzeczy samej.

W słuchawce zapadła cisza. Czy to rzeczywiście głos Scotta Feinstadta? Zdawał się jakby znajomy, ale po tylu latach pamięć może płatać człowiekowi figle. Szczególnie gdy człowiek przekroczył trzydziestkę i był kobietą, a Louise bez wątpienia była kobietą, poziom estrogenów w organizmie gwałtownie się obniżał. Matka Louise, zapalona czytelniczka „New England Magazine of Medicine” oraz kolorowych magazynów dla kobiet, przysłała niedawno Louise cały plik wycinków z krótkim komentarzem: Tik, tak, tik, tak, nagryzmoła mamusia. Zawsze potrafiła podnieść Louise na duchu.

- Louise, jesteś tam? - odezwał się F. Scott. Owszem, jestem, dupku, pomyślała gniewnie. Dokładnie tam, gdzie mnie zostawiłeś.

- Tak - powiedziała.

- Cieszę się - stwierdził F. Scott.

Stara się być uprzejmy? Czy to kolejny świr?

Nigdy, nawet po dziś dzień, nie wiedziała, co myśleć o nieprzewidywalnych zachowaniach swojego Scotta Feinstadta.

- Dzwonię, żeby ustalić termin twojej rozmowy kwalifikacyjnej - wymyśliła na poczekaniu.

- Nie wiedziałem, że wymagana jest jakaś rozmowa kwalifikacyjna - zdziwił się F. Scott.

Bo też nie była. Jak długo istnieje wydział, żaden kandydat nie odbywał nigdy żadnej rozmowy kwalifikacyjnej. Procedura byłaby zbyt czasochłonna.

A jednak.

- Nie jest wymagana, ale jeśli chcesz, żeby poważnie rozpatrzono twoją kandydaturę, powinieneś się zgłosić.

A cóż to za biurokratka rozmawia z jej telefonu?

- Może być w przyszłą środę o piątej po południu? Wcześniej nie dam rady, tkwię po uszy w robocie... - Pauza. - Poza tym mam rozgrywki tenisowe. Zgoda?

- Zgoda - przytaknęła Louise. Nie bardzo wiedziała, co jeszcze mogłaby powiedzieć, ale nadal trzymała słuchawkę przy uchu.

Niezręczne milczenie zaczynało się przeciągać. Bardzo niezręczne milczenie.

- Słyszę twój oddech - odezwał się F. Scott Feinstadt. - Skoro ciągle tam jesteś, chciałbym ci coś wyznać.

Bum - bum. Dobrze znane gwałtowne bicie serca. Co takiego chciał jej wyznać? Że w rzeczywistości ma czterdzieści lat? Że pracował dla CIA? Że wszystko było starannie zaaranżowanym oszustwem, wypadek, pogrzeb, jej małżeństwo, jej życie? Jego podanie o przyjęcie na studia? Są w Ukrytej kamerze? Grają w Truman Show? Może przeczytał w gazecie wydawanej przez alumnów ich szkoły, że rozwiodła się i jest, w pewnym sensie, do wzięcia? Gotowa wybaczyć? I teraz, wreszcie, po wszystkich tych latach, dwudziestu,

dwudziestu pieprzonych trudnych latach, co jej powie w jej własnym prywatnym Idaho?

„To był straszny błąd, maleńka. Że cię zostawiłem. Że udawałem zmarłego. Naprawdę tylko ciebie jedną kochałem”.

Czy marzenia mogą się ziszczać?

Będzie musiała zapytać Petera. W końcu jest naukowcem. Dlatego zawsze wierzył w magię.

- Nie uwierzysz, ale właśnie zamierzałem do was zadzwonić - wyznał F. Scott Feinstadt. - Zapomniałem dołączyć przezroczka. Może to jakaś telepatia?

- Może - przytaknęła Louise.

Tego wieczoru Louise i Peter, siedząc na podłodze przy niskim stoliku w bawialni, raczyli się japońską kolacją. W mieszkaniu Louise nie było jadalni. Całość składała się z małego pokoju dziennego z kuchenką i jeszcze mniejszej sypialni z łazienką. Nie było holów, foyer, przestrzeni. Pałac. A jednak Louise była szczęśliwa, że ma to mieszkanie, które pochłaniało połowę jej miesięcznej pensji. Po rozwodzie, kiedy straciła status „profesorskiej żony”, nie mogła liczyć na nic lepszego. Nie miała stołu, krzeseł. Większość pieniędzy wydawała na ubrania. Na fryzjera. Na wygląd. Poprawianie urody i samopoczucia. Wielkie znaczenie miało dla niej, jak widzą ją ludzie. Kiedy wyprowadzała się z ich wspólnego domu, Peter spakował wszystkie jej rzeczy, jej prace, jej książki, przeznaczone dla niej naczynia, tak że nie pozostał po niej nawet kurz na podłodze. Ponieważ meble z jadalni, komplet fałszywych chippendali - których nienawidziła - przywędrował do nich z piwnicy pani Harrington, oboje uznali, że Peter powinien je zatrzymać. Teraz, cztery lata po rozwodzie, Louise i jej jedyny gość (Peter) nadal biesiadowali, siedząc na podłodze.

Peter opowiadał, jak minął mu dzień: wykład, rada instytutu, lunch z władzami wydziału, całkowicie niejadalny,

ociekający majonezem. Tak od rana, bez chwili wytchnienia. Dopiero około drugiej po południu mógł spokojnie schronić się w swoim gabinecie. Pomimo wszystko, zapewniał, kokieteryjnie przechylając głowę, to tempo sprawiało, że czuł się wyjątkowo młodo, lekko i rześko. Kiedy przecinając dziedziniec uniwersytecki, wracał do instytutu, miał wręcz wrażenie, że jest „jednym z nich”. Widział się oczami wyobraźni w postrzępionych dżinsach, znowu był zakochany w astronomii pierwszą młodzieńczą miłością. Ziemia pachniała słońcem i trawą. Wokół same śliczne dziewczyny. W głowie miriady gwiazd.

Peter wbił wzrok w „orientalny” dywan. W jego głosie pobrzmiwała ironia, która z latami odzywała się coraz częściej. Od kiedy stał się ironiczny? Louise czuła jednak, że tym razem mówi szczerze. Rzeczywiście wydawał się młodszy, trochę bezbronny, mniej czujny niż zwykle, rozluźniony, tak bardzo niepodobny do samego siebie, że Louise odwróciła wzrok. Przypominał tego Petera, którego spotkała i w którym się zakochała przed laty, kiedy z młodzieńca przeobrażał się w dojrzałego mężczyznę.

- To chyba wiosenna gorączka - stwierdził w końcu, podsumowując swoje dzisiejsze uniesienie. - Tak przynajmniej uważa Farrah.

Farrah? Studentka dorabiająca w sekretariacie? Farrah „tak uważa”?

Wiosenna gorączka. Możliwe. Może to i na nią tak podziały pyłki kwiatowe. Może Scott Feinstadt i F. Scott Feinstadt to tylko wytwory jej wyobraźni. Chimera. Absurdalne bliźniactwo. Przez cały wieczór zbierała się, żeby opowiedzieć Peterowi o Feinstadcie, i nie wiedziała, jak zacząć. Co miała powiedzieć: „Chłopak, którego poznałam, zanim poznałam ciebie, cudowny, porywający, utalentowany, zwariowany chłopak, wrócił właśnie, żeby wziąć mnie w

ramiona"? Albo: „Kochanie, chyba zaczynam wariować, może powinieneś umieścić mnie w zakładzie zamkniętym”? Spójrzmy prawdzie w oczy, już pełna nostalgii za utraconą młodością relacja Petera, relacja pana w średnim wieku, wydawała się wystarczająco smutna. Czy i on zobaczy w niej smutną „kobietę w średnim wieku”, jeśli teraz zacznie mu się zwierzać? Tego by nie zniosła.

Mieli za sobą długą wspólną historię, ale kto mógł przypuszczać, że znajdą się w punkcie, w którym się znaleźli? Po Cornell Peter przez jakiś czas wykładał gościnnie w Berkeley, co zapewniło mu pewną i znakomitą pozycję w świecie akademickim. Potem wiele podróżował po świecie, od uniwersytetu do uniwersytetu. Louise z początku bardzo to lubiła, lecz z czasem wszystko jej spowszedniało. Dlaczego? Przecież w gruncie rzeczy takiego życia pragnęła. Intelktualna dyscyplina, poczucie wolności i niezakorzenia, jakie dawały ciągła wędrówka i Peter: mądry, serdeczny, wspaniałomyślny. Otworzył przed nią świat, świat dla niej egzotyczny. Pamiętała ich pierwszą podróż do Europy, Peter został zaproszony na cykl wykładów do Paryża i nalegał, żeby z nim pojechała. Jaka się wtedy czuła dorosła. Jakie to było wyrafinowane, pełne elegancji. Kiedy pojawiła się pustka? Kiedy zaczęło mrugać czerwone światelko? Może w trzecią rocznicę ślubu, którą spędziła sama w ich mieszkaniu na kampusie uniwersyteckim, gdyż Peter, wyjechał z jakimś odczytem, a ona wolała zostać w domu? Peter coraz częściej wyjeżdżał sam. Kiedyś na początku pakowała ich bagaże. Profesorskie tweedowe garnitury, szorty, kondomy, swoje eleganckie małe czarne od Ann Taylor na oficjalne przyjęcia, na wykłady, na rozmaite seminaria i konferencje, prezentacje, oficjalne spotkania w Waszyngtonie czy w NASA, gdziekolwiek go zapraszano. W tych sukienkach występowała na otwarciach wystaw,

kolacjach dla nagrodzonych i pokazach, jeżdżąc z Peterem od jednego środowiska uniwersyteckiego do drugiego; wciąż pobudzało ją to intelektualnie, nawet potem, gdy przestała już tak często odwiedzać drogerię. Była dobrą żoną: troskliwą, wspierającą, błyskotliwą. Peter był dobrym mężem. A mimo to, mimo ich dobrej woli i dobrych intencji pierwotny romantyzm powoli, w tajemniczy sposób ulatniał się z ich związku. W jego miejsce pojawił się ciężki, niewidzialny, pozbawiony zapachu, bezbarwny gaz kosmiczny.

W ósmą rocznicę ślubu Missy przysłała z hacjendy w Hollywood Hills kartkę z życzeniami z okazji czterech dobrych lat, które wspólnie przeżyli.

Był to oczywiście żart, i to niezbyt udany. Niemniej kartka sprawiła, że rano w dzień rocznicy Louise, po umyciu zębów i wypiciu szklanki soku pomarańczowego, zaczęła się zastanawiać, dlaczego: po pierwsze, nadal czuje niesmak w ustach, po drugie, ma ochotę z powrotem zakopać się w łóżku, nakrywając głowę kołdrą.

Minęły jeszcze dwa lata, zanim zdecydowali się na rozstanie. Cztery lata temu, dwa lata potem, gdy Missy zaczęła umawiać Louise z różnymi facetami z Zachodniego Wybrzeża, którzy przyjeżdżali do Nowego Jorku „po łyk kultury”, zapraszali na drinka i nigdy więcej już się nie odzywali, dziesięć lat po ślubie. Co się stało z tą radosną, szczęśliwą młodą parą, jaką wówczas byli?

Spojrzała na obraz wiszący nad nieczynnym kominkiem. Całe mieszkanie obwieszane było dziełami sztuki, grafikami, rycinami, drzeworytami, które kolekcjonowała w czasie rozlicznych podróży bądź kupowała za grosze od studentów w rozmaitych uczelniach artystycznych. Na półkach stały ceramiczne misy z motywem Żyda Wiecznego Tułacza, w kuchni postawiła kilka japońskich drzewek bonsai, w łazience zaś marokańskie gliniane lampki wotywno, o które targowała

się zawzięcie z ulicznym handlarzem w Marrakeszu; w sypialni zamiast zasłon udrapowała w oknie zwiewne sari kupione w czasie podróży do Kalkuty, gdzie wyjechali, wykorzystując urlop sabatowy Petera; tylko jej sprzęt stereo i płyty kompaktowe Petera z niezbyt ambitnym repertuarem operowym zakłócały etniczny wdzięk pomieszczenia; ostał się też ten sam różowy gipsowy gzyms kominka - kiedy się tu wprowadziła, poświęciła cały weekend, aby go zdrapać. Uniwersyteckie życie: Louise wciąż jeszcze prowadziła tryb życia żony profesora. Tylko ten obraz, najcenniejsza rzecz, jaką posiadała, „poemat bez słów”, miał dla niej szczególne znaczenie. Namalował go Scott Feinstadt specjalnie dla niej - a prawdę mówiąc, wydobyła go ze sterty innych w piwnicy synagogi, kiedy Scott likwidował swoją „pracownię” przed wyjazdem na studia - i podarował jej na pożegnanie, już po ich zerwaniu, po Missy, zanim stał się sławny, kiedy jeszcze żył i bardzo chciał uwolnić się od winy (Louise była wtedy straszną beksą i ilekroć spotykała się ze Scottem, łzy same cisnęły się jej do oczu), kiedy starał się dowieść, jaki to z niego twardziel.

Obraz był całkiem niezły jak na młodego chłopaka bez doświadczenia, niedysponującego żadną techniką, tylko po kilkumiesięcznym pobycie we Włoszech, w Europie. Potrafiła ocenić wartość tego płótna, w końcu tym się zajmowała na uniwersytecie Columbia, oceniała prace młodych ludzi, szukając owego szczególnego je ne sais quoi, jakiejś iskry talentu? Według Scotta kompozycja przedstawiała „matkę i dziecko w ujęciu abstrakcyjnym”. Nieźle. Zupełnie nieźle jak na żydowskiego chłopca z Larchmont, syna rabina, który nie znał chrześcijańskiej sztuki sakralnej, nigdy nie widział na oczy ikony i ledwie przez dziewięć miesięcy oglądał włoskie wizerunki Madonny z Dzieciątkiem. Zdaniem Louise obraz miał w sobie swoiste piękno. Towarzyszył jej codziennie,

codziennie miała go przed oczami: ciemna, ciężka tonacja, głębokie odcienie zieleni, czerni, błękitu. Biła z niego macierzyńska miłość, otaczająca Dzieciątko, ale i zapowiedź cierpienia.

Niósł obietnicę.

- Czemu się tak przyglądasz, Louise? - zapytał Peter, budząc ją z zamyślenia.

- Obrazowi Scotta Feinstadta.

- To najlepsza strona naszego rozvodu, że go zabrałaś. Nigdy nie lubiłem tego płótna. - Mówiąc to, przejechał po niej wzrokiem.

Najlepsza strona rozvodu. Czy czuł się równie samotny jak ona?

- Sammy dzisiaj dzwonił. Sammy, brat Louise.

- Znowu z propozycją interesu, tym razem jednak brzmiało to całkiem sensownie. Niezła inwestycja. Pomyślałem, że gdybyśmy wyłożyli wspólnie trochę pieniędzy...

Jakich pieniędzy? - zastanawiała się Louise. Właśnie kupiła krem pod oczy za sześćdziesiąt dolarów.

- Jakich pieniędzy? - spytała na głos. - Nie mam żadnych pieniędzy. Nie możemy wykładać nieistniejących pieniędzy na kolejne zwariowane plany Sammy'ego.

- Odkładam trochę dla ciebie. - Peter mierzył ją spokojnym, pewnym spojrzeniem. - Od chwili, kiedy dostałem podwyżkę.

Zapadło milczenie.

- Żartujesz chyba - zachnęła się Louise. - Kim ty jesteś? Moim chrzanionym tatusiem?

Peter zmrużył oczy.

- Z pewnością nie.

- To dlaczego odkładasz dla mnie pieniądze?

- Ponieważ ty tego nie robisz - oznajmił Peter.

- Co to za protekcjonalizm? - obruszyła się Louise.

- Wolałbym określenie „pragmatyzm”.

Louise była tak wściekła, że przez chwilę nie mogła znaleźć słów.

- Posłuchaj, Lou. Nie warto marnować dobrej okazji z powodu uporu i dumy.

- Jaki upór? Jaka duma?

- Pomysł Sammy'ego naprawdę brzmi interesująco... Będę wiedział więcej pod koniec tygodnia. Umówiłem się z nim na lunch.

Louise bała się, że jeszcze chwila, a zacznie krzyczeć. Odkładał dla niej pieniądze, jakby nie potrafiła sama zadbać o siebie. Do tego jeszcze Sammy... Ten jego tupet.

Chce oskubać jej byłego męża? Na jej twarzy malowała się groza, bo Peter usiłował załagodzić sprawę.

- Proponuję zostawić na razie ten temat, Lou.

- Zostawić?

- Tak - oświadczył Peter zdecydowanie. - Nie chcę się z tobą kłócić.

- A jeśli ja chcę się kłócić?

- Do tego trzeba dwojga - zauważył Peter z całym spokojem.

W tym cały kłopot, że do kłótni trzeba dwojga. Do wielu rzeczy, których od dawna nie potrafili już robić wspólnie, trzeba dwojga.

- W jakiej sprawie dzwoniłaś do mnie dzisiaj po południu? - zagadnął Peter.

Chciał zmienić temat, to oczywiste, ale w jego głosie zabrzmiała nuta autentycznego zainteresowania. Cały Peter. Dlatego tak trudno było go znienawidzić, definitywnie się z nim rozstać. Na swój sposób naprawdę przejmował się Louise. Tyle tylko, że nigdy nie potrafił jej pomóc.

- No wiesz - odparła Louise enigmatycznie i machnęła ręką.

Nie wiedział. Bo i skąd?

- Missy dzwoniła. Znowu jakieś afery z Marcosem. Celowo go prowokuje, potem rozpacza.

Peter słuchał z obojętną miną. Problemy innych ludzi nigdy go specjalnie nie obchodziły. Dobrze się czuł w sytuacjach, w których mógł się okazać skuteczny; zlikwidować debet na koncie, naprawić samochód, przeprowadzić dowód naukowy, zaplanować życie swojej byłej żony, tak, to potrafił. Myślisz, że w ten sposób usiłuje zagłuszyć poczucie winy? Jakie poczucie winy, mamo? Dlaczego Peter Harrington miałby się czuć winny? Pomijając to, że Louise czuła się przy nim zawsze jak idiotka?

Peter kiwał głową, niby słuchał o problemach Missy, od czasu do czasu uśmiechał się, ale całkowicie się wyłączył. To właśnie ta jego umiejętność wyłączania się sprawiała, że ich małżeństwo trwało tak długo. Że nadal utrzymywali bliski kontakt. Prawdziwy dar emocjonalnej nieobecności.

Mniej więcej po dwudziestu minutach monologu Louise powróciła do wcześniejszej relacji Petera i dalszego ciągu dnia.

- Długo trwało to młodzińcze uniesienie? - zapytała złośliwie. - Młodzińcza euforia? - Chciała go tylko zirytować, bo w gruncie rzeczy wcale nie była zbyt ciekawa odpowiedzi.

- Nie - powiedział Peter z krzywym uśmiechem. - Kiedy zobaczyłem stertę studenckich prac, które czekają na mnie na biurku, znowu poczułem się stary...

Dopiero kawa z mlekiem i obowiązkowymi pięcioma kostkami cukru, którą troskliwa Farrah (znowu Farrah?) przyniosła nieproszona z barku w holu instytutu, przywróciła mu humor.

- Kochany ten nasz nowy dziekan. W barku są różne świetne rzeczy. Farrah przyniosła mi pyszny ekler czekoladowy.

Mmmm.

Louise sięgnęła po swoją egzotyczną sałatkę, szarą i zwiędłą, posypaną błyszczącym zielonym konfetti - ni to pokrojona rzeżucha, ni wodorosty. Farrah i jej eklery. W mieszkaniu Louise nie było grama tłuszczu. Grama tłuszczu w promieniu mili. Zaczęła przeżuwać zielone włókna. Swoją drogą, co to za imię, Farrah? Holenderskie? Libańskie?

Louise musiała zdać się na siebie.

Przez tydzień Louise Harrington nie mogła ani spać, ani jeść. Schudła półtora kilograma. Zaniedbywała pracę i wyglądała w zamyśleniu przez okno. Zaczęła szczesywać włosy do tyłu i spinać je kłamrą, na czoło opadały loczki, tak jak lubił Scott Feinstadt. W końcu we wtorek po pracy dała za wygraną i na stacji Grand Central wsiadła do pociągu do Larchmont. Postanowiła pojechać do matki i przejrzeć pudła z pamiątkami. Spędziła cały długi dzień w biurze - wypatrując przez okno, snując dzikie seksualne fantazje, zastanawiając się, czy przypadkiem nie zaczyna wariować. Pojechała dwoma liniami metra i jeszcze autobusem, aby przedostać się przez miasto. Była spóźniona, musiała podbiec - tak szybko, jak pozwalały jej drewniaki, które wygrzebała w szafie (znów stały się modne; nosili je studenci szkół artystycznych, były znakiem młodości, tak jak w jej czasach znakiem młodości były adidas i rozciągnięte swetry). W ostatniej chwili udało się jej wskoczyć do pociągu, opadła na siedzenie i zamknęła oczy. Otworzyła je na chwilę, zerknęła na ponury pejzaż Harlemu i na powrót zamknęła. Na dobre uniosła powieki dopiero, gdy poczuła zapach łąk i lasów; podmiejski krajobraz, podmiejskie domy, zielone drzewa, świeże powietrze... Czy nie dlatego jej rodzice zamieszkali za

miastem? Czy miała prawo podawać w wątpliwość słuszność ich decyzji? Jeszcze dwadzieścia minut i znalazła się w swoim rodzinnym Larchmont.

Mama czekała na nią przy drzwiach z nosem przyciśniętym do szyby. Nieduża, siwa, ruchliwa, trochę mniejsza i pełniejsza niż Louise - „wulkan w kombinezonie”, tak nazywał ją Scott Feinstadt. Teraz już nie nosiła kombinezonów, kupowała obrzydliwe ciuchy na wyprzedażach u Loehmanna, w najdziwniejszych kolorach, pomarańczowe, fioletowe i szkarłatne. Przez ostatnie siedemnaście lat straciła trochę ze swojej dawnej energii, niewiele, ale jednak. Nie uszło to uwagi Louise. Dzisiaj mama miała na sobie stare dzinsy i bardziej niż wulkan przypominała krótką grubą świeczkę z supermarketu, w kolorze „denim”, z białym knotem. Louise pomyślała, że musiała wcześniej wrócić ze szpitala, skoro zdążyła się przebrać w domowy strój i przygotować na rzadkie odwiedziny córki. Po co odwiedziny, myślała Louise, skoro i tak w mojej głowie bezustannie brzmi twoje gderanie. Louise nigdy nie udało się sprawić, by mama się zamknęła.

Ellie Silverstein była pielęgniarzką socjalną. Organizowała domową opiekę medyczną i instruktaz dla chorych ze sztucznym odbytem - na ogół ludzi w podeszłym wieku - którzy zbyt wcześnie wypisani ze szpitala, nie byli w stanie funkcjonować samodzielnie. Jej praca, podobnie jak córki, Louise, była związana z zawodem byłego męża. Tatuś Louise był lekarzem. Teraz już na emeryturze, zamieszkał na Florydzie, gdzie żył w szczęśliwej samotni - „samotnia” to słowo wytrych - z drugą żoną, pielęgniarzką zabiegową, to rzecz jasna banał, który znajdziesz w każdym romansie, twój ojciec nigdy nie miał twardego kręgosłupa (kręgosłupa, pomyślała Louise, kręgosłupa?), i dwójką jej dorastających, nieznośnych bachorów. Louise, gdy była już dorosła, latała do

nich na każde wiosenne wakacje, często wybierając te same niżkowe loty, co jej niedouczeni studenci. Raz wybrał się również Peter, już po rozwodzie, zrobił sobie krótki urlop, twierdził, że chce się opalić, porozkoszować specjałami Miami - a przede wszystkim dotrzymać towarzystwa Louise. Niechętnie musiała przyznać, że kiedy Peter zaproponował, że będzie jej towarzyszył, była trochę poruszona. Gdy czuła się wyjątkowo samotna, marzyła, że odbudowują ich związek, wyobrażała to sobie w ciemnościach nocy, czując upływ czasu, nie mogąc zasnąć, a Peter był przecież wciąż taki inteligentny i przystojny, wciąż wydawał się do niej przywiązany, ale ta wyprawa okazała się punktem zwrotnym. W zażenowanie wprawilo ją wygodne podwójne łóżce w gościnnym pokoju, gdzie wylądowali pierwszego wieczoru, i widok Petera wychodzącego z łazienki w... piżamie. Trudno o gorszą chwilę w życiu. Od tamtej pory odwiedzała rodzinę tylko sama.

Teraz mama Silverstein stała niespokojnie w progu, wyglądając jej, pełna lęku. Mam nadzieję, że zapięłaś pas. Pamiętasz, co spotkało księżną Di? Ale kiedy taksówka się zatrzymała, mama zatrasnęła drzwi i znikła w głębi domu. Prawdopodobnie, aby zaparzyć kawę, nadać pozory normalności swoim wysiłkom zaprezentowania się światu (ten świat to Louise i taksówkarz) jako zwyczajna matka. Louise zapłaciła i ruszyła ku kuchennym drzwiom po biegnących wzdłuż domu wykładanych kafelkami schodkach. Położył je Sammy, gdy w trakcie rocznego urlopu dziekańskiego z college'u nagle zabrakło mu forsy. Kamienny kominek w salonie, „nowa” (sprzed parunastu lat) poręcz na schodach, lekko zmurszała podłoga na werandzie, to wszystko pamiątki po tym okresie niedostatku. Matka uważała, że lepiej mu płacić za prace domowe niż wysyłać go na poszukiwanie (beznadziejne, bezcelowe, pełne niebezpieczeństw)

prawdziwego zarobku - groził, że wyjedzie na Alaskę i zaciągnie się na rybacki kuter. Owo szaleństwo przypieczętowało jego status pomocnika domowego. Louise uważała, że to kolejna gierka ze strony tych dwojga, matki i syna, żeby zatrzymać go w domu, przedłużyć mu dzieciństwo. Do pewnego stopnia się udało - Sammy wracał do domu niczym oswojony gołąb. Teraz, świeżo rozwiedziony, trzydziestotrzylatek po odwyku, był znowu w Westchester. Sam w wielkim domostwie w Scarsdale, gdzie jedynym umeblowaniem były wielka, obita czarną skórą kanapa, stół do gry pionkami w piłkę nożną i wielki telewizor. Co dnia ten finansowy geniusz, ten uczony głupek, Sammy, ruszał w odwrotnym kierunku, do City, tą samą kolejką dojazdową, z której Louise niedawno wysiadła. Podjął nową pracę. Rozpoczął nowe życie. Stary kumpel ze szkoły załatwił mu robotę na stanowisku analityka finansowego u Goldmana Sachsa - oby tylko zdołał utrzymać język za zębami i nie rozpowiadał o minionych sześciu miesiącach: „Powiedz, że byłeś na przykład w Tybecie - radził kumpel - musiałeś się, kurczę, odnaleźć”. Przynajmniej ktoś jeden tutaj wie, jak zrobić forszę. Nie można powiedzieć, że Louise lubiła Sammy'ego, ale nie można też powiedzieć, że go zdecydowanie nie lubiła. Pięć lat, jakie dzieliły ich urodzenie, sprawiły, że każde z nich było właściwie jedynakiem. Ona mu po prostu zupełnie, w najmniejszym stopniu nie ufała. Od czasu, gdy będąc jeszcze nastolatkiem, wkrótce po śmierci Scotta Feinstadta, gdy miała uraz na punkcie samochodów, on, wciąż niepełnoletni, na miłość boską, ukradł i rozbił jej volkswagena. A matka bez przerwy naciskała, by Louise mu wybaczyła. Przecież mógł skrócić sobie kark! Czy nie dość już wycierpiał? Otóż nie, uważała Louise. Ani wówczas, ani teraz Sammy nie dość wycierpiał za swoje wyczyny.

Peter z Sammym zawsze się świetnie rozumieli. Baseball, giełda, grzeczne, podprowadzające pytania Sammy'ego z dziedziny fizyki, które podbijały balon narcyzmu Petera. Gadki chłopaków. Louise wróciła myślami do propozycji Sammy'ego, cokolwiek to było - wzruszyła ramionami. Buntowała się przeciw niej całą sobą - Peter zachowywał się bardziej jak opiekun opóźnionej w rozwoju dorosłej osoby (jej!) niż przesadnie przyjazny były mąż, a Sammy miał Petera za naiwniaka. Ona zaś miała nadzieję, że Peter, naukowiec, a nie biznesmen, nie jest na tyle głupi, by dać się nabrać.

Louise weszła tylnymi drzwiami. Rzeczywiście, na szafce parzyła się bezkofeinowa kawa. Ciasto o niskiej zawartości tłuszczu, pokrojone, czekało w pudełku. Dwa kubki: jeden wyszczerbiony, z napisem „Zrujnowałem się w L.A.” (prezent od Sammy'ego, gdy wrócił z odwyku), a drugi opatrzony inskrypcją: „Najwspanialsza Mamusia na świecie”. Kubki stały obok siebie na okrągłym kuchennym stole. Louise nie miała wątpliwości, który przeznaczono dla niej. Wzięła ten wyszczerbiony i sięgając po śmietankę, przystanęła, aby pocałować matkę w pochyloną głowę. Matka, stojąc przy zlewie, siekała cebulę na kolację. Cebulę. Właśnie teraz, kiedy podaje ciasto. Chociaż moczyła nóż pod bieżącą wodą, z jej oczu i tak płynęły łzy.

- Czemu zawdzięczam twoją wizytę? - spytała.
- Sama nie wiem, chyba chciałam po prostu odwiedzić dom.
- Dlatego wciąż go masz, byś mogła do niego wrócić - powiedziała mama. - I możesz wrócić.
- Gdzie bachor? W pracy?
- Haruje jak wół - odparła mama i westchnęła. - Tak się cieszyłam, kiedy poślubiłaś naukowca. Kogoś, kto ma czas dla rodziny. A nie tak, jak ten cholerny nicpoń.

Któż to jest ten nicpoń? Louise szybko przebiegła w myślach listę kandydatów. Sammy? Wykluczone. On dopiero co przeszedł piekło. Daj odetchnąć biednemu dzieciakowi. Jej Sammy nie ma w sobie nic z nicponia. Louise wstrzymała oddech. Serce zabiło jak młotem. Scott Feinstadt. Ściślej F. Scott Feinstadt. Czyżby mama robiła aluzję do F. Scotta Feinstadta? Louise miała wrażenie, że jej serce i płuca pękają na tysięczne kawałki. Zaczęły jej drzeć ręce. Nachyliła się i oparła je o zniszczony blat, żeby się nie trzęsły. Czy mama naprawdę jest wszechwiedząca?

Niewykluczone, myślała Louise, zwieszając nisko głowę, z trudem łapiąc powietrze, iż mama na tym etapie życia tak wyćwiczyła swoją macierzyńską sprawność, że jest zdolna zadać uprzedzający cios i już rozpoczęła kampanię przeciwko najnowszemu wcieleniu tego pierwszego nicponia, który dawno, dawno temu złamał serce jej córki. Naprawdę zrujnował jej życie, dotarło do Louise właśnie w tej sekundzie. Jakoś nigdy przedtem nie objawiła się jej ta przerażająca, choć w pewnym sensie wygodna prawda - wygodna, bo tłumaczy, dlaczego stała się taka twarda i zgorzkniała, oto powód! - ale z drugiej strony nigdy przedtem Scott Feinstadt nie zadał sobie trudu, by wrócić z zaświatów; prawdę mówiąc, już dawno przestał nawiedzać ją nawet w snach.

A może mama, jak to mama, nieprzejednana, nie bacząc na upływ czasu, wciąż jeszcze wypomina jej romans, jaki nawiązała pod koniec małżeństwa - jakby to było wczoraj - z niewydarzonym podstarzałym muzykiem jazzowym, który - wiecznie w rozjazdach, prawie nieobecny - zdołał jednak obdarzyć ją tryprem?

Nie, ani ten, ani ten. Jedno spojrzenie znad stołu na tak znajome uniesienie zmarszczonych brwi i wszystko się wyjaśniło. Rzeczony nicpoń to nicpoń.

Tata. Dobrze, ale jakie to ma znaczenie, westchnęła Louise, dłonie się jej spociły, oddech uspokoił, serce wróciło do normalnego rytmu, teraz obie są rozwódkami. Jakie ma znaczenie, o której wracali do domu ich szacowni nicponie? Teraz i mama, i Louise są samotne. Kropka. Same, dzielą się ze sobą tym, co im zostało.

Nigdy nie będą samotne.

- Mamo?

- Hm?

- Co słyhać u Feinstadtów? - Louise zdawała sobie sprawę, że kusi los, gdyż niezmiernie rzadko rozmawiały o Feinstadtach, cały tamten straszliwy epizod usiłowały wyrzucić z pamięci, już się z tym uporała, chwalić Boga, a tymczasem Louise, zadając to pytanie, przypuszczalnie pobudzi w mamie żądzę zemsty, wyczuli ją na kłopoty - Louise była jednak doprowadzona do rozpacz. Może F. Scott Feinstadt jest nieślubnym dzieckiem Scotta Feinstadta lub, co bardziej prawdopodobne, dalekim kuzynem. Jeżeli ktokolwiek zdoła to wszystko rozsypać, to tylko mama.

- Cóż, niech pomyślę - odparła mama, unikając wzroku Louise, celowo (Louise dobrze ją znała) udając brak zainteresowania i skupiając się na otwieraniu puszek z groszkiem, podczas gdy w jej głowie, za srebrnym ekranem włosów, zaczęło tykać: Dlaczego ona mnie o nich pyta? - Jedna z córek wyszła za mąż za prawnika z Bostonu. Chyba urodziła dziecko. Druga jest wciąż panną. Lesbijka. - Mama niemal wykrzyczała to słowo, nie miała zahamowań. - Słyszałam, że jest o wiele bardziej interesująca niż żona prawnika, to ci chyba coś mówi, prawda? Pisze książki czy kucharzy, albo jedno i drugie. O, już wiem, dziewczyna Feinstadtów pisze książki kucharskie. Stacey. Stacey Feinstadt. To ona. Ta młodsza.

- A co u rabiego Feinstadta?

- Kiedy przeszedł na emeryturę, przeprowadzili się na Florydę. Mieszkają gdzieś w pobliżu twojego ojca. Biedna Rachel. Nigdy nie pogodziła się ze stratą. I nic dziwnego. Z tego, jak opowiadała o jego talencie, można by wnosić, że ten chłopak był kimś wyjątkowym.

Gniew matki wzgardzonej dziewczyny. Bezgraniczny. Bez względu na śmierć, minione lata i towarzyskie układy. Zranił jej Louise, więc matka go nienawidziła.

- Mamo - odezwała się Louise, nawet po tak długim czasie, nawet w tej chwili lojalna. Ciągle go broniła.

- Uważam, że to najgorsze, co może spotkać kobietę - stwierdziła mama, myśląc oczywiście o Scotcie. - Feinstadtowie wpadają czasem do Larchmont, nie sprzedali domu, wynajęli go jakiejś parze japiszonów, chyba tym, co mają te ogromne psy? Nie pojmuję. Jak chcesz mieć konia, kup sobie konia. Kiedy spotykam Rachel, jest dla mnie bardzo serdeczna; nigdy jednak nie odzyskała dawnej kwitnącej formy. Jako młoda dziewczyna była śliczna.

Kwitnąca forma. Czy Louise kiedykolwiek myślała w tych kategoriach o matce Scotta - cudowna, młoda, kwitnąca dziewczyna? W tamtych czasach, gdy jeszcze była w szkole, widziała w pani Feinstadt tylko rywalkę i zagrożenie. Błyskotliwa, niebieskooka kobieta z krótko obciętymi włosami, niechętna licznym dziewczętom, które kręciły się koło jej syna. Synka mamusi. Kiedyś, gdy siedzieli w eleganckim salonie Feinstadtów, Scott chwycił matkę, przerzucił ją sobie przez ramię i zalotną, rozchichotaną i niewiarygodnie zadowoloną położył na sofie obok Louise. Gdyby Louise miała wtedy broń - zabiłaby ją. Dlaczego pani Feinstadt nie zachowuje się tak, jak przystoi osobie w jej wieku? - myślała wtedy. Matce, żonie rabina, kobiecie w średnim wieku. Ze zdumieniem stwierdziła, że ona ma teraz

prawdopodobnie mniej więcej tyle lat, ile Rachel Feinstadt miała wówczas.

Nagle Louise poczuła głęboką niechęć do siebie. Do tego, co tu robi. Ma trzydzieści osiem lat, dobiega więc czterdziestki. Jaki sens ma zazdrość o matkę Scotta Feinstadta? Poza tym, co jej winna pani Feinstadt?

On zrodził się z jej łona. Wykarmiła go własną piersią. Nie można zerwać więzi z matką. Sama wie o tym najlepiej.

Louise zrobiło się niedobrze.

- Chyba się zdrzemnę w swoim dawnym pokoju, jeśli mamy jeszcze trochę czasu do kolacji?

- Oczywiście, skarbie. Zdrzemnij się. Tylko że pokój może być nieco zakurzony, zanim odetchniesz, otwórz szeroko okna. Lucille zaczyna się starzeć.

Lucille, sprzątaczką. Była w domu, nim jeszcze Louise przyszła na świat. Jedno z najwcześniejszych jej wspomnień to zamach na Martina Luthera Kinga, który oglądała w telewizji, podczas gdy Lucille, szlochając, roztrzepywała poduszki w sypialni rodziców.

- Kurz to najprostsza droga do zapalenia płuc, jak wiesz. Nigdy za wiele ostrożności.

Louise wyszła z kuchni i pobiegła nowymi schodami, wyłożonymi perskim dywanem, biorąc po dwa stopnie naraz.

Wejście do dawnego pokoju dziecinnego przywołało dziwne uczucia przestachu, podekscytowania, niepokoju; mimo że pokój zmienił się przez lata, mama składała tu szycie, książki i stare kolorowe magazyny, które czytywała: „Ladies Home Journal”, „Psychology Todays”, „The Worker” i „Ms”. Rzeczywiście, wszędzie zalegał kurz, więc Louise posłusznie otworzyła okna, nim odetchnęła, i uświadomiła sobie, że jeśli kiedykolwiek jeszcze wejdzie do zakurzonego pomieszczenia, zawsze towarzyszyć jej będzie myśl: Kurz to najprostsza droga do zapalenia płuc. Wszystko się tu zmieniło,

ale wciąż czuło się rodzinną atmosferę. Kolorowe zasłony, podwójne drewniane łoża, jasnożółte, niemal białe tapety - wszystko to tak bardzo przypominało jej czasy dzieciństwa. Louise zakreśliło się w głowie, nie mogła głębiej odetchnąć, jakby miała osunąć się na kolana i zapłakać. Ale ruszyła prosto do swojej szafy, otworzyła drzwi i przejrzała wieszaki. Matka poukładała rozmaite skarby i ubrania według ich rozmiarów. Najmniejsze na początku. Louise popatrzyła na swoje najukochańsze stroje - ciemnopomarańczową aksamitną dziecięcą sukienkę, którą miała na sobie na ślubie kuzyna jako sześciolatka. Wisiała tuż przy szwajcarskim stroju ludowym z plisowaną spódniczką - rodzice przywieźli go z Europy, kiedy córeczka miała siedem lat. Oba stroje opakowano starannie w foliowe worki. Dalej znalazła ubrania z okresu swoich wczesnych lat dziewczęcych, falbaniaste spódnice, skąpe i obcisłe sukienki mini. (Babcia. Szyła je babcia. Louise powąchała, czy jeszcze zachował się w nich zapach matki jej matki? Fiołki, mydełko Ivory, kulki na mole, talk, którym pudrowała swoje obfite piersi. Czy warto było narażać się na słodki i ostry ból towarzyszący temu odkryciu?). Kolejny etap to życie nastolatki, szkoła średnia, niebieska dżinsowa bluza z wyhaftowanym TAK na plecach, no i ta skórzana kurtka od Missy, którą Louise zachowała mimo wszystko, dżinsowa spódniczka z łąt, na której niezmywalnym tuszem wypisała wiersze Joni Mitchell. Louise jak na wachlarzu oglądała historię własnego życia.

Zdjęła spodnie. Jeśli dalej tak będzie traciła na wadze, to pewnie zdoła się wbić w stare paramilitarne portki. Pachniały nią, tak jak kiedyś pachniała. Balsam dla dzieci firmy Johnson, nieco zwiędziały zapach olejku paczuli, cytrynowy szampon i odżywka do włosów. Zapomniała już własnego zapachu, tak jak wielu innych rzeczy, że potrafiła być czuła i wrażliwa, łatwo wpadała w zachwyty. I potrafiła do tego

stopnia zwariować na punkcie chłopaka, że rwała sobie włosy z głowy.

Stojąc na drabince przy swojej starej szafie, w swoim rodzinnym domu, Louise sięgnęła wzrokiem do dwóch najwyższych półek. Stały tam pudełka po butach. Wspięła się na palce i uniosła to, w którym były trzy listy, zasuszony kwiatek, nalepka z butelki po piwie, zabłocona pociemniała paleta farb, pogniecione niedopałki papierosów - kiedyś dotykały ich jego wargi - wszystkie pamiątki, jakie jej pozostały po tym krótkim okresie, kiedy byli razem, ona i Scott Feinstadt. Kolejne pudełko zawierało pamiątki po związku z Billym Meyersem, obok pamiątki po Robiem Saksie i Eriku Fisherze, a trzy czy cztery wypchane pudła, kapsuły czasu, kryły w sobie pamiątki po byłym mężu Louise, Peterze Harringtonie. Na drugiej półce znalazła większe pudło po sprzęcie stereofonicznym, odruchowo ochrzciła jego zawartość mianem „nieważne”. To drobne pamiątki po przelotnych miłościach, tygodniowych przygodach, zerwaniu z Peterem i najczarniejszych dniach małżeństwa. Wykorzystane bilety na koncerty, nieużyte prezerwatywy (westchnienie), odrobina kokainy, wciąż owinięta w lśniącą foliową kopertkę, tubka po maści tygrysiej, kłębek wełny małej szarej owieczki od pożądlivego młodego poety, który tamtej pamiętnej wiosny wyciągał ją z gabinetu Petera i zabierał na najbliższe pole „popatrzeć na owce” - jakby oglądanie owiec mogło cokolwiek rozwiązać, chociaż teraz myślała, że tak. Owce mogły. Sam ich widok.

Louise Harrington wyciągnęła pudełko z pamiątkami po Scotcie Feinstadtzie, chociaż jego zawartość znała na pamięć. Nie przeglądała go jednak od dwudziestu lat, od chwili odejścia Scotta. Obracała je w dłoniach, ale tak się przeraziła ogarniającym ją strachem i uczuciami, jakie mogłoby wzbudzić podniesienie wieka, że znów stanąwszy na palcach,

odłożyła pudełko na półkę. Serce biło jej jak młotem, puk, puk. Dopiero po chwili zdołała odzyskać oddech. Potem zeszła na dół, jak grzeczna dziewczynka zjadła kolację, ucałowała matkę i wsiadła w najbliższy pociąg, cudem unikając spotkania z bratem, który kilka razy w tygodniu lubił zjeść z mamą kolację. Zaufaj mu choć trochę - to nie żaden kryminalista. Louise nie miała ochoty się z nim spotkać. Z Sammym porachuje się później.

Była środa, dzień zaimprovizowanej naprędce rozmowy z F. Scottem Feinstadtem. Louise umówiła go na późne popołudnie. Dzięki temu mogła spędzić sporą część przedpołudnia w salonie Anne Sui na poszukiwaniach spódnicy podobnej do tej, jaką kupiła u Shalimara w 1981 roku. F. Scott Feinstadt miał wtedy pięć lat. Zdecydowała się wreszcie na cienką i przezroczystą, zakończoną kilkoma falbanami, które wirowały wokół kostek. Kiedy zapłaciła, poszła do miejscowej kafejki, tam do toalety i przebrała się. Dzinsy wrzuciła do stojącego w kącie kosza. Obejrzała się uważnie w lustrze - wydało jej się, że ma spierzchniętą skórę, rozszerzone pory. Potem zdjęła klamrę ze swoich długich kasztanowych włosów - których tego ranka, pierwszy raz od dwudziestu lat, nie nakręciła, lecz wysuszyła proste - i zaplotła w luźny jedwabisty warkocz. Co ja, do diabła, wyczyniam, pomyślała Louise. Przecież nie taka mu się podobałam.

Kiedy siedziała już w biurze, okazało się, że F. Scott Feinstadt jest spóźniony o trzy kwadransy. Louise była na to przygotowana. Przedtem też się zawsze spóźniał. Zazwyczaj wmawiała mu, że film zaczyna się pół godziny wcześniej, niż się zaczynał. Midnight Express. Ależ ścisnęła go za rękę, kiedy główny bohater ugryzł więziennego strażnika w język. Tak go ścisnęła, że Scott opuścił drugą rękę, którą pieścił jej biust.

Była dokładnie piąta czterdzieści osiem. Louise, bliska apopleksji, akurat patrzyła na zegarek, kiedy F. Scott Feinstadt zapukał do drzwi jej biura, choć zostawiła je gościnnie uchylone. Półotwarte.

- Cześć - powiedział.

- Witaj - odezwała się zbyt poufale Louise, nim jeszcze się odwróciła. - Proszę wejść.

Jej głos zabrzmiał teraz urzędowo.

F. Scott Feinstadt wszedł do środka. Do jej biura.

Louise obróciła się na krześle i zmierzyła go wzrokiem. Ten sam wzrost, ta sama waga. Chociaż jakby nieco przytył, ale był przecież cztery lata starszy, cztery lata starszy niż wtedy, kiedy go ostatni raz widziała. Takie same kobaltowo niebieskie oczy (z piwnymi cętkami). F. Scott Feinstadt miał na sobie luźne dżinsy, obszerną, rozciągniętą koszulkę polo w paski, krótko ostrzyżone ciemne włosy na kształtnej głowie. Niestarannie ogolony, jak kibic koszykówki, na kępkach ciemnego zarostu Louise zauważyła nalot siwizny.

To on. Może trochę starszy, ze zmarszczkami śmiechu na twarzy. Ale to bez wątpienia on. Albo jego sobowtór, może klon, duch. On.

On, z tatuażem obejmującym nadgarstek i biegnącym do ramienia. Kiedy się odwrócił, by zamknąć za sobą drzwi, dostrzegła dwa niebiesko - zielone węże, wytatuowane na karku.

To on, choć odmieniony.

„F.” Scott.

- To ty - powiedziała.

- Kto? - zdziwił się, oglądając przez lewe ramię. Potem puścił oko i uśmiechnął się do niej.

Ten sam uśmiech sukinsyna.

- To ty - powtórzyła Louise, nie spuszczając z niego wzroku.

Powrót z wieczności. Może.

Może nie.

F. Scott Feinstadt zjawił się w jej biurze.

Louise zaczęła mówić. Słyszała swój głos, kiedy urzędniczym tonem recytowała wszystkie pozycje z katalogu. Ale w duchu, w duchu! „Hej - chciała zawołać. - To ja, ja w tym dojrzałym ciele. Mięśnie wyćwiczone w aerobiku, wiotczająca skóra, opalone miejsce po obrączce na serdecznym palcu lewej ręki, pod bliznami po ciosach, jakie zadało mi życie, rozczarowania, moje własne słabości, zazdrość, jakie ty mi zadałeś - to ja, twoja Słodka Magnolia, Cynamonowa Dziewczyna!”

Zaprzagnęła poczołgać się po podłodze, odpiąć suwak jego spodni i wziąć w usta jego męskość.

Ale tylko paplała dalej, co oferuje szkoła, równocześnie pozerając go wzrokiem.

- Oto Kobieta za plecami mężczyzny. Frida Kahlo, Lee Krasner i, nie wiadomo dlaczego, Helen Frankenthaler, może powinno się to nazywać po prostu Kobieta? A to Ułuda pod postacią kobiety, tutaj jest napisane „studium rodzajowe”. Ach, „szkic alegoryczny”...

Poruszał się niespiesznie, zalotnie. Trochę nieśmiało zadawał pytania i sam sobie odpowiadał, jak zawsze miał w zwyczaju.

- Wiesz, jestem niczym klejnot, który wyrósł na przedmieściu, Providence to nie jest wielkie miasto... Czy zjedzą mnie tutaj żywcem? Czy w Nowym Jorku znajdzie się miejsce dla takiego małomiasteczkowego nieudacznika jak ja?

Uśmiechnął się zabójczo. Taki sam ukruszony przedni ząb, może na skutek tego samego upadku podczas jazdy na desce.

- Oczywiście jest jakaś nadzieja - odpowiedział sam sobie. Teraz uśmiechał się już szeroko. - Zawsze jest jakaś

nadzieja, Louise. Wiem to. Wiem, o czym myślisz, i to jest obiecujące. Potrafię czytać w twoich myślach.

Louise skinęła głową. Tak. F. Scott Feinstadt, w nim pokładała największe nadzieje. Owszem, potrafił czytać w jej myślach.

Kafejka w ogródku na Upper Broadway. Jedli burritos i sączyli margaritę. Louise nie bardzo zdawała sobie sprawę, jak udało się jej zaciągnąć F. Scotta na tę „randkę”, ale były takie szczególne chwile tego wieczoru - gdy ujął ją pod ramię i poprowadził do stolika, kiedy nachylał się, żeby przypalić im papierosy, gdy kelner przyniósł drugą kolejkę trunków (ja rzuciłam palenie wieki temu, zapewniła Louise, zaciągając się głęboko, F. Scott przysięgał, że zażywa „tabaki” tylko wtedy, kiedy pije alkohol) - że Louise nie była pewna, kto kogo zaciągnął. Prawda, ona zaproponowała, żeby coś przegryźć. Już późno, stwierdziła, gdy byli jeszcze w biurze, umiera z głodu, a w jej opinii fachowca F. Scott Feinstadt wciąż nie otrzymał odpowiedzi na wiele pytań dotyczących programu (choć od godziny nie zadawał już żadnych pytań). A jednak, kiedy siedzieli nad zapiekanką z czarnej fasoli, kwaśnej śmietany i ryżu (jej Scott Feinstadt nie cierpiał odchudzających się dziewcząt, toteż w jego obecności opychała się, a potem biegła do toalety zwymiotować; jeszcze bardziej nie cierpiał grubych dziewcząt), odnosiła wrażenie, że w jakiś sposób została wymanewrowana. Co było denerwujące i w istocie zarazem przynosiło ulgę. Taką samą ulgę i wściekłość czuła nierzadko na parkiecie, kiedy pozwalała się prowadzić do tańca komuś rodem prosto z filmu Gorączka sobotniej nocy.

- Wytlumacz mi, Louise Harrington - odezwał się F. Scott. - Dlaczego właśnie Nowy Jork? Nie mogłaś wybrać czegoś ładniejszego i tańszego? Na przykład akademii w Iowie? Nie mogłabyś robić tego samego w Iowie, jeździć

konno albo na motocyklu, coś w tym stylu, i żyć jak królowa?
- Przybrał pozę Jacka Nicholsona, jakby bawił się każdym słowem. Jakby bawił się nią. Skinął dłonią w kierunku ulicy, pokazując zastępy czubków, żebrzących, bezdomnych, gestem, który jakby zapraszał ich do stolika.

- Kto to wie? - odparła Louise spłoniona, zła, zadowolona. - Tu chyba jest moje miejsce na ziemi.

- Tego i ja pragnę - stwierdził F. Scott, a jego oczy rozjaśniło wzruszenie. - Tego właśnie chcę, tu znaleźć sobie dom.

Na tych ulicach? - pomyślała Louise. Tysiące i jeden sklepik z pączkami, tysiąc i jedna kawiarenka, miliony mętów i Murzynów. Mnóstwo młodych ludzi przeflancowanych z Larchmont, Long Island, Scarsdale. Jego „gleba”? W ostatnich latach Upper Broadway przeistoczył się w pasaż narodowości. W takim ciągu etnicznym znajdował się lokal, w którym siedzieli. To samo mogliby zjeść w Cross County Shopping Center. Ale choć nie ma tu już De Kooninga, Rauschenberga, Rothko ani Basquiata, ani Haringa, czy jak się tam zwał ten typ ze złamaną sztuczną szczęką (margarita uderza jej do głowy, może są kto wie?), F. Scotta najwyraźniej nakręcało to miejsce. Cholera, ją też właściwie nakręcało, gdyby się nad tym głębiej zastanowić. To miasto nakręcało chyba każdego, kto zadawał sobie trud, aby w nim żyć, inaczej dlaczego miałyby się narażać na trudności? Louise patrzyła, jak F. Scott pilnie obserwował otoczenie: chińskich dostarczycieli na rowerach, włóczęgę sikającego na ich oczach, odrapane autobusy, piszczące oponami taksówki, samochody dostawcze z niesprawnymi tłumikami, widoczne wszędzie zamęt i pośpiech. Udzieliło się jej podniecenie F. Scotta, przypomniała sobie, jak to jest wpaść w tryby tego miasta, zakochać się w nim. Kolana Scotta otarły się o jej kolana. Kilka ruchów. Potem Scott cofnął nogi, choć wciąż trzymał

kolana tuż - tuż, o pół milimetra od jej kolan, wzniecając taki żar, jakby za chwilę cały świat miał eksplodować.

- Co powiesz na kolejnego drinka? - zaproponowała. - Na koszt firmy. - A jakże! Na koszt jej karty kredytowej. Debet rósł jak na drożdżach.

Podpity F. Scott uśmiechnął się do niej.

- Owszem. Czemu nie? - A potem dodał: - To się nazywa skuteczna rekrutacja, prawda?

Czy naprawdę zdołał przejrzeć ją na wylot? Trudno powiedzieć. Trudno orzec, skoro wysyła takie sprzeczne sygnały: zdolność do sterowania i całkowita naiwność. Wydawało się, że jest coraz bardziej pijany. To i dochodzące przez otwarte okna kafejki dźwięki serenady, którą narkoman na wózku inwalidzkim wygrywał na niepodłączonej do prądu elektrycznej gitarze, zawodzącymi tonami prowokując do wycia okoliczne psy, przypieczętowały los F. Scotta. Czas opuścić to miejsce, na deser sprowadzając F. Scotta do siebie. Oboje mieli nieźle w czubie.

Louise zaciągnęła przystojnego młodzieńca do swojego mieszkania, modląc się, żeby wciąż miał taką samą muskulaturę wzdłuż kręgosłupa, na nieowłosionych plecach, na brzuchu, który powoli sobie przypominała. Od jak dawna nie spała z takim ciałem?

Louise pragnęła tej nocy! Toteż zawlokła F. Scotta Feinstadta na górę, tłumiąc w sobie lęk, że jej wiek może stworzyć zaporę dla rozkoszy, jaką już sobie wyraźnie wyobrażała, niemal ją czuła. Prawda, gdzieś głęboko w jego niezwykle młodej duszy F. Scott Feinstadt mógł pamiętać ich dawne życie i brakowało mu jej dojrzałego wcielenia, ale z drugiej strony Scott, którego znała, niezbyt cenił jej cielesne walory. Była wtedy chuda jak jętka. W ubraniu trudno było odróżnić piersi od żeber. Kiedyś, po sesji miłosnej, zaparł się, by leżąc bokiem na łóżku - penis miał już trochę zwiotczały -

uważnie obejrzeć ją nagą. Skłonił Louise, żeby paradowała po sypialni jak modelka - zawstydzona i speszona modelka z obwisłymi ramionami i dłońmi, którymi wymachiwała, nieudolnie naśladowując tancerkę, chcąc się zasłonić. Po dziesięciu straszliwych minutach Scott stwierdził, że jest całkiem ładna - Louise zrobiło się przyjemnie i spłonęła się - „tylko pośladki powinny być trochę wyżej”. Wyskoczył z łóżka, ujął jej pośladki i uniósł, aby zademonstrować, gdzie powinny być.

Jaka to szkoda, że Scott Feinstadt nie dożył chwili, aby doświadczyć skutków spowolnionego metabolizmu, łysiny i wydatnego brzucha, jak inni faceci z ich klasy (Louise uczestniczyła w zjeździe na piętnastolecie ukończenia szkoły). Szkoda, że jakaś bezlitosna kobieta, śmiejąc się drwiąco, nie ostudziła jego miłosnych zapałów, kiedy usiłował się wybić jako artysta w Nowym Jorku i tak bardzo potrzebował jej wsparcia. Szkoda, że ktoś w tak świetnej formie jak Louise dzisiaj nie może mu poradzić, aby trochę pobiegał, podczas gdy on, w skarpetach i pasiastych bokserkach, podatny na ciosy, szykuje się do pracy w salonie samochodowym wujka w Jersey.

Szkoda, że właśnie Scott Feinstadt, jeden jedyny z ich grona, zmarł, kiedy był w tak wspaniałej kondycji.

Ale wobec F. Scotta Feinstadta Louise na własnym gruncie miała przewagę. Zdawała sobie sprawę, że F. Scott Feinstadt ma słabość do starszych kobiet. Poprowadziła go do salonu. Posadziła na podłodze przy stoliku. Nalała piwa - Scott Feinstadt nigdy tego nie potrafił.

Usłyszała, że dzwoni telefon, włączyła się automatyczna sekretarka: „Kochanie, hej, to ja”. Co do Louise to Missy może się odpieprzyć. Czy Missy, kiedy przechwyciła Scotta Feinstadta, raczyła choć raz podnieść słuchawkę, gdy dzwoniła do niej Louise? Nie. Nigdy. Pozwalała, aby ten

cholerny telefon dzwonił bez końca, nawet kiedy wiedziała, że Louise widziała, jak wchodzili razem do domu, że Louise wiedziała, że są tam sami, że matka Missy wyjechała. „Co z tobą? - pyta teraz Missy, jej nosowy akcent z Larchmont dudni po pokoju. - Wibracje mi mówią, że coś jest nie tak. A przedtem tak dziwnie rozmawiałaś...”

Chrzanię ją. Chrzanię Missy i jej wibracje. Wścibska suka. Do niego nie pozwolę ci się nawet zbliżyć. Louise odwróciła się do F. Scotta.

- Orzeszki? - zaproponowała. - Ser?

- Jest świetnie. Wspaniale. - Uśmiechnął się do niej. Z uznaniem. Możliwe, że dostrzegł w niej urodę. Jak się zdaje, nie sądził, żeby była dla niego za stara. Przypomniała sobie, jak Scott Feinstadt mówił jej o „wabikach starszych pań” - jak to nazywał - kiedy przed ponad dwudziestu laty leżeli nadzy w Manor Park, za koc służyły im szorty, czarne podkoszulki i jej biały koronkowy biustonosz, zwinięty niczym kociak pod jego nogami.

Zanim się zorientowała, było już po wszystkim, była wilgotna, on zaspokojony, leżeli osobno, nie dotykając się na wilgotnym trawniku prowadzącym na miejscową plażę, wąskie pasmo piachu. Grubiańskie słowa Scotta zaboląły ją jak policzek.

Chcąc podtrzymać rozmowę - czuła się niezręcznie, leżąc tak przy nim nago, księżyc oświetlał jej długie białe uda, a ona była zimna jak głaz, speszona, że nie doszła do szczytu i nie miała nawet dość czasu, by to udać - zaczęła jęczeć, że się starzeje. Kończy szkołę średnią. Używana rzecz. A tyle młodszych już przebiera nogami, żeby zająć jej miejsce. Sięgnęła po jego rękę.

Nie chciała go stracić. Nieważne, że był egoistą, kiepskim kochankiem. Miała siedemnaście lat. Co mogła wiedzieć o kiepskich kochankach? Nic nie było ważne, ani dziwna

mieszanka jego „naturalnego” dezodorantu i odstręczającego zapachu ciała, ani niedojrzałe uczucia, ani niewiarygodne zadufanie.

„Nie ma zmartwienia - powiedział Scott Feinstadt. - Przelatywałem już starsze. Naprawdę stare, trzydziestoczero - , trzydziestopięcioletnie. Byle były w dobrej kondycji. Mocne dziewczyny. W tym wieku mają największe potrzeby seksualne. A chłopcy w wieku dziewiętnastu lat. Masz więc szczęście. Złapałaś mnie, kiedy jestem w szczytowej formie”.

Odwrócił się i znowu w nią wszedł.

Szczęście? - pomyślała Louise. Przed chwilą sterczałeś nade mną jak zgoniony pies z wywieszonym językiem. Teraz leżysz rozgrzany, spocony na moich piersiach. Czy to znaczy, że mnie kochasz?

Teraz jednak, będąc u siebie, dorosła, na stosie aksamitnych marokańskich poduszek, niczym w haremie, ze starszym, lecz wciąż jeszcze młodym F. Scottem Feinstadtem, Louise myślała inaczej. Mam szczęście, mam wielkie szczęście, że znowu z nim jestem. Przez cztery minione lata - cztery lata F. Scotta Feinstadta - wiele się nauczył. Był namiętny, czule całował jej szyję, pieścił koniuszki jej uszu. Miał znajome ciało. Chłopięce i piękne. Ściągnął koszulkę przez głowę, jego niegdyś bezwłosą pierś wokół brodawek zdobiły wianuszki ciemnych kręconych włosów, w dolnych partiach brzucha były bujniejsze, wełnistym trójkątem ciągnęły się w stronę ud.

Kim jest ten facet? - zastanawiała się Louise. Co ja tu, u diabła, z nim robię? Czyżbym kompletnie zwariowała? Jestem żalosna? Pedofilka? Dewiantka? A przecież, myślała, nie mogę uwierzyć we własne szczęście. Dostałam drugą szansę.

Znów rozdzwonił się telefon. I włączyła się automatyczna sekretarka. Peter. „Lou. To ja. Widziałem się dzisiaj z

Sammym. To cholernie interesujące. Na pewno słyszałaś o odtwarzaczach DVD..."

- Chwileczkę - odezwał się F. Scott. - Nie zechcesz z nim porozmawiać?

Porozmawiać? Z Peterem? Z nim może zawsze porozmawiać.

- Boże, nie - powiedziała. - To Peter, mój eksmąż.

- Eksmąż - powtórzył F. Scott. - To rajcujące.

Automatyczna sekretarka wyłączyła Petera. Telefon natychmiast rozdzwonił się od nowa. Louise zaczęła całować F. Scotta, rękami pieściła jego twarz, uszy, w nadziei, że rozpostartymi dłońmi zagłuszy dźwięk dzwonka.

„Posłuchaj, mam zamiar kupić ci nową automatyczną sekretarkę - mówił Peter. - Taką, która nie wyłącza mówiącego...” - Pstryk.

F. Scott znowu się odsunął.

- Nie, Louise, mówię serio - powiedział rzeczywiście serio. - Chcę porozmawiać. Oboje otrzymaliśmy szansę, szansę na naprawdę wspaniały seks, bo jestem wobec ciebie szczery, rozumiesz? Mam nadzieję, że i ty będziesz szczera wobec mnie... chcę dowiedzieć się o tobie czegoś więcej. Przedtem za bardzo mi się spieszyło i to był błąd. Z tobą nie chcę popełnić tego błędu. Zanim zaczniemy się kochać, chcę dowiedzieć się o tobie jak najwięcej. - Wyciągnął rękę, nieśmiało, jakby się jej oświadczał, jakby czymś ryzykował, ale zarazem zachował pewność siebie, pewność, że tym razem postępuje właściwie. Ujął jej dłoń swoją piękną, suchą dłonią, po znaczoną ciemnymi kreskami po farbie na linii serca i linii życia - tak boleśnie krótkiej, pomyślała Louise, chyba że to sprawa farby - jakby ją ktoś wygrawerował. „Zanim zaczniemy się kochać”?

Kiedy po raz ostatni ktoś uwodził ją, odsuwając chwilę spełnienia?

Scott Feinstadt. Tak postąpił, kiedy pierwszy raz znaleźli się w jego samochodzie. Podniecił ją, najpierw gładził jej majtki, potem wsunął palce do środka, a potem, och, już w jej wnętrzu. Wreszcie znalazły się tam jego usta, doprowadził ją do szaleństwa, czuła jego silny ciepły język, zakreśliło się jej w głowie, jakby lada chwila miała jej odpaść, a wtedy on się wycofał. Odsunął się, zostawił Louise omdlałą i drżącą, miała wrażenie, że gdyby ktoś pociągnął za tajemną nitkę, rozprułyby się i rozpadła w kawałki. Przetrzymał ją, bo okazał się wrażliwy, a ona zachowała się jak podstarzała, napalona dziwka. Przetrzymał, chociaż robił to już z Bertą, Trishą, Theresą Longo i prawdopodobnie z połową rzymianek, podczas gdy dla Louise był to pierwszy raz. Doświadczony Scott Feinstadt doprowadził dziewicę Louise Silverstein do tego, by go błagała.

„Chcę poczekać, aż wszystko będzie jak trzeba”. „Chcę poczekać, aż będę pewien”.

Potem pan i władca odwiózł ją do domu. Louise była jak rozgotowany makaron, ale wciąż podniecona, była jak częściowo zakopany w ziemi kabel telefoniczny, który leży swobodnie w trawie, ale jego odsłonięty koniec od czasu do czasu iskrzy. Biedna Louise, zmieszana i zawstydzona, siedziała skulona przy drzwiach, a Scott Feinstadt cichym śpiewem wtórował piosence Bruce'a Springsteena, która właśnie leciała przez radio; wpatrując się w drogę przed sobą, co pewien czas łaskawie poklepywał ją po kolanie. Tego wieczoru Louise przestraszyła się, bała się, że odstręczyła Scotta, że zachowała się, jak powiedziała Missy o Bercie, „zbyt nachalnie”, bała się, że nigdy nie będzie już miała drugiej szansy.

Teraz była starsza, mądrzejsza.

- Zgoda, F. Scott. Porozmawiajmy.

F. Scott splatał swoje palce z jej palcami.

- Masz takie piękne dłonie. Zupełnie jak Georgia O'Keeffe. Jesteś artystką?

- Nie - odparła Louise. - Jestem p.o. pełnomocnika do spraw rekrutacji na Wydziale Sztuk Pięknych.

- To już chyba wiem - uśmiechnął się nieśmiało. - Ale co kryje się w twoim sercu?

W jej sercu, tym chwiejnym, zdradliwym mięśniu, w którym rodził się lęk i trwoga? Cóż kryło się w jej sercu prócz samotności?

- Nie mam pojęcia - odparła cicho. Nienawidziła go. F. Scott Feinstadt przesunął wskazującym palcem prawej ręki po jej obojczyku.

- Może potrafię ci pomóc to określić.

Nie miała czasu na takie rzeczy. W każdej chwili coś mogło się stać. Może uderzyć w nich piorun, może spalić się dom, może dostać udaru. Może znów zadzwonić Peter. Mogą zaatakować terroryści. Ona może umrzeć, on może umrzeć, ktokolwiek może umrzeć, zanim oni „to” zrobią.

Wiadomo, że tak bywa. Ludzie umierają „przedtem”.

Kiedy była młodsza, kiedy on był młodszy, Scott Feinstadt całymi godzinami tak z nią rozmawiał. Pragnął sławy, pragnął nieśmiertelności. Wierzył, że jego obrazy wejdą do kanonu dzieł sztuki, Louise też w to wierzyła, z nabożnym podziwem słuchała jego słów. Był taki ważny, świetny, mądrzejszy od niej. Owszem, ona też była dobrą uczennicą, nawet lepszą niż Scott Feinstadt, i z pewnością była ładna, ale nigdy nie miała w sobie pragnienia, by być kimś wyjątkowym. A Scott Feinstadt, mając zaledwie dziewiętnaście lat, już był kimś wyjątkowym. „Nie chcę nijakiego życia” - mawiał. To robiło na niej wrażenie. Urzekało ją. Gdyby mogła, chętnie oddałaby mu swój przydział tlenu w uszkodzonym wirującym w przestrzeni statku kosmicznym - często tak postrzegała swoje życie: zawieszony w pozbawionej siły ciężenia kapsule

dojrzewania. Peter też był wyjątkowy. Przez jakiś czas cieszyła się, że może krążyć w jego orbicie. Ale teraz, co jej tam wyjątkowość czy jakaś orbita. Pragnęła tylko odrobiny przyjemności. Tlen zachowa dla siebie. Czy to znaczy, że wreszcie dorosła?

F. Scott Feinstadt mówił dalej. Rozumie się, że rodzice z chęcią opłacą jego naukę. Zdaje sobie sprawę, że powinien raczej udać się do Williamsburga, postarać się o jakąś pracę i odczepić się od nich, ale zawsze dotąd tylko się uczył - wodził palcem po dołeczkach u podstawy jej szyi - więc chyba trochę go to przeraża. Ten realny świat.

Dobry Boże, westchnęła Louise. Nie mam już siedemnastu lat. Nie muszę tego wysłuchiwać.

Postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce.

Dosłownie.

- Gdyby się zastanowić... - powiedział F. Scott Feinstadt z uśmiechem - można się poznać na wiele różnych sposobów. Ani mi w głowie twierdzić, że jeden jest lepszy od drugiego.

Z rozmysłem zmierza tam gdzie i ona?

Za chwilę oboje byli nadzy, ześliznęli się z poduszek na podłogę, stół do kawy został odsunięty na bok, a kryzys egzystencjalny szczęśliwie zażegnany.

F. Scott zawahał się chwilę, wyciągnął z kieszeni dzinsów portfel. Wydobył z niego prezerwatywę, jaskrawożółtą i nakremowaną.

- Zgadzasz się? Nie chcę robić nic wbrew twojej woli. Zupełnie jak dawny Scott Feinstadt.

- W porządku - zapewniła. - Tak będzie lepiej. - I kiedy trochę niezręcznie nakładał gumkę, dodała bez tchu: - Chodź już.

Teraz F. Scott zaprezentował w całej okazałości coś, co przypominało lśniącą żółtą dzidę. Znowu rozdzwonił się telefon.

- Mama.

- Chyba jesteś rozrywana - zauważył F. Scott. Położył się na niej, a w tle słycać było paplaninę matki.

- Dziś po południu natknęłam się na Fran Horowitz, wiesz, ona jest skarbniczką naszej synagogi, chociaż nie wiem dlaczego, skoro wszyscy jej nie znoszą. Tak czy owak, powiedziałam jej, że pytałaś o Feinstadtów, a ona wymienia z Rachel listy pocztą elektroniczną, co to ta poczta elektroniczna? Kolejny sposób, żeby FBI sprawowało nad nami kontrolę?

- Feinstadtowie? - zdziwił się F. Scott.

Spłoszona Louise odwróciła role i teraz ona położyła się na nim, jego penis niemal się wyśliznął, lecz przygwoździła go silnym uściskiem ud.

- Mmm - zamruczał F. Scott Feinstadt. - Cokolwiek sobie życzysz.

Szczęśliwie w tej chwili mamusia się rozłączyła.

Kim jest ten facet, ten rozkoszny młody facet, kandydat na magistra sztuki, z którym się pieprzy?

Nieważne, skoro wreszcie dostała to, czego pragnęła. Teraz Louise była górą. Była górą i to się jej podobało. Ten F. Scott Feinstadt bezradnie miękł w uścisku jej ud. Co kilka sekund napręzał się, podrywał, nieśmiały uśmiech czaił się na jego wargach, ale to Louise sterowała sytuacją, więc wreszcie F. Scott Feinstadt się poddał.

Kiedy byli młodzi, letnie noce Louise i Scotta Feinstadta w Larchmont były duszne od zapachu kwiatów i perfum, zapachu benzyny, papierosów, środka na owady i jego dezodorantu. Ich młode, nagie ciała rysowały się mgliście w poświacie podmiejskich lamp niczym na starym filmie. Kiedy byli młodzi, Louise rozkładała nogi i pozwalała, żeby Scott Feinstadt wszedł w nią, nie bacząc, czy jest gotowa, czy nie, i szeptała słowa zachęty: „Och, kochanie, och, Scott”. Czasem

jęknęła, kiedy poczynął sobie zbyt ostro. Pieściła jego szczupłe plecy, gładką skórę, a on dmuchał ją, zadając ból. Leżała pod nim, jemu pot skapywał z brody i nosa, przyklejali się do siebie, on miał zamknięte oczy, odrzuconą w tył głowę, rozchylone usta. Wyglądał jak zziajany buldog.

Teraz to Louise się pocila. Louise, która przejęła inicjatywę. F. Scott Feinstadt kręcił się niepewnie pod ciężarem jej ciała. Tym razem to on służył za dywanik, a jej pot zlewał jego nagie ciało niczym mżawka. Louise zerknęła w dół. Miał rozchylone wargi, w kąciку kroplę śliny. Nie był ogolony, ale pod ciemnymi smugami zarostu widać było delikatną skórę. Linie włosów miał trochę głębiej cofniętą, jak linia morza w fazie odpływu.

Kiedy byli młodzi, Louise w czasie ich miłosnych spotkań dużo mówiła. Zalecały to wszystkie poradniki, które przeczytała, niańcząc cudze dzieci, przetrząsnawszy przedtem domowe apteczki w poszukiwaniu środków uspokajających. Louise czytała książki na temat seksu i to, czego się nauczyła, stosowała wobec Scotta. Mówiła na przykład: „Powiedz, skarbie, co najbardziej lubisz?” Była komunikatywna, gdyż, jak utrzymywały wszystkie poradniki, w dobrym seksie komunikacja to rzecz podstawowa. Więc gdy ją dmuchał, mówiła: „Kocham cię, Scott, kocham cię, najdroższy” - mniej więcej co siedemdziesiąt pięć sekund. Policzyła. Policzyła czas między jej słowami zachęty a jego zakończeniem akcji. Leżąc - na łóżku, w samochodzie, na trawie - myślała, to się niedługo skończy, to się niedługo skończy, chociaż czasami zdawało się, że będzie trwać wiecznie (od kiedy przestał zawracać sobie głowę pieszczotami); bywało też tak, że skończył, zanim się zorientowała, że zaczął.

Ale gdy było po wszystkim, kiedy doszedł do spełnienia, kiedy skończył, słabł, osuwał się na Louise, przygniatał ją tak, że nie mogła oddychać. Delikatna śluzówka pochwy piekła ją,

a po kilku takich razach pojawiała się krew, kiedy siusiała, nawet pod prysznicem czuła pieczenie.

Teraz, gdy była z F. Scottem Feinstadtem u siebie, Louise przejęła inicjatywę, doprowadzała go do szaleństwa, przerywała, znowu go dosiadała. Biedny dzieciak aż trząsał się i jęczał.

- Zabijasz mnie, zabijasz. Zabij mnie - powtarzał. - Błagam.

Tak więc powoli doprowadziła go do szczytu rozkoszy.

Skończył, kiedy ona też pozwoliła sobie na zaspokojenie. Zsunęli się z siebie, leżeli na podłodze jej saloniku, F. Scott Feinstadt przerzucił prawe ramię przez jej kibić, zaczął delikatnie chrapać, Louise zaś usiłowała równo oddychać, aby uspokoić szalone bicie serca.

Kiedy byli młodzi, już po wszystkim Louise leżała naga na gołej ziemi, czując na sobie ciężar Scotta Feinstadta, miażdżący, dławiący, wgniatający ją w ziemię. Myślała wtedy, kiedyś spotkam kogoś, kto mnie pokocha, wyjdę za mąż, kiedyś seks będzie dla mnie czymś przyjemnym, czymś dobrym.

Teraz leżała na wpół ubrana - wciąż w podkoszulku - na podłodze z o połowę młodszym od siebie chłopakiem, śpiącym w jej objęciach. Miał rozchylone usta, w kąciu pojawił się bąbelek śliny. Powąchała jego potarganą głowę, była spocona i pachniała słodko, jak głowa dziecka. Co najlepszego zrobiła? Może przez to stracić pracę. Przespał się z nią, może temu obcemu dzieciakowi wydawało się, że tym sposobem zyska możliwość wyboru własnego programu. Albo, co gorsze, zakocha się.

Wydobyła się spod jego ramienia. Przykryła go narzutą z sofy. Potem wstała i przeszła do kuchni w poszukiwaniu papierosów. W słoju miała awaryjną paczkę. Puknięciem

wydobyła jednego papierosa i zapaliła. Pałac, wróciła do saloniku. Piękny młody chłopak śpiący na jej dywanie.

Wypieprzyła go.

Kiedy byli młodzi, Louise szeptała: „Kocham cię”, do ucha Scotta Feinstadta, delikatnie pieszcząc jego spocone plecy opuszkami palca, spodziewając się tej samej delikatności. Mówiła: „Było wspaniale, Scott, tak bardzo cię kocham”, i to była prawda, druga część tego zdania, rzeczywiście go kochała. Kochała go, kochała, kochała, nigdy o nim nie zapomni bez względu na to, co ludzie mówią o szczenięcym zadurzeniu i doświadczeniu życiowym. Nie, Louise nigdy nie przestanie kochać tego głupiego, nieżyjącego już chłopaka, kochała go całym sercem, kiedy była jeszcze tak niewiarygodnie młoda, że to, co robili, było niezgodne z prawem.

Ponieważ Louise była niepełnoletnia.

A teraz, wreszcie, dojrzała.

Telefon. „Tu mama. Jesteś w domu?”

Nie, pomyślała Louise. Nie, mamó. Światła zgaszone. W domu nie ma nikogo.

Louise obudziła się rano z nadzieją, że to tylko sen, to uwiedzenie, seks, ta zupełnie inna jej osobowość, ale nie.

Wszystko było prawdą. Każdy najdrobniejszy szczegół. Miała na sobie podkoszulek, lecz była bez majtek, lepka, leżała na podłodze przykryta dżinsową kurtką. Niebieską dżinsową kurtką F. Scotta Feinstadta, z przybrudzonymi, podwiniętymi mankietami. Podłoga też była brudna. Pewnie się czymś zarazi. Okruchy i zaschnięte plamy farby - olejnej czy akrylowej? Czyżby przyniósł je na podszwach? - przyklepiły się jej do pleców. Usiłowała się otrzepać. To nie sen. Zużyty sflaczały kondom leżał pod stolikiem do kawy, po spermie łaziła mucha. Jak w filmie Bunuela. To jej życie. Nie sen. Nie żaden cholerny sen. Toteż Louise czekała na kolejną

dobłą nowinę. Oczekiwała chłopca na jedną noc, który poszedłby z nią do łóżka, zrobił swoje i wczesnym rankiem wysliznął się przez frontowe drzwi. Oczekiwała Scotta Feinstadta zmartwychwstałego, bez serca, z mocną głową, wolnego od wszystkich trudnych męskich cech, które nazywała „chorobą wieku chłopięcego”. Tymczasem zastała F. Scotta.

W jej własnej kuchni, szykującego śniadanie. Szykował śniadanie. Dla niej. Racuchy z rodzynkami i syropem rodzynkowym - na kuchennym blacie stało pudełko z brązowym cukrem i butelka rumu.

- Dzień dobry - uśmiechnął się F. Scott. Podsunął jej filiżankę kawy. Biodra miał owinięte jej ręcznikiem. Już zdążył wziąć prysznic. Znowu się uśmiechnął, a może uśmiechał się bez przerwy. - Chyba nie masz nic przeciwko temu, że zadomowiłem się i skorzystałem z twojej szczoteczki do zębów?

Mieć coś przeciwko temu? Dlaczego miałyby mieć? Dosyć się go nacałowała ubiegłej nocy, żeby złapać od niego wszystkie nieuleczalne zarazy.

Upiła łyk kawy. Zdumiewająco smaczna. Przebiegła oczami po kuchennym blacie. F. Scott wyciągnął młynek do kawy i stary ekspres. Zdaje się, że podgrzał również i mleko.

- Mmm - odezwała się Louise, gdyż tylko takie mruknięcie wydawało się godnym skwitowaniem rzeczywistości.

- Racuchy będą za kilka minut - zapewnił F. Scott. - Może chcesz wziąć prysznic, a ja tymczasem naleję soku?

Czemu nie? Louise kiwnęła głową. Prysznic i mocna kawa. Może jedno lub drugie przywróci ją do rzeczywistości. Ruszyła do łazienki.

- Poczekaj! - zawołał F. Scott. - Nie potrzebujesz tego? - Zaczął odwijać ręcznik z bioder. - Tylko ten zdołałem znaleźć.

Ponieważ reszta leży schludnie ułożona w bieliźniarce, głupi dzieciaku, wykrzyczała mu do ucha w myśli. Jej wzrok padł na niebiesko - zieloną różyczkę, widoczną w gęstwie jego ciemnych włosów łonowych. Boże, pomyślała, kolejny tatuaż? Nie, to wygląda raczej jak miłosna malinka. Louise, co ty wyczyniasz?

Niech ktoś mi pomoże. Peter? Mama?

- Nie trzeba - odezwała się. - Zatrzymaj go. - A kto ciekaw? Podeszła do bieliźniarki i wyjęła stos starannie złożonych kompletami ręczników: kąpielowych, do rąk, do twarzy, wszystkie puszyste, w tym samym odcieniu zieleni. Założę się, pomyślała, że ostatni raz widziałeś taki porządek w podmiejskim domu swojej matki.

W rozgrzanej kabinie prysznicowej paliły się pachnące lampki wotywno. F. Scott je zapalił, świat owiała perfumowana mgiełka. Może, pomyślała Louise, wcale nie jest tak źle, jak przypuszczała. Co z tego, że zabawiła się z o połowę od niej młodszym kandydatem na studia? Kto się o tym dowie? Nawet gdyby powiedział to dziekanowi, jego słowom zaprzeczają jej słowa, czyż nie? Louise zapisała sobie w pamięci, żeby sprawdzić jego niebieską dżinsową kurtkę, czy nie ma tam jakichś dowodów.

Długo się wycierała, potem z rozkoszą jak co dzień wtarła krem do ciała. Wklepała w twarz i szyję. Szczoteczką podniosła brwi. Tusz do rzęs. Zalotka. Szminka i błyszczak. Pomarańczowy sztyft do rąk i stóp. Wszystko, żeby dobrze rozpocząć dzień, wszystko, żeby jeszcze nie wychodzić z łazienki. Wszystko, żeby nie stanąć z nim twarzą w twarz, ale zaprezentować się z godnością. Wreszcie, kiedy nie było już nic do upiększenia, zawinęła turban na głowie, owinęła się szczelnie ręcznikiem kąpielowym, wzięła głęboki oddech i zdecydowała się zrobić ten krok. Otworzyła drzwi łazienki.

- Zupa na stole! - zawołał F. Scott z saloniku. - Ale nie spiesz się, pozwoliłem sobie przygotować ci ubranie.

„Pozwoliłem sobie”? Co takiego? No, no, no! Louise z zamkniętymi oczami przeszła do sypialni. Bezpieczna w swoim pokoju, otworzyła je. Na łóżku leżały czarne dżinsy i jedwabna bluzka. Odpowiednie do biura. Majteczki i biustonosz. Koronkowe. Dotąd leżały na dnie szuflady. Nieużywane. „Nie było potrzeby ich wkładać”. Nie wiedziała, czy powinna się poczuć zbezczeszczona. Czy powinna się poczuć urażona?

Posłusznie włożyła przygotowany strój. Uczesała się w koński ogon. Kiedy dokończyła toalety, ułożyła mistrzowski plan: grzecznie się go pozbędzie. „Było uroczo, F. - powie - ale...” Byliśmy oboje zbyt wstawieni itd., itd., może nauczyłam cię czegoś o seksie, może oboje jesteśmy w tym lepsi... Ale teraz maszeruj do domu, do swojej dwudziestoletniej dziewczyny z marzeń.

- Hej, Louise Harrington! - zawołał Scott, wyrywając ją z zamyślenia.

- O co chodzi, F. Scott? - odkrzyknęła Louise.

- Nie mogę znaleźć kociej miski.

Kociej miski? Jakiej znowu kociej miski? Czy to jakiś nowy slang seksualny?

- Jakiej kociej miski? - spytała głośno.

- No, dla kota - wyjaśnił F. Scott. - Robiąc śniadanie, pomyślałem, że jemu też przyrządzę coś specjalnego.

- Nie mam kota - odparła Louise cicho.

- Kocia miska! - krzyczał dalej F. Scott. - Nie słyszę cię.

Co on, do cholery, plecie? Zerknęła na zegarek. Dziewiąta trzydzieści. Nigdy nie pojawiała się w biurze później niż o dziesiątej. Najlepszy powód, by się jak najszybciej stąd wynieść. Tymczasem wzięła słuchawkę telefonu, by się usprawiedliwić - nieistniejący kotek zachorował, budzik nie

zadzwoił (jaki budzik? Wstawała co dzień o szóstej, jak rolnik, pozostałość po latach sypiania z Peterem, który miał się za wiejskiego chłopca), ma wizytę u lekarza. Ale po chwili uświadomiła sobie, że nie ma do kogo dzwonić. Była p.o. pełnomocnika do spraw rekrutacji. Stanowisko jednoosobowe. Potulnie, boso opuściła sypialnię. F. Scott pozwolił sobie przygotować jej skarpetki.

- Popatrz - odezwał się z kuchni, unosząc patelnię. - Smażone wątróbki drobiowe. Znalazłem je w zamrażarce. - Roześmiał się. - Chyba nie powiesz, że dziesiąta to na nie za wcześnie.

Smażone wątróbki drobiowe... w zamrażarce, smażone wątróbki drobiowe... w zamrażarce, smażone wątróbki...

- Nie mam kota - powiedziała.

- Nie?

- Nie.

- A ja myślałem, że takie dziewczyny jak ty wszystkie mają koty - zdziwił się F. Scott, odstawiając patelnię.

Ubrany, popijając z kubka, podążył za nią do saloniku. Stolik był nakryty. Na środku stało drzewko bonsai. F. Scott popatrzył na kubek i uśmiechnął się.

Louise nie wiedziała, co powiedzieć, stanęła jak wryta i oblizwała wargi.

- Kochanie - odezwał się F. Scott. - Chodź tu i powiedz coś.

Chodź tu i powiedz coś. Poczwała, jak serce podeszło jej do gardła. Biło jak młotem.

I znów Louise go posłuchała. Podeszła niczym zahipnotyzowana. Kiedy znalazła się w zasięgu jego rąk, chwycił ją, zakręcił nią jedną ręką, potem drugą i pocałował ją. Czuła.

- Nie mam żadnego cholernego kota - oznajmiła Louise zimno, chociaż wciąż po pocałunku mrugała powiekami.

Wydało się jej, że F. Scott się skrzywił.

Usiedli przy stoliku, teraz też na podłodze, naprzeciwko siebie. Podsunął jej zrobione przez siebie śniadanie. Patrzył na nią szeroko otwartymi oczyma. Poczuli się winna, że na niego warknęła.

- Wyglądają świetnie - powiedziała. - Racuchy. Rzeczywiście, okrągłe i przyrumienione.

- To jedyne, co potrafię dobrze robić - powiedział F. Scott, a ona pomyślała, że zabrzmiało to dwuznacznie. Czyżby czekał na pochwałę? A może mówił bez intencji? Trudno go rozszyfrować.

Jak tamtego.

- Dlaczego nie bierzesz się do jedzenia?

Dlaczego nie? Louise wzięła widelec i zanurzyła go w racuchu. Na maśle. Jak on, u diabła, znalazł w jej gospodarstwie masło? Nawet syrop okazał się dobry. Przypominał jej czasy młodości.

Czasem, kiedy nocowała u Missy, albo późnym wieczorem, kiedy miały ochotę na jakąś przekąskę, wyciągały mrożone wafle i posypywały je brązowym cukrem. Mrożonki?

Mama karmiła swoje dzieciaki wyłącznie świeżym jedzeniem.

Przez chwilę milczeli, a Louise jadła, zbyt szybko, aby liczyć kalorie, aby zważać na wewnętrzne głosy - czyżby była schizofreniczką? Ale co tam, skoro racuchy są takie pyszne.

- No tak - odezwała się między kęsami. Nie zdawała sobie sprawy, jaka była głodna. - No tak.

- Co „no tak”, kochanie? - uśmiechnął się F. Scott. Ona już do połowy opróżniła swój talerz, teraz zauważyła, że on nawet nie ruszył swojej porcji. Typowe. Typowe dla niego. Pan Manipulator.

- No tak, spóźnię się do pracy - powiedziała Louise, wstając raptownie. - Możesz wyjść sam. Drzwi zamykają się bez klucza.

- Naprawdę? - upewnił się, nie wstając, Scott.

- Tak - potwierdziła Louise. - Naprawdę.

Pokręciła się po pokoju, złapała zakiet, torebkę, sprawdziła, czy ma portfel i klucze. Szminkę. Ruszyła w stronę drzwi, wciąż czując na sobie jego wzrok, ale nie śmiejąc spojrzeć mu w oczy.

Była taka jak zwykle.

Speszona.

Ale inaczej.

Teraz na przykład odezwała się chłodno.

- Cóż, życzę ci miłego dnia - ostry profesjonalny głos, dziwnie piskliwy. Miłego dnia! Położyła dłoń na klamce. Stojąc w półotwartych drzwiach, Louise popatrzyła wprost na F. Scotta - uśmiechał się głupawo, a ona, zgodnie z planem (lub może już wbrew niemu), dodała: - Chyba nikomu o tym nie powiesz? - Znowu umknęła spojrzeniem. - Chodzi mi o to, że jestem o wiele od ciebie starsza.

W jednej chwili podbiegł do niej, objął w pasie, tuż pod żebrami - zawsze lubiła, kiedy chłopiec ją tak trzymał.

- Louise Harrington, p.o. pełnomocnika do spraw rekrutacji, ta noc z tobą była wspaniała. Naprawdę, było cudownie. - Pocałował ją w kark. Czule. Usta miał nieco spierzchnięte. Może od ich pocałunków. Załaskotało. - Niczego się nie wstydzę.

Ach, pomyślała. Jakie to miłe.

- Chcę powiedzieć, że niczego od ciebie nie żądam. - Parsknął śmiechem.

Dreszcz przebiegł jej po plecach. Kiedy F. Scott wyczuł, że zeszywniała, znowu ją uściskał. I szepnął:

- Jestem szczęśliwy, Louise. A ty?

Obrócił ją, popatrzył prosto w oczy, oczami Scotta Feinstadta, kobaltowo niebieskimi, z piwnymi cętkami, ale na lewej tęczę F. Scotta było coś szczególnego, malutka wysepka koloru kawy.

- Nie jestem takim gołowąsem, jak myślisz. A ty nie jesteś ode mnie o wiele starsza.

- O tak.

- Przynajmniej duchem - uzupełnił rozsądnie F. Scott. A więc dusza. Dziwne. Ale czy prawdziwe? Tego jej brakowało, być młodą duchem, kiedy jej powierzchowność była tak wypacykowana, kiedy skóra wokół jej oczu była taka jak rysy jej twarzy, którą Scott Feinstadt naszkicował na serwetce, przedtem otarłszy nią usta. „Spójrz - powiedział Scott Feinstadt, przesuwając serwetkę po błyszczącym plastikowym blacie, tak by ominąć plamę z keczupu, w McDonalddie na White Plains Road. - Spójrz na siebie”.

Louise zobaczyła duże piwne oczy, dziecinnie zaokrąglone policzki, mały podbródek, półuśmiech wokół ust, i jej uwagę zwróciła mnogość linii, którymi posłużył się Scott, rysując jej wizerunek, jakby utworzył go z pajęczej sieci. „Jestem taka stara” - powiedziała, a właściwie wykrztusiła głęboko rozczarowana. Scott Feinstadt roześmiał się głośno. „To nie jest twoja fizyczna twarz, kochanie. To jest twoja prawdziwa twarz - powiedział. - Masz sędziwą duszę, staruszko”. Staruszko. Pewnie już wtedy za jej plecami sypiał z Missy. Uff. Dotąd sobie tego nie uświadamiała. Przez chwilę znów poczuła wściekłość i ból; była gotowa zabić Missy. Absurdalnie była gotowa wymierzyć policzek F. Scottowi Feinstadtowi. Opanowała się. Grzechy ojca? Grzechy innego wcielenia? Grzechy sukinsyna, do którego ten Bogu ducha winny dzieciak jest tak podobny?

Ale wtedy, w czasach ich młodości, Louise była nieświadoma zdrady Missy. Nieświadoma i skłonna rozważać

każde słowo Scotta Feinstadta. Ma sędziwą duszę. Nie wiedziała, czy uznać tę uwagę za komplement, czy nie, przez resztę popołudnia starała się więc być radosna i trzpiotowata, nie taka poważna, starała się być młoda, aż kwadrans po czwartej Scott Feinstadt spojrzął na zegarek - pracował na drugą zmianę - i poradził jej, aby się tak nie wysilała, bo lubi w niej to, że zazwyczaj nie przyprawia go o taki ból głowy. Dziś, gdy minęła cała epoka, patrzyła w zamglone, lecz piękne oczy młodego F. Scotta Feinstadta i czuła głęboki, ciągle obecny związek z przeszłością.

Czy on też to czuł?

Louise wydało się, że słabnie. Zamknęła oczy, czekając, aż ją pocałuje.

Ale nie było pocałunku. Głupia gęś. Jakie tam pocałunki, szybkim klepnięciem w pupę F. Scott Feinstadt wypchnął ją na korytarz.

- Miłego dnia - powiedział. Czy jego ton był naturalny, czy kpiący? Miłego dnia. I dodał: - Kotek mógłby dotrzymać ci towarzystwa. - Z tymi słowami dziwny gość Louise zamknął za nią drzwi.

Samotna, wściekła, zażenowana, podniecona, wciąż czując na pupie miłosne klepnięcie, Louise pomyślała, kogo chce oszukać?

Trafiła na równego sobie. Znowu.

- Nienawidzę kotów - powiedziała głośno, chociaż na korytarzu nie było nikogo, żywego ani martwego, kto mógłby ją usłyszeć.

Kiedy już znalazła się w swoim małym biurze, nie mogła nic robić, wiedząc, że w jej mieszkaniu buszuje F. Scott Feinstadt. Nie potrafiła usiedzieć spokojnie za biurkiem. Przede wszystkim wciąż była obolała. Nie potrafiła znaleźć sobie wygodnej pozycji. Miała nadzieję, że szaleństwo ubiegłej nocy nie przyprawi jej o „poślubne” zapalenie

pęcherza. Wiele lat minęło od czasu, gdy Louise trzymała w lodówce butelkę z sokiem żurawinowym. To najlepiej zapamiętała z pierwszego roku w akademiku, coraz więcej butelek z sokiem z żurawin we wspólnej lodówce - każda opatrzona imieniem szczęśliwej dziewczyny, wypisanym na nalepce. No i jeszcze to, że wspólna łazienka (która ciągle była zajęta) śmierdziała wymiocinami. Cóż więc z tego, że teraz w jej mieszkaniu siedział samotnie jakiś chłopak?

Nagle Louise zrozumiała, dlaczego Missy koniecznie chciała z ukrytej kamery sfilmować nianię, kiedy gospodarzy nie było w domu. Namówiła Marcosa, żeby przytargał swój sprzęt, a potem wieczorem, chrupiąc w łóżku prażoną kukurydzę (z solą i masłem, jak chciała Missy), patrzyli, jak ich niczego niespodziewająca się gwiazda jadła ryż z fasolą, oglądając w kuchni Koło fortuny. (Missy miała telewizory niemal w każdym pomieszczeniu). Film okazał się nudnawy, równie nudny jak cały dzień spędzony z dziećmi, stwierdziła ironicznie Missy.

Dlaczego ona nie wezwała Marcosa z jego sprzętem filmowym? Co F. Scott wyczynia w jej domu? Jak mogła go tam zostawić, przecież jest zupełnie obcy. Być może w tej chwili wymyka się z powłóczką na poduszkę wyładowaną jej srebrną ślubną zastawą.

- Niepotrzebny mi żaden pieprzony kociak - powiedziała na głos. - Mam od cholery towarzystwa. - Peter, mam przecież Petera.

Louise podniosła słuchawkę. Chciała zadzwonić do Petera, ale jakoś jej palce wystukały własny numer. Czekala, że odezwie się jej głos, nagrany na automatyczną sekretarkę. Mogłaby zostawić wiadomość. Sprawdzić, co się tam dzieje. Ale automat nie raczył się włączyć. Telefon dzwonił i dzwonił bez końca. Może chłopak ukradł i tę maszynkę. To niezbyt wysoka cena za przemianę. Niemal z ulgą wyobraziła sobie,

że F. Scott Feinstadt ograbił ją ze wszystkiego, że wróci do domu starannie wyczyszczonego, ograbionego z wyrobów sztuki i znaków przeszłości. To byłaby okazja zacząć życie od nowa. A może taśma w automatycznej sekretarce jest już wypełniona. Jasne, przecież wczoraj wieczorem nie pofatygowała się, żeby odebrać jakikolwiek telefon.

Czy to, co przydarzyło się jej wczoraj wieczorem, jest prawdą? Nie udawało jej się wszystkiego przypomnieć. Mimo że się starała, nie przypominała sobie wielu szczegółów, na przykład skąd się u niego wzięła ta miłosna malinka. Jedyne, co zapamiętała, to uczucie zemsty, gniewu i rozgoryczenia, miłosny zawrót głowy, seks z kimś młodym i przystojnym, niezbyt doświadczonym, ale i tak wspaniałym. Zapamiętała, że wróciła do życia.

Louise odłożyła słuchawkę. Zajęła się teczką leżącą na jej kolanach. Potem zajęła się teczką leżącą na biurku. Wstała i podeszła do teczek ustawionych na parapecie. Znów wróciła do pierwszej teczki. Tym razem nie zrobię czegoś takiego, myślała, nie zmarnuję sobie życia jak spragniona miłości smarkula. Teraz jestem mądrzejsza. Nie mam fiołków w głowie.

Zadzwonił telefon.

Podniosła słuchawkę.

- Louise Harrington, pełniąca obowiązki pełnomocnika do spraw rekrutacji.

- F. Scott Feinstadt, mistrz sześćdziesiątki dziewiątki.

Musiał połączyć się z centralą, żeby odszukać jej telefon.

- Och - powiedziała, poprawiając się na krześle. - Jak się czujesz?

- Samotny - odparł. - A ty?

- Samotna - odpowiedziała.

Czyżby zwilgotniała jej bielizna? Przecież założył prezerwatywę? Może pękła? Nie myśl o tym. Nie martw się, chociaż raz w życiu.

- Widziałem obraz w saloniku.

Louise poczuła, że przestaje jej bić serce. Potem stuk - puk. Trzepocze się. Odruchowo sięgnęła po awaryjną paczkę papierosów, leżącą na biurku.

- Podoba mi się. Chociaż wydał mi się trochę naiwny. Trochę staroświecki. Coś takiego mógłbym namalować w młodości.

Zapaliła. Zaciągnęła się. Serce wciąż trzepotało.

- Może byśmy poszli jutro na kolację?

- Może.

No, no, ale bystra.

- Wybierzmy się na otwarcie wystawy. Darmowe wino i sery.

- Dobrze - odpowiedziała Louise, myśląc, chyba zaczynam prowadzić nowe życie, darmowe wino i sery. Pięknie.

- Świetnie. Wpadnę po ciebie o ósmej. A teraz ruszam w drogę, bo spóźnię się na kolejkę. Nie masz rozkładu jazdy?

- Do Larchmont? - pisnęła Louise. - To znaczy, do Mamaroneck?

- A po cóż miałbym tam jechać? Zapadła cisza.

- Skrytka pocztowa - przypomniała mu Louise. - Sądziłam... Myślałam...

- Mieszkam na Long Island, Louise - oznajmił F. Scott Feinstadt - kiedy nie nocuję u kumpli z Providence. Mój dawny kumpel ze szkoły założył mi skrytkę pocztową w Larchmont, żeby trzymać rodziców z dala od moich spraw. No wiesz, wyższe studia, uniwersytet Columbia, taka prestiżowa uczelnia. Gdyby tata się dowiedział, że tam wstępuję, byłby tak uszczęśliwiony, że chyba dostałby udaru.

- A dlaczego nie skorzystałeś ze skrytki na miejscowej poczcie? - spytała podejrzliwie Louise.

- No - powiedział niespiesznie F. Scott Feinstadt. - To wyglądałoby zbyt elegancko...

- A pani Cipriani? - wykrztusiła Louise. Zbierało się jej na płacz.

- Była moją opiekunką w szkole. Chodziłem z jej córką. Za jej plecami. Natknąłem się na nią któregoś weekendu, kiedy odwiedzałem dawnego kumpla w Westchester.

- Kiedy z nią chodziłeś? - spytała bez tchu Louise. Córka pani Cipriani? Kto wiedział, że jest jakaś córka? Kto by pomyślał, że poza szkołą w Mamaroneck pani Cipriani prowadzi jeszcze jakieś życie?

- Do wczoraj, gdzieś tak do szóstej po południu. Co? - pomyślała Louise. Do spotkania ze mną?

- Nie płacz.

- Nie płaczę, tylko się zakrztusiłam - wyjaśniła Louise.

- No to się nie krztuś, bo nie zdążę przyjechać, żeby cię reanimować. Zapomniałem się wczoraj skontaktować z domem, więc jeśli wrócę teraz o odpowiedniej porze, mogę udać, że napisałem kartkę, że przenocuję u Ricky'ego, tylko liścik spadł ze stołu za piecyk...

- U Ricky'ego?

- Kumpla. Kiedy idę do jakiejś dziewczyny, zawsze mówię mamie, że przenocuję u Ricky'ego.

- Jakiejś dziewczyny?

- Nie denerwuj się, Louise. Ty jesteś wyjątkowa. Wiesz, że jesteś wyjątkowa. Nie mówiłem ci tego, bo sama doskonale o tym wiesz. Ale mama, ona się martwi...

- Tego nie chcę - powiedziała Louise. - Nie chcę, żeby mamusia się zamartwiała.

- Tak - przyznał F. Scott. - Moja mateczka jest wspaniała. I telefon zamilkł.

Pieprzę się z dwudziestoczterolatkiem, który ma bzika na punkcie swojej matki, pomyślała Louise. Pieprzę się z dwudziestoczterolatkiem, który pieprzy córkę pani Cipriani. Scott Feinstadt nie upadł tak nisko... córka pani Cipriani jest pewnie oczkiem w jej głowie. Hm, gdyby ta mała była w wieku stosownym do flirtów, chyba nic nie powstrzymałoby Scotta Feinstadta.

Louise musiała dać wytchnienie głowie. Wsparła ją na biurku na stosie podań. Odpoczywając tak, starała się oddychać spokojnie, zastanawiając się, czy tlen w ogóle dociera do jej szarych komórek.

Ale wciąż była pełna animuszu. Zadzwoił. Umówili się na następne spotkanie. Z prawdziwym Scottem Feinstadtem musiałaby o to prosić. Oddychając z trudem, Louise przypomniała sobie tamto upokorzenie. „Hm, Scott, zobaczymy się jeszcze czy był to tylko lokal na jedną noc?”

Lokal na jedną noc, skoro byli na zapleczu Cheese Bazaar, wśród odpadków owoców i skórek od sera. Prawdziwy Scott Feinstadt jeszcze tylko pogłębił to upokorzenie. „Jest druga po południu, Louise - powiedział. - Boże, ale jesteś bystra. Masz pojęcie?”

„Prawdziwa z ciebie idiotka” stwierdziła pocieszająco Missy, kiedy po raz pierwszy i ostami opowiedziała najlepszej przyjaciółce wszystko, co przez cały dzień robiła ze Scottem Feinstadtem. Przemierzały alejki lasu za domem Missy. „Ale cię odpalił”. Kiedy jednak Louise, potykając się, dotarła tego wieczoru do domu, znalazła wiadomość, którą matka nagryzmoła jej w notatniku przy telefonie stojącym w kuchni. Przeczytała: „Syn rabina raczył zadzwonić. Nie bądź zbyt pobożna, kochanie”. Czy nie dość tych żenujących sytuacji? Ale teraz, Missy, to ja cię chrzanię. Jesteś zerem, Missy. Louise jest górą.

Bo tym razem sprawy szły zupełnie innym torem. Przez następną godzinę Louise zastanawiała się, czy F. Scott Feinstadt jeszcze się odezwie. Minął kwadrans, nie udawaj, że nie spoglądasz na zegarek. Zamknij się! - krzyczało w głowie Louise. Wreszcie oddech się uspokoił. Odzyskawszy siły, wzmocniona, pozwoliła sobie przemówić na głos: „Zamknij się, mamó”. Przyniosło jej to ulgę, minęło napięcie w koniuszkach palców, z nowym zapałem wzięła się do pracy, szukając ciekawych ofert, przeglądając stos już odrzuconych. Włączyła komputer i zaczęła pisać urzędowe listy odmowne: „Bardzo nam przykro... Nie!” Dawniej Louise wypełniała ten obowiązek bez skrupułów, nieważna korespondencja, wypad na dół do kafejki, zaoszczędzenie aplikantowi fortuny wydanej na czesne, uchronienie go przed pogrzebaniem przyszłości. Nie, nie, nie. Teraz jednak chciałyby powiedzieć życiu tak. Przejrzała formularz i dopisała jedno pocieszające zdanie: „Prosimy zwrócić się do nas ponownie”. Kto wie, co przyniesie przyszłość.

Po pracy Louise przystanąła na progu swojego mieszkania. Otworzyła szeroko drzwi, jakby spodziewając się ujrzeć F. Scotta owiniętego w jej ręcznik. Tymczasem poczuła powiew orzeźwiającego chłodnego powietrza. Był ciepły wiosenny dzień, a on zostawił włączoną klimatyzację. Co go to obchodziło, nie miał pojęcia o rachunkach za elektryczność, nie był jeszcze na tyle dorosły, by płacić cokolwiek z własnej kieszeni, ponosić jakąkolwiek odpowiedzialność finansową. Wieczny student. Na twarzy Louise zagościł jednak półuśmiech. Było popołudnie tamtego decydującego lata. Rodzice Scotta Feinstadta wyjechali na weekend do Poconos. Temperatura przekroczyła trzydzieści stopni Celsjusza. O trzy stopnie. Trzy? Nie dwa, nie pięć, tylko trzy? Trzy! Ależ ty masz pamięć. Louise miała dobrą pamięć. Kochali się ze Scottem przez całe popołudnie w salonie Feinstadtów przy

klimatyzacji włączonej na pełny regulator. Louise, chociaż Scott dawał jej niezły wycisk, czuła chłodny powiew. Niedawno depilowane nogi pokryła gęsia skórka. Ciało przybrało żółtawosiny odcień - „jak kurza pierś w zamrażarce”, stwierdził romantycznie Scott. Jakże wtedy zabolowały ją jego słowa. Cóż, nawet dziś skóra na jej udach przy chłodnej pogodzie przypomina ten mrożony produkt. Wtedy w oczach Louise pokazały się łzy, mimo że rozpaczliwie mrugała powiekami jak gejsza wachlarzem. „Hej - odezwał się Scott Feinstadt. - Nie płacz. Możemy włączyć ogrzewanie”. O Boże, pomyślała Louise. Błagam. Błagam, żeby on znowu nie zechciał się kochać. Między nogami czuła piekący ból - potem smarowała się wazeliną, przeklinając wszystkie prezerwatywy bez poślizgu, te pieprzone sheiki - Louise nie przetrzymałaby następnej rundy. Ale Scott Feinstadt poderwał się. Kiedy nagi szedł w stronę kominka, kołysały się jego potężne jądra. Zapalił dla niej ogień w obrzydliwym gazowym kominku ze sztucznego marmuru w zielono - złotym salonie jego rodziców w Larchmont. Był to koniec lat siedemdziesiątych, ale u Feinstadtów wcale się tego nie czuło. W lipcu rozpałił kominek, a zarazem odkręcił klimatyzację na pełny regulator. Ściągnął narzutę z łóżka rodziców i wręczył jej, jakby to była barwna, przetykana jedwabiem szata. Wtulili się pod narzutę na białym dywanie - żeby go tylko nie poplamiała, myślała Louise, błagam, o Boże, o Jezusie. Wzywała imienia Jezusa, leżąc nago na białym dywanie miejscowego rabina po kilku godzinach barłżenia się z jego jedynym nastoletnim synem - a potem jedli różne smakołyki i pili gorącą czekoladę... a może teraz tylko upiększa tamten dzień? Kto wie? Taką pamięć Louise pielęgnowała przed laty, samotna w akademiku, kiedy niczym samotną ćmę osnuwał ją gorzko - słodki nektar żałoby, a ona wciąż spijała ten nektar; potem, w miarę upływu czasu,

zawsze kiedy pokłócili się z Peterem, wracała do tych wspomnień o randkach, które wydawały się jej coraz piękniejsze. „Ja też ciągle oglądam się wstecz” - zwierzyła się jej współczująca Missy przez telefon, kiedy Louise zaczęła jej opowiadać o skłonności do porównywania Petera ze wszystkimi i ze wszystkim.

- Czy kiedy jesteś z Marcosem, Miss, wspominasz czasem dawnych kochanków?

- No co ty? - zdumiała się Missy - Marcos jest najważniejszy i rozmawiam z nim o tym.

- Rozmawiasz z Marcosem? Opowiadasz mu o wszystkim?

- Marcos poświęcił ostatnio kilka miesięcy na odnalezienie dziewczyny, z którą żył w Boliwii, kiedy miał trzynaście lat. Trzynaście. Claudia Monte - jakaś - tam, Montenegro? Montezuma? Trzynastoletni Marcos zadawał się z Claudią jakąś tam i nigdy się z tego nie otrząsnął. Twierdzi, że myślał o niej mniej więcej co tydzień przez minione trzydzieści parę lat, a ja wiem, że to prawda, gdyż od dziesięciu słucham o niej. Mówi o niej, jakby była jakąś niebianką. Wreszcie miałam tego dosyć, powiedziałam, że ją odszukam, a co ten sukinsyn zrobił? Sam ją odnalazł. I zgadnij. Wyszła za męża za jakiegoś multimilionera z Doliny Krzemowej. A co na to mój mąż? Zadzwoił do niej. Marcos. Pan Trudno Osiągalny, pan Nigdy Nie Odpowiadający Na Telefony. Nawet od dzieci czy od matki. Dwadzieścia minut usiłował jej przypomnieć, kim jest. Chęłpił się nawet swoimi filmami... Duch bagien 2, chwalił się.

- I?

- I chyba nie zdołała go sobie przypomnieć. Nie miała pojęcia, kto to jest.

- Biedny Marcos.

- To ja jestem biedna. Dlatego myślę o dawnych chłopakach. Z ich powodu wstaję rano, szczotkuję włosy, wciąż się maluję. Ciągle mam nadzieję, że przypadkiem spotkam jakiegoś dawnego kochanka, a on pomyśli: „Cholera, ona świetnie wygląda. Dlaczego ją rzuciłem?”

- A nie marzysz o poznaniu kogoś nowego? - spytała Louise.

- Boże, nie - odparła Missy. - Zbyt długo jestem mężatką. Faceci. Mam ich powyżej dziurek od nosa.

Czy i Louise też miała ich powyżej dziurek od nosa? Ależ skąd.

Teraz pojawił się F. Scott, który zostawił w jej mieszkaniu klimatyzację włączoną do oporu, jakby pragnąc powitać ją w domu po powrocie z pracy. Czyżby to przesłanie z zaświatów, z niebios, czy też kolejny zepsuty chłopczyk wykazuje swój tupet. W szklanym wazonie na stoliku stało kilkanaście wędnących tanich róż z koreańskiego targu. Pod wazonem wyrwana z bloczka kartka w linie, które już się rozplływały. Kartkę ozdobił kontur kota.

„Dla Ciebie ode mnie”, głosił napis.

Na dole podpisał KOLEŚ! i niedbałą strzałką połączył podpis z kotem.

Powinnam się zabić, pomyślała Louise. Zrzuciła pantofle. Podreptała bosą do kuchni. Otrzeźwiła się szklanką staroświeckiej wody sodowej, którą zamawiali oboje z Peterem. Dostarczano ją co dwa tygodnie - dostawcą był Pan Sodowy, starszy gość w fartuchu do pasa, pochylony pod ciężarem ciężkiej drewnianej skrzynki, którą dźwigał na ramionach. Firma nazywała się „Woda Sodowa Gimme”. Kiedy Louise zapłaciła rachunek za miesiąc, była bliska rezygnacji z zamówienia, ale urzekły ją syfony. Grube, solidne szkło, niebieskozielone jak morze. To jedna z większych przyjemności mieszkania w Nowym Jorku, a nie w jakimś

przytulnym miejscu, jak na przykład Seattle. Te syfony z grubego szkła ze ślicznymi srebrzystymi rączkami.

Usiadła na sofie, podwinąwszy nogi. Zaczęła wyliczać powody, dla których się nie zabije. Było to jej ulubione zajęcie, jakie odkryła po rozwodzie, kiedy się przekonała, że pozbycie się Petera nie rozwiązało jej problemów. Me rozwiązało niczego. Okazało się głupim egoistycznym posunięciem, z którego wynikło staropanieństwo, brak dzieci i wiele równie okropnych rzeczy. Co mogłoby być równie okropne? Zawód miłosny. Zawód miłosny w podeszłym wieku. Cóż, i tak, i nie, pomyślała Louise. Zanim doznasz zawodu, masz możliwość. Możliwość. To numer jeden na liście powodów, dla których należy żyć. Jak to mawiał Sammy, kiedy wrócił do domu z odwyku? Nie zastanawiaj się ani pięć minut, kiedy zdarza się cud.

Numer dwa: Jedzenie. Wszystko to, czego nie chciała jeść, chociaż Peter za tym przepadał - kraby, gęsie wątróbki, trufle, owoce morza. Lody karmelowe z owocami i ze śmietanką - których kosztowała, ale nie mogła sobie pozwolić jeść bez ograniczeń. Wszystko, na co nie mogła sobie pozwolić bez ograniczeń. To był powód do życia. Nadzieja, że kiedyś będzie sobie mogła pozwolić.

Numer trzy: Nigdy nie była w Chinach. Chińczycy słyną z wykwintnej kuchni. W Chinach jest Wielki Mur. Chińskie dzieciaczki. Przepelnione sierocińce. Dziewczynki, którym lepiej byłoby z samotnymi matkami - znowu mama. Richard Nixon pojechał do Chin. W moich oczach był małą nędzną kreaturą. Nikt nie zapomni, co zrobił Helen Gaghan Douglas. W Chinach zapomniano o czasach McCarthy'ego, ale nie zapomniano o Richardzie Nixonie. Missy uwielbiała podkoszulki z jego wstrętną gębą, które sprzedawano na bazarze „koło żywych kurcząt”. Podarowała nawet jeden taki

Louise na jej ostatnie urodziny. Missy i Marcos byli w Chinach na festiwalu filmowym. Mąż ją tam zabrał.

Numer cztery: Mama by tego nie przeżyła. Mama Silverstein nie przeżyłaby, gdyby Louise Harrington popełniła samobójstwo. Chociaż była twarda, tak twarda, że potrafiła głośno oskarżać Richarda Nixona, nawet Bobby Kennedy w czasach McCarthy'ego nie był tak twardy, mama nie mogłaby żyć bez swojej Louise.

Numer pięć: Sammy odziedziczy wszystko.

Numer sześć: Jeszcze jest książka, której by nigdy nie napisała, francuski, którego by się nie nauczyła, aria, której by nie zaśpiewała.

Upiła łyk wody sodowej. Na razie odtwarzała znajomą listę. Znała ją na pamięć. Świetne hotele z obsługą do pokoi i frotowymi prześcieradłami. Wszystko się może zdarzyć. Pokój na świecie. I to możliwe. Krach na rynku nieruchomości na Manhattanie. Epidemia!

Numer siedem: Numer siedem, nieodmiennie bolesny. Tutaj Louise zawsze się zatrzymywała i otwierała puszkę z ciasteczkami. Teraz, wreszcie, znalazła siódmy powód. Tajemniczy F. Scott. Rozgryźć to.

Oglądał jej obraz. Jego pędzla. Widział obraz, który dawno, dawno temu on namalował dla niej.

Co wtedy pomyślał?

Numer siedem i pół: Znaleźć odpowiedź na to pytanie.

Numer osiem: Przyjemność z faceta, który potrafi to zrobić dwukrotnie w ciągu godziny. Nieważne, kim on jest.

Numer dziewięć: Ponowne pojawienie się Scotta Feinstadta czy pojawienie się F. Scotta, jakkolwiek było, przyjemność z faceta o wspaniałym, nieoślizłym ciele, który może dwa razy, to znak, że wszystko jest możliwe.

Możliwości. Wróciła więc do numeru pierwszego. Jedzenie...

Zadzwoił telefon.

Louise poderwała się, uderzając się goleniem o kant stolika.

- Cholera jasna - warknęła, kuśtykając do telefonu.

Podniosła słuchawkę akurat, gdy włączyła się automatyczna sekretarka. Hm, czyżby ją odłączył? Skasował wszystkie wiadomości? Przesłuchiwał je cały ranek? Maszyna wydała wysoki przenikliwy dźwięk, jakby pies sąsiadów wtórował jej wyciem.

- Jejku - odezwała się Missy, kiedy Louise, przekrzykując hałas, zgłosiła się do słuchawki.

Nacisnęła „stop”, potem z telefonem pomknęła do saloniku.

- Może weź pigułkę, Missy! - zawołała.

- Nie musisz krzyczeć.

- Przepraszam.

- Chciałam cię ucieszyć pewną opowieścią. Chłopak, który sprząta na basenie, nie nosi koszuli i kiedy się nachyla, żeby zebrać pianę z wody, widać mu bruzdę na tyłku. Olalala!
- powiedziała Missy.

- Posłuchaj - Louise miała jeszcze w pamięci podobną rozmowę - czyż nie było to typowe dla jej stosunków z Missy, tysiąc i jedna wersja tej samej rozmowy, gadki o facetach? - Miałaś jakiś kontakt z Rogerem, tym bankierem?

- Pewnie, że się odezwał. Mówił jak podstarzały, samotny i napalony gość. Że jest tłusty, a jego żona ciągle chodzi na gimnastykę. Bachory go nie cierpią. Ale ma życie.

- Fatalnie - powiedziała Louise.

- Jasne, fatalnie, że nie zdobyłam się na to, żeby go odstawić.

Co takiego?

- Umówiliśmy się - ciągnęła Missy. - Doszłam do wniosku, że skoro on jest gruby i ja jestem gruba, to nie

powinniśmy przejść obok siebie obojętnie. Umówiliśmy się więc w holu hotelu. On niby wyjechał w interesach. Jakich tam interesach? Jest już tak bogaty, że nie musi sam prowadzić interesów. Zatrudnia setki ludzi, aby to za niego robili, wszystko co trzeba. Dogadaliśmy się. Spotkamy się w hotelowym holu. Tymczasem ja, Panna Puszczalska, bez jego wiedzy zamówiłam już pokój - westchnęła Missy.

Hotel. Hotelowy hol i pokój. Czy Missy mówi serio? Louise podczas trwania małżeństwa nigdy by czegoś takiego nie zrobiła. Choćby się czuła najbardziej nieszczęśliwa. Samotna, owszem, zdecydowałaby się. Samotna zrobiłaby to z żonatym mężczyzną w średnim wieku, ale nie, gdyby była czyjąś żoną. Hm, nieprawda, właściwie zrobiła to kilka razy (oszukuje samą siebie) - z kolegą, w toalecie podczas zabawy na koniec semestru, z nieznajomym, którego poznała w samolocie (Włoch z popsutymi zębami), w jego hotelowym pokoju wynajętym na lotnisku, po wyjątkowo nieudanym weekendzie z ojcem i okropnymi bachorami na Florydzie, gdy Peter siedział na konferencji w Los Angeles, potem ten muzyk jazzowy, który uraczył ją tryprem. Były to czasy, kiedy nie układało się między nią a Peterem, co wydawało się dziwne, niezrozumiałe - po dziś dzień nie potrafiła pojąć, dlaczego dwoje atrakcyjnych, inteligentnych ludzi, na pozór tak świetnie do siebie pasujących, może prowadzić tak samotne życie - dlatego decydowała się na te przelotne miłości, żeby sobie udowodnić, że wciąż jest pociągająca dla mężczyzn.

- Więc powstrzymało cię uczucie do Marcosa? - spytała Louise, z zazdrością zaprawioną goryczą.

- Ależ skąd? Marcos mnie do tego skłonił - powiedziała Missy.

- Marcos cię skłonił? - pisnęła zdumiona Louise.

- Aha, dasz wiarę? Dupek. Powiedział: „Jeśli wyjdiesz naprzeciwko, to nie będziesz taką dziwką”. Sukinsyn

ogarnięty manią rymowania. Tak, Marcos, prawdę mówiąc, wystawił mnie temu facetowi. To on, z przeproszeniem, spuścił wodę.

- Co ty mówisz, Miss?

- Kiedy ostatni raz spałam z Rogerem, miałam dwadzieścia dwa lata, no i oczywiście nie urodziłam dwójki dzieci, rozumiesz, prawda? Gdybyś ty widziała moje cycki. Wiszą do kolan. Mogłabym znaleźć się na okładce „National Geographic”. Zrozumiałabyś, dlaczego muszę nosić wodny stanik.

- Jaki?

- Taki jak łóżko wodne. Biust jest w nim wysoki i sprężysty.

Louise zerknęła na słuchawkę.

- Wyglupiasz się. Ale mówiłaś, że Roger jest gruby.

- Zawsze był przy kości - zapewniła Missy. - Ale ja wtedy miałam zderzaki.

Louise westchnęła. Ona nigdy nie miała zderzaków.

- Daj spokój, Miss, zawsze musiałaś nosić stanik.

- Przespałaś się z kimś - stwierdziła czujnie Missy. Czyżby była nieślubnym dzieckiem mamy?

- Co takiego?

- Kiedy idziesz z kimś do łóżka, zawsze jesteś dla mnie przykra - powiedziała Missy.

Czyżby?

- Kto to jest?

- Nie wiem - przyznała się Louise. Missy westchnęła głęboko.

- Stary i bogaty? - zapytała bez tchu.

- Nie.

- O cholera. Więc młody i biedny. Szczęściara. Nienawidzę cię, Louise.

Gdybyś wiedziała, pomyślała Louise.

- Nie odpowiadasz. Pieprzysz się z jakimś gołym jak święty turecki aktorem, nie, z pisarzem, o Boże, nie, pieprzysz się ze zdychającym z głodu malarzem.

Cisza.

- Nienawidzę swojego życia - oznajmiła Missy. Czyżby Missy rzeczywiście nienawidziła życia, którego Louise tak jej zazdrościła?

- Bóg mi świadkiem - powiedziała Missy tonem Scarlett O'Hary. - Chciałabym być w twojej skórze.

Tego wieczoru Louise i Peter spotkali się na rogu przed sklepem spożywczym prowadzonym przez Koreańczyka. Przy wejściu stał ulubiony świr Petera, podstarzały Latynos, trzymający kartonik z informacją, że przy upadku na głowę uszkodził sobie mózg. Jak więc zdołał to napisać? Kiedy Louise skreśliła za róg, ujrzała ich obu w blasku świateł ulicznych, Peter trzymał w ręku portfel i wyjmował drobne.

- To wszystko - usłyszała jego głos - co mam dla ciebie na dzisiaj.

Żebrak, mamrocząc, rozpląwał się w podziękowaniach.

- Kup sobie coś do jedzenia - powiedział Peter, jej Peter. - Na przykład porcję pizzy, co?

- Dobry pomysł - odezwała się Louise, stając za nim i obejmując go ramieniem.

- Kto to? - Peter obejrzał się zdziwiony, na jego przystojnej twarzy pojawił się uśmiech.

- Pomyślałam, że porcyjka pizzy uświetniłaby nasze spotkanie.

Louise dawno już nie była taka miła dla Petera. Ucisnęła lekko jego ramię. Oboje zdziwił ten gest, przebiegł ich przyjemny dreszczyk, przyjemność okazała się równa doznaniom wyrafinowanej pieśczości. Rzadka rzecz.

- Hmm - odezwał się Peter. - Jeśli raz człowiek zrobi coś dobrego, miejmy nadzieję, że będzie w tym trwał.

Szczerą prawdą, pomyślała Louise.

- Robisz wiele dobrego - powiedziała stanowczo. - Jesteś dobrym człowiekiem, Peter. - Mówiąc to, była pełna podziwu dla jego dobroci.

- Ach, nawyk starego poczciwca - odparł uśmiechnięty szczerze Peter. Mocniej przytulił jej rękę. - Odwieczna śpiewka.

Czy to nie zdumiewające, zastanowiła się Louise, jak świetnie wypada Peter na tle innych facetów? Ta jego pewność siebie i stanowczość najbardziej ją urzekły.

Przycisnęła policzek do jego ramienia. Wieczór był chłodny i jasny. Broadway lśnił w smogu i wiosennej mgiełce. Szli przytuleni. Wiatr roznosił śmieci.

- Piwo czy cola? - wyszeptał Peter do ucha Louise. Poczowała ciepło jego wilgotnego oddechu.

- Cola - odparła. Czowała się bezpiecznie.

Minęli koreański bazar. Skierowali się do „Sal & Carmine”. Ostatnia dobra pizzeria w tym mieście. Gładkie, nieprzypalone ciasto. Niezbyt słony ser i tradycyjny sos do spaghetti.

- Dobry wieczór - powiedział Peter. - Dwie pizze. Bez dodatków. Dwie cole. Normalna dla mnie i niskokaloryczna dla damy.

W zamówieniach był mistrzem. Louise popatrzyła na niego czule. Jak cudownie sięgał do kieszeni.

- Weźmy na wynos, dobrze? - poprosiła. - I pójdziemy do mnie? - Uścisnęła go pytająco za ramię.

- Oczywiście - zgodził się Peter. Miał głęboki, dźwięczny głos. - Wspaniale.

W szaroniebieskiej miejskiej poświacie, niczym przy zachodzącym słońcu, Peter wydawał się solidny, pewny, dojrzały. Bez tatuażów, zrobionych za ciężko zarobione przez rodziców pieniądze. W normalnych spodniach i zwyczajnej

marynarce, które kupił przy jej pomocy w „Brooks Brothers”. Normalny, prawdziwy mężczyzna.

Kiedy dotarli do mieszkania Louise, pizza zdążyła już wystygnąć, ale to nie miało znaczenia. Wyłożyła ją, zakrzepłą i lśniąca od oliwy, na talerze z chińskiej porcelany, które dostała na prezent ślubny. Z bieliźniarki wyjęła starannie złożone lniane serwetki. Wróciła do kuchni i wygrzebała butelkę czerwonego wina - wytrawny Cabernet. Otworzyła serwantkę, chcąc wyjąć kieliszki, i na widok tego, co tam zobaczyła, wrosła w ziemię. Pudełko. Puste pudełko po doskonałych czekoladowych ciasteczkach polewanych smakowitym kawowym lukrem. Obok liścik - „Aby osłodzić Twoje sny” - i jedna malutka czekoladka z czekoladek o znamiennej nazwie „Pocałunki Hersheya”. F. Scott.

Jak się darzy, to się darzy.

Czy to nie zabawne, jak to, co ci się zdarzyło z jednym facetem, ułatwia obcowanie z drugim? To tak, jakby zaproponowano ci pracę, kiedy już jedną świetną masz. Mężczyźni spadają z nieba niczym manna.

Dziwne. Wróciła do Petera.

Czy to nie fajne, myślała, że oszukuję i F. Scotta, i męża. Jak to oszukujesz, skoro z żadnym nie jesteś w stałym związku?

Nie słucham tego. Niewidzialnymi dłońmi zasłaniam sobie niewidzialne uszy.

Louise usiadła ze skrzyżowanymi nogami naprzeciw męża. Eks. Nawet F. Scott uznał, że ten przedrostek jest rajcujący. Nalała colę i wino.

- Powiedz mi, Peter - zagadnęła - co porabiasz. Opowiedz mi, co porabiasz, a ja ci opowiem, co ja porabiam.

Peterowi zaczerwieniły się czubki uszu. Nie przypominała sobie, aby przedtem zdarzało mu się coś takiego. Szczerze mówiąc, poróżowił też na twarzy.

- Peter - odezwała się Louise. - Dlaczego się zaczerwieniłeś? - Pewnym głosem, gdyż zdawała sobie sprawę, że jest dla niego równie ważna, jak on dla niej, że po tych wszystkich latach, wzlotach i upadkach znów jakimś cudem coś między nimi zaiskrzyło.

Ale Peter, zamiast wziąć ją w ramiona, jak się tego spodziewała, zakrztusił się winem i zaczerwienił po uszy.

- Peter? Uderzyć cię w kark?

- Nie, nie, Lou - wychrypiał. - Już mi przeszło. - Walnął się pięścią w piersi. Najwyraźniej to przywróciło mu równowagę, jak gest samobiczowania. - Naprawdę, wszystko w porządku.

- To dobrze - powiedziała Louise.

- Dobrze - zawtórował Peter. Wszystko dla mojej Louise.

- Dobrze?

- No, tak - zapewnił Peter.

Ale w niej nagle serce zamarło. Czyżby źle zrozumiała jego intencje? Czyżby okazała się nie dość doświadczona, nie dość mądra, aby zdać sobie sprawę, że jeśli ona coś czuje, jeśli ona czuje się świetnie, nie znaczy to wcale, że jej partner czuje to samo?

- No cóż, podejrzewam, że się domyślasz, właściwie jestem pewien, że już wiesz. Spotykam się z kimś. To znaczy, spotykam się z pewną osobą.

Czy to znaczy, że dotąd spotykałeś się z pewnym psem? - zakpiła w duchu. Ale milczała. Więc wszystko obróciło się przeciw niej. Znowu. Głupia baba, wystawiła się i dostała za swoje.

- Podejrzewam, że się domyślasz, kto to jest. Mam wrażenie, że widać to na mojej twarzy.

- W tej chwili na twojej twarzy widać tylko zastygły sos pomidorowy - wyrwało się Louise.

Peter otarł brodę lnianą serwetką. Serwetką, którą sama musiała uprać i wyprasować. Cholera. Zmarnowała na niego lnianą serwetkę.

- Farrah? - wykrztusiła.

Peter kiwnął głową, starając się ukryć zachwyty.

- Studentka? - Louise usiłowała z całych sił zapanować nad głosem.

- Hm, już raz to u mnie zadziało - powiedział Peter zbyt niefrasobliwie jak dla Louise. Nie miał z czego być taki dumny. - Poza tym to nie moja studentka. Robi magisterium z prawa międzynarodowego i morskiego. Pracuje u mnie.

To prawdziwy zawód miłosny. Louise miała ochotę krzyczeć, ale powiedziała:

- Cieszę się.

- Dzięki, Louise, jesteś wspaniałomyślna.

Wspaniałomyślna? Co ty o tym wiesz? Spędziłam noc, hojnie darząc miłością cudownego chłopca, tu, na tym dywanie, w tym samym miejscu, w którym usadziłeś swoją tłustą dupę!

Nie powiedziała tego na głos.

Miała nad nim litość.

Dobra dziewczynka!

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

Potem Peter chrząknął cicho.

- Tak? - odezwała się Louise. Peter spojrzał na nią. Jeszcze coś.

- Jeszcze coś?

- Tak, Lou - odparł Peter. - Jest jeszcze coś.

Louise wstała, poszła do kuchni i sięgnęła po awaryjną paczkę papierosów. W pudełku Marlboro leżał na wierzchu mały skręt, obwiązany cieniutką wstążeczką. Też prezent od F. Scotta.

- Byłem dzisiaj na lunchu z Sammym. Louise wyjęła skręta i papierosa.

- Wszedł w to, w tę spółkę technologii DVD - wiesz, odtwarzacze DVD montuje się na przykład w rodzinnych samochodach terenowych, żeby dzieciaki siedziały spokojnie podczas dalekich podróży, można je wypożyczać na lotnisku, instaluje się je w wózkach na zakupy w supermarketach - słowem, wszędzie, gdzie są dzieci i trzeba je czymś zająć. Wnosimy pewien wkład, a potem wychodzimy z publiczną ofertą sprzedaży akcji. - Peter mówił całkiem serio. - Problem w tym, że chcąc wystąpić jako założyciel, muszę wpakować w to swoje czterysta tysięcy dolarów i właściwie wszystko, co mamy. A prawdę mówiąc, musimy pożyczyć...

- Pożyczyć? - powtórzyła Louise. - Pożyczyć? Od kogo mianowicie mielibyśmy pożyczyć?

- Od Sammy'ego, rzecz jasna - wyjaśnił Peter. Czy on zwariował?

- Zwariowałeś, Peter? Postradałeś zmysły? Zachowujesz się, jakbyś nie był sobą. - I nie był. Naprawdę nie był. Peter, którego znała, nigdy nie ryzykowałby wszystkiego, czego się dorobił ciężką pracą, w niepewnym, wątpliwym interesie. - Sammy jest absolutnie niewiarygodny, doskonale o tym wiesz - ciągnęła. - Na miłość boską, on jest uzależniony, kto wie, co zrobi z tą for...

- Poddał się leczeniu - stwierdził Peter. Powiedział to tak, jakby mówił: „Klamka zapadła”.

- Co z tego?

- To, że teraz jest zupełnie innym człowiekiem - zapewnił Peter. Powiedział to spokojnie, ale uszy mu poróżwiały, a za chwilę poczerwieniały. Były czerwiejsze od jej szminki. - Przystudiowałem uważnie prospekt, wygląda to solidnie. - Peter był o tym przekonany. Chciał przekonać i ją. - Sammy zupełnie się zmienił.

- Co ty o nim wiesz?

- Spędziliśmy ze sobą sporo czasu. Dużo rozmawialiśmy. Peter z Sammym?

- Rozmawiałem z Sammym - powtórzył Peter. - Boże, jak to dobrze wreszcie to z siebie wyrzucić.

Louise nic nie rozumiała.

- Co wyrzucić?

Peter popatrzył jej w oczy. Twardym wzrokiem. Dlaczego? Utkwił w niej uważne spojrzenie.

- Powiem ci, jeśli chcesz wiedzieć. Jeśli jesteś na to gotowa, by usłyszeć. - To zabrzmiało jak wyzwanie.

Gotowa? Co usłyszeć? Nagle Louise zapragnęła przede wszystkim zapalić. Papierosa, skórkę od banana, cokolwiek.

- Hej, Pete. Zapalisz skręta? Jeśli zapalisz ze mną skręta, wysłucham wszystkiego, co wyczynialiście z Sammym za moimi plecami.

- Nie robiliśmy tego za twoimi plecami, Louise. Wprost na twoich oczach.

Peter nie był wojowniczy, ale przyjął postawę konfrontacyjną. Szczerość dodawała mu odwagi. Nie znała go takiego. Dokąd zmierza?

Wreszcie, wreszcie Louise zrozumiała, że zapowiada się długi i ciężki wieczór. Nie przeżyje go na trzeźwo. Nie chciała, by Peter, ten odmieniony, twardy Peter, zauważył, jak drżą jej kolana.

Kusicielsko machnęła przed nim skrętem.

- Świetny pomysł - stwierdził Peter ku jej zdumieniu. Był niezmordowany. - Bo to nie wszystko, Lou. Boże. Boże. To dopiero początek drogi. Nareszcie. Nareszcie jestem gotów wyznać ci wszystko.

Louise zapaliła skręta F. Scotta. Zaciągnęła się głęboko, potem przekazała trawkę eksmeżowi. Też się zaciągnął, długo przytrzymał w płucach dym, tak długo, że Louise zdążyła

sobie uświadomić, że nikt nigdy nie zdoła naprawdę poznać drugiego człowieka - kiedy Peter nauczył się palić skręty? Do tej pory pyszniła się tą drobną przyjemnością, zastrzeżoną tylko dla siebie; na początku ich wspólnego życia wyzywająco popalała w jego obecności, a on martwił się, czego może dokonać to indyjskie konopie w jej różowych młodzieńczych płucach - to było jeszcze wtedy, kiedy naprawdę mu na niej zależało. Kiedy byli starsi i nie dbał już tak o nią, nieszkodliwe flirty Louise traktując jako oznaki rosnącej niechęci, wypalała swoją działkę samotnie w parku nad rzeką, wracała jednak do domu tak szybko, by Peter wyczuł słodki zapach dymu w jej włosach i swetrze, żeby poczuł to jak policzek. Kłopot wszak polegał na tym, że po pewnym czasie Peter przestał zwracać na to uwagę. Przez cały ten czas Louise myślała, że tylko ona jedna w tej przestrzeni, ona jedna w tej ciasnej, ciemnej, klaustrofobicznej klatce ich małżeństwa ma ochotę na odrobinę szaleństwa. Doprawdy, nigdy nie da się do głębi poznać drugiego człowieka. Cóż, zdaje się, że spędziła czternaście lat z kompletnie obcym facetem. Obcym, który teraz siedział naprzeciwko niej, tym sztywnym, cwany, całkowicie nad sobą panującym Peterem Harringtonem, który zaciągał się niczym któryś z jej dawnych znajomych ćpunów z uczelni. Nikt nigdy nie zdoła poznać drugiego człowieka, nie wyłączając Louise. Nie wiedziała nic o nim ani o sobie.

Zaczął się to, jeszcze nim się poznali. Nim zaczęli się spotykać. W szkole średniej. W college'u. Kiedy tu się pojawił, sprawa już była beznadziejna.

Beznadziejna?

Był beznadziejnie uzależniony. Od czego? Od czego, Peter?

Trawka. Heroina. Twarde narkotyki? Od czego jeszcze ludzie się uzależniają? Od smutku.

Smutku?

Jestem uzależniona od smutku, mamó.

Jesteś uzależniona od bezruchu. Od przeszłości. Nie potrafisz nad niczym przejść do porządku, Louise. Nigdy nie potrafiłaś.

Nie, to nie to.

- Seks - powiedział cicho, tak cicho, że ledwie go usłyszała. Jego głos był jak mgiełka. Cholerna mgiełka seksu. Wypląnęła z ust Petera, zagęściła powietrze. Opadła ciężko na Louise.

- Seks? - spytała.

- Seks.

- Nie zauważyłam tego.

Seks. Jej Peter. Był uzależniony od seksu. Ale chyba od seksu z kimś innym niż żona. Jego żona Louise.

- Nie potrafiłem się uwolnić od uprawiania seksu. Przeważnie z kobietami - mówił Peter. - Dziewczynami. Lubię dziewczyny. Wiesz, takie dojrzałe - dodał szybko. - Powinienem raczej powiedzieć kobiety. Wolę kobiety - Peter wziął głęboki oddech. - Chociaż próbowałem też czegoś innego - uzupełnił.

- Czegoś innego? - powtórzyła Louise.

- No, rozumiesz.

Ale ona nie rozumiała. Co to jest coś innego? Mężczyźni, dzieci, psy?

- Mężczyźni - wyjaśnił Peter. - Kilku. Cóż to, u diabła, znaczy?

- Cóż to, u diabła, znaczy? - spytała głośno Louise.

W mieszkaniu zrobiło się ciemno, w pokoju było zimno, Louise skostniała, Peter od pewnego czasu siedział nieruchomo, ale za to cały świat zaczął wirować. Jakby Peter i Louise tworzyli oś, a wszyscy inni obracali się w przestrzeni wokół nich. Oczywiście ci inni - cała ludzkość - nie mogli iść przed siebie, wirowali ciągle wkoło.

Rodzili się, dorastali, marzyli, zakochiwali się, rozczarowywali, doznawali przyjemności, starzeli się, umierali. Ale przynajmniej byli w jakimś ruchu. A Peter i Louise tkwili w bezruchu, w bagnie małżeństwa, jak owady na wieki zatopione w bursztynie. Peter siedział na podłodze, nogi ostrożnie wyciągnął pod stolikiem, plecami opierał się o kanapę. Wzrok wbił w kolana. To nie mogło się zdarzyć, pomyślała Louise. Ale oczywiście się zdarzyło. Wszystko najważniejsze, co spotkało ją w życiu, wyglądało w danej chwili, jakby nie mogło się zdarzyć, gdy tymczasem niewątpliwie i nieodwołalnie się zdarzyło.

Przypomniała sobie telefon, jaki odebrała tamtego lata. Leżała na łóżku, wpatrując się w okno. Pod koniec lata zieleń liści klonu za oknem była najintensywniejsza. Są tak głęboko i bez reszty zielone, zauważyła w myśli, że muszą zwiędnąć, zbrązowieć i opaść. Nikt, nic nie może tak głęboko i bez reszty trwać w szczytowej formie istnienia, nikt nie może długo trwać w takim rozkwicie, aby się nie wyczerpać. O tym właśnie myślała Louise, kiedy zadzwonił telefon.

Missy.

Oddychała ciężko.

„Posłuchaj, staruszek - powiedziała. - Jestem w strasznym stanie. Powiedz, że jesteśmy wciąż najlepszymi przyjaciółkami, że jesteśmy przyjaciółkami na całe życie. Ty jesteś moją przyjaciółką. Ale błagam, powiedz, że ja też jestem twoją”.

Louise nawet nie pofatygowała się, żeby się odwrócić lub usiąść, leżała dalej na brzuchu, wpatrzona w najcudowniejszą zieleń. Prawda była taka, że w tej chwili opadła z sił. Mówiła sobie w myślach: Żartujesz chyba, Missy. Najlepsze przyjaciółki? Ty i ja? Zabrałaś mi jedynego chłopaka, jakiego kochałam, odebrałaś mi go. Jesteśmy dla siebie wrogami. Raczej nieprzyjaciółkami.

Ale milczała. Tylko nerwowo okręcała wokół palców przewód od telefonu.

„Błagam” - wydyszała Missy. „Co się stało?” - spytała Louise. „Chodzi o Scotta. O Boże!” - Mówiła z trudem.

Robisz ze mnie idiotkę? - pomyślała Louise. Chcesz mi się wyzalić? Co, ciebie też wystrychnął na dudka, rzucił cię, zapomniał ci posłać kwiaty na urodziny? A ja mam znów odgrywać rolę najserdeczniejszej przyjaciółki, bo rzucił cię facet, którego mi odbiłaś? Chyba nie zdajesz sobie sprawy, że ja bez przerwy o nim myślę? Tkwię po uszy we wspomnieniach. Jestem zbyt młoda, aby otrząsnąć się z takiego wstrząsu, aby nawet wiedzieć, iż to w ogóle możliwe - czy Louise wówczas tak naprawdę myślała, czy to teraz doświadczenie przez nią przemawia? Jestem zbyt młoda, by wiedzieć, że gdyby ból był helem, a moja dusza balonem, wypełniłby cały kosmos i ulotniłby się dopiero z upływem lat. Jestem zbyt młoda, by zdawać sobie sprawę, że czas leczy rany i że kiedyś zdołam spojrzeć na Scotta Feinstadta jako na cwanego sukinsyna, którym w gruncie rzeczy był. Nie, to mocno spóźniony refleks. Spóźniony refleks i nietrafna metafora. Wtedy Louise potrafiła jedynie powiedzieć do siebie i do Missy w myślach: Mnie wciąż to boli. Myśli o Scotcie Feinstadcie są dla mnie tym czym zieleń dla tych głupich liści. Oddaję się im głęboko i bez reszty. Żyję nim i oddycham nim. Mnie wciąż to boli, Missy.

„A co z nim?” - spytała. „On nie żyje. Och, o Boże, Louise”.

Wtedy Louise wydawało się, że to się nie zdarzyło. Dalej owijała kręcony sznur telefonu wokół środkowego palca.

Teraz, dwadzieścia lat później, siedząc we własnym mieszkaniu, z Peterem, Louise też myślała, że nic takiego się nie zdarzyło, nawet kiedy spytała męża o nazwiska mężczyzn, z którymi się zadawał, których fiuty brał w usta, którzy

wpychali je w jego tyłek, co gorsza, mężczyzn, z którymi sypiał i budził się następnego ranka, którzy może leżeli z nim na tej samej poduszce. Facetów, których jej mąż całował.

- Dave Shearson, Dave Weinstock, Dave Kovacs.

- Co? Wszyscy o imieniu Dave? - Chciała, żeby zabrzmiało to żartobliwie, ale wyszło złośliwie. Czy może chciała być złośliwa, a wyszło zabawnie? Tak czy owak wyszło inaczej, niż chciała.

- Derrick - dodał Peter.

Derrick. Współlokator Petera jeszcze z akademika. Derrick, współlokator Petera w czasach, gdy się poznali.

- Czy litera „D” to twój fetysz?

- No, nie - odparł Peter cicho. - Nie. To byłoby za dużo szczęścia.

- Ale to już prawie wszyscy - ciągnął Peter. - Nie było ich wielu, to znaczy mężczyzn. Zerwałem z tym sporo lat temu.

- To już prawie wszyscy? - powtórzyła Louise.

- Echolalia - zauważył Peter.

- Echolalia? - zdziwiła się Louise.

- Powtarzasz automatycznie moje słowa - wyjaśnił Peter łagodnym, smutnym głosem. - Hm, chyba cię zraniłem?

- Powiedzmy. Hm, chyba mnie zraniłeś. Wstała, podeszła do stołu i zapaliła papierosa.

Peter westchnął, zmienił pozycję. Usiadł ze skrzyżowanymi nogami - na ile potrafił. Zwinność nie należała do mocnych stron Petera. To ci dopiero seksualny wyczynowiec. Z trudem zawiązywał sznurowadła. Kiedy byli małżeństwem, kiedy jeszcze go lubiła, zazwyczaj obcinała mu paznokcie u stóp. Jeśli poprosił, robiła to nawet po rozwodzie.

- Cóż, Lou, nie o to chodzi, kto, ilu ich było i kiedy. Kto? Faceci, których imiona zaczynały się na „D”. Ilu?

Nie tak wielu, stwierdził Peter. Nie tak wielu, kiedy jak na ironię z tej wstępnej rozmowy wynika, że Peter w wolnych

chwilach przespał się z większą liczbą mężczyzn niż Louise, która poświęciła temu samemu celowi więcej starań. Kiedy? Nie miała nawet czasu, aby otrząsnąć się z tego, co jej wyznał, zadać sobie to jakże oczywiste i narzucające się pytanie. Cóż, skoro tak...

- Powiedz szczerze. Czy robiłeś to z tymi facetami, kiedy jeszcze byliśmy razem? - Te słowa Louise wyrzuciła z siebie jak karabin maszynowy, jakby wydmuchując kóleczką dymu.

- Tak - przyznał Peter. - Robiłem.

- Robiłeś to nawet wtedy, kiedy przestałeś robić ze mną?

- Tak.

Odwróćmy stronę, pomyślała Louise. Wróćmy do poprzedniego rozdziału. Nie chcę o tym wiedzieć. Nie chcę o niczym wiedzieć. Przecież nie jestem już nawet twoją żoną. Nie jestem już twoją żoną! Dlaczego musisz mi o tym wszystkim opowiadać?

- Nie jestem już twoją żoną... - zaczęła, lecz natychmiast straciła rozpęd.

Peter popatrzył smętnie w jej oczy. Jego wzrok uderzył ją niczym splunięciem. Zamrugła powiekami.

- Właśnie dlatego. Dlatego nie jesteś już moją żoną. Nie jesteś już moją żoną, bo byłem uzależniony od seksu z innymi.

Och! A jej się wydawało, że się rozeszli, bo się nim znudziła. Sądziła, że się rozstali, gdyż ona ma tylko jedno życie, a życie z Peterem nie było życiem. Sądziła, że przestała być jego żoną, bo go rzuciła.

- Cały czas miałem tak straszliwe wyrzuty sumienia, że się całkowicie zamknąłem. Farrah mi to wytłumaczyła. Farrah?

- Poznaliśmy się podczas programu dwunastu kroków. Sammy nas zapoznał, więc kiedy otwieraliśmy nasz dział, zatrudniłem ją.

- Sammy?

- Zgadza się. W końcu zwróciłem się do Sammy'ego. Doszedłem do wniosku, że nikt nie wie o uzależnieniach tyle co on. Poza tym był z rodziny.

Czyjej rodziny, myślała Louise. Był jej bratem, ale nigdy, przenigdy nie traktowała go jak rodziny. Rodzina to matka. I Peter. Peter i mamusia, to rodzina, kropka. Tata to ten wysoki, zgarbiony mężczyzna, który czasami wpadał do ich salonu, a teraz mieszka z ładniutką pielęgniarką i jej dwoma przebrzydłymi synalkami szczęśliwie gdzieś na Florydzie. Floryda, na którą przeprowadzają się osoby w podeszłym wieku. Emeryci, projektanci mody, modelki i modele. Ojciec zamieszkał z tą różnobarwną ekipą z własnego wyboru. W tym wyborze nie było miejsca dla mamy i Louise. Tata był rodem z filmów Felliniego. Rodzina, też coś. Więc Sammy spiskował z Peterem.

- Potrzebowałem pomocy, Lou. I Sammy mi pomógł. Wysłuchał mnie. Wprowadził mnie do programu dwunastu kroków. A Farrah dodała otuchy, abym wytrwał.

A więc taki mały klub: Sammy, Farah, Peter. Wszyscy przeciwko Louise. A ona wykluczona z ich kręgu.

- Chyba powinnam być mu wdzięczna - zauważyła z nutą goryczy. - Chyba powinnam zaraz do niego zadzwonić i podziękować mu, że zabrał mi męża.

- On wcale mnie nie zabierał, Lou. Pomógł mi tylko odnaleźć drogę. Ogromnie mi pomógł. A te sprawy finansowe... to tylko szczyt góry lodowej tego, co Sammy dla mnie zrobił. - Peter zamilkł na chwilę. - Wiesz, my naprawdę możemy zarobić kupę forsy.

I takie to parszywe szczęście Louise, teraz Peter, odzyskany eksmaż, zamienia się w Petera milionera.

Och, co to ją obchodzi?

- Wcale nie dbam o forszę - powiedziała.

- Wiem. Dlatego z Sammym myślimy za ciebie. Pragnę cię chronić, Louise. To jedno mogę zrobić. To jedno mogę zrobić po tym wszystkim... - Peter wydawał się taki zawstydzony, w tej chwili wstydział się sam siebie - ...po wszystkim, co się stało z mojej winy...

- Boże - przerwała mu Louise. Zaczęła płakać. Po raz pierwszy od wielu lat. Łzy strumieniem płynęły po policzkach. - O Boże, to znaczy, że teraz jesteś przy dziewiątym kroku. Przy cholernym dziewiątym kroku. Boże - powtórzyła, wycierając nos chusteczką podsuniętą jej przez Petera. Tą samą pieprzoną chusteczką, którą kupiła mu na jakąś minioną rocznicę. - Nigdy nie przypuszczałam, że spotka mnie coś takiego.

Pieprzony dziewiąty krok, polegający na tym, że osoba uzależniona stara się naprawić wyrządzone szkody. Ostatni, dziewiąty krok Sammy'ego omal nie zabił ich matki. Dziewiąty krok Sammy'ego - kiedy wyznał, jak odwiedzał narkomanów i podkradał im forszę.

Louise z całego serca nienawidziła dziewiątego kroku.

- Czym sobie na to wszystko zasłużyłam? - spytała przez łzy.

Peter odchylił głowę. Zupełnie jakby wymierzyła mu policzek.

- Ty? To nie ma nic wspólnego z tobą, Lou.

Jak to możliwe? Jak może nie mieć nic wspólnego z Louise to, że Peter chciał się kochać ze wszystkimi na tej planecie prócz niej?

- Kochałem cię. Wciąż cię Kocham.

- Ty mnie kochasz? - zdumiała się Louise. To było pierwsze pytanie w ciągu tego całego koszmarnego wieczoru, które rzeczywiście zabrzmiało jak pytanie, a nie jak kolejne stwierdzenie z niewielkim znakiem zapytania, z nieznacznym zawieszeniem głosu.

- Tak - zapewnił Peter. - Kochałem. I kocham. Dlatego musiałem się przed tobą oczyścić. Tak powiedziała Farrah. Powiedziała, że jeśli istnieje jakakolwiek nadzieja dla niej i dla mnie, muszę się oczyścić przed Louise, moją żoną. I właśnie to robię. Pragnę się oczyścić, Louise. W pewien szczególny, właściwy mi sposób wciąż cię kocham.

Peter wyszedł, kiedy już zbliżał się świt. Dokładnie o trzeciej nad ranem. Wyszedł, ponieważ Louise go wyrzuciła. Wyrzuciła go, ponieważ po długim, zawiłym, szczegółowym wyznaniu zasnął na podłodze obok jej kanapy. Louise odebrało mowę, zatkało ją na dłuższy czas, tak więc w mieszkaniu panowała cisza. Było mrocznie i cicho. A on zapadł w sen. Louise przyglądała mu się jakieś dwadzieścia minut - jak może spać w tej sytuacji? Po czym wymierzyła mu kuksańca w żebra.

- Peter? - szturchała go.

- Uhm? - mruknął.

- Wynoś się z mojego domu, ty draniu.

O trzeciej nad ranem Louise Harrington zdzieliła profesora Petera Harringtona w żebra i wykopała go z domu. Wyniósł się spokojnie i posłusznie, ale Louise miała paskudne podejrzenie, że kiedy już znalazł się na ulicy, zatańczył. Na znak zwycięstwa? Wolności? Kto to wie? Ten taniec zaistniał tylko w jej wyobraźni. Peter z uniesionymi ramionami, kołyszący biodrami, przewalający się z nogi na nogę. Teraz Louise wydało się, że prawie całe jej życie istniało tylko w jej wyobraźni. A może to odnosi się do wszystkich ludzi na tym świecie, może ich życie jest czymś, co stworzyli sobie we własnej głowie?

Nie.

Nie?

Nie, Louise. Ty jesteś jedyna.

Po odejściu Petera mieszkanie Louise wydawało się jeszcze bardziej mroczne i cichsze niż dotychczas. Czyż nie była to kwintesencja całej idiotycznej historii z Peterem? Kiedy zniknął, mieszkanie stało się ciemniejsze i cichsze niż wtedy, kiedy jeszcze był tutaj.

Louise podniosła słuchawkę. Kwadrans po trzeciej nad ranem. O tej porze mogłaby zatelefonować tylko do jednej osoby. W południowej Kalifornii była dopiero północ.

Missy odebrała po trzecim dzwonku.

- Louise?

Louise zaniemówiła.

- Louise, wiem, że to ty. Wyświetlił mi się twój numer. Louise?

Louise próbowała przemówić, lecz nie zdołała odnaleźć słów.

- Och, kochana, co ci zrobił ten chłopak?

Skąd ona wie? - pomyślała Louise. Dlaczego wszyscy wszystko wiedzą, tylko ja nie wiem? Bo nie chciałaś o niczym wiedzieć, kochanie. Tak rozmyślała, oddychając szybko. Wciąż nie mogła zebrać tyle tlenu, aby przemówić.

- Ci pieprzeni, przymierający głodem artyści. Kiedy wczoraj usiłowałam się do ciebie dodzwonić, to on odebrał telefon.

Mówiła o F. Scotcie. Nie o Peterze. Missy rozmawiała z F. Scottem. W głowie Louise włączył się sygnał alarmowy. Czy Missy rozpoznała jego głos?

- Wydawał się całkiem miłym dzieciakiem, ale ja przejrzałam go na wylot.

Missy przejrzała go na wylot? I co zobaczyła? Krew, kości, prosty kręgosłup? A może tam nic nie było, gdyż powstał tylko w ich zbiorowej wyobraźni?

- Kocham cię, skarbie, wiesz?

Po raz drugi od dawna, po raz drugi tej nocy Louise zaczęła płakać. Z całego serca. Zalewała się łzami. Słyszała, jak Missy szepcze idiotyczne słowa pocieszenia. Jako matka miała wprawę w dodawaniu otuchy, kiedy jakieś sprawy przybrały zły obrót. To nie przymierający głodem artysta złamał serce Louise, to nie niszczące echa przeszłości, to nie fantom chłopca, który odrodził się jak golem. Tym razem wszystko stało się za sprawą właściwej osoby, jej własnego męża.

- Boże, Miss. Chodzi o Petera. To łobuz. Oszukiwał.

Niemal czuła złośliwy uśmieszek Missy.

- Nikt nie kocha cię bardziej niż ja - szepnęła Missy.

Jeszcze trochę miłości tej nocy i Louise będzie potrzebowała nagrobka.

O piątej po południu w progu jej mieszkania stanął F. Scott Feinstadt. Louise wciąż była nieubrana. To znaczy, wciąż miała na sobie jedwabną bluzkę, którą F. Scott wybrał dla niej wczorajszego ranka. Nie położyła się spać. Nie poszła do pracy. Nawet nie wzięła prysznic. Nie zdobyła się na nic poza paleniem papierosów. Nie odbierała telefonów od matki - ten skurwysyn Peter się nie odezwał. Skarbie, tak dawno ze sobą nie rozmawiałyśmy. Dwadzieścia cztery godziny, mamo. Światowy rekord. I słuchała piosenek. Joni Mitchell. Też nie pomogło. Dlaczego on do niej nie zadzwonił? Zawsze dzwonił. Dzwonił codziennie od dnia, w którym po raz pierwszy poszli do łóżka, choćby po to, żeby jej podokuczać. Joni Mitchell śpiewała: „Chciałabym mieć rzekę, mogłabym odpłynąć w dal...” Pomogło po śmierci Scotta Feinstadta, teraz jednak zawiodło.

- Kochanie - odezwał się F. Scott, kiedy po uporczywych dzwonekach wreszcie otworzyła drzwi.

Powiedział „kochanie” do kobiety, która nawet nie umyła zębów.

- Co się stało, najdroższa Louise?

Nim się opamiętała, już szlochała w jego ramionach, w otwartych drzwiach, gdzie mogli zobaczyć ich sąsiedzi.

F. Scott delikatnie poprowadził ją do sofy, nogą zamykając drzwi.

- Cicho, cicho, już dobrze, dobrze, kochanie - szeptał jej do ucha, przytulając ją, pozwalając na spazmatyczny szloch, przeszywający jej ciało, a skupiający się na jego piersi. - Nie płacz, kochanie, kochanie - zupełnie jakby fizycznie przejmował całe jej rozgoryczenie, gniew i smutek. Wziął cały jej świat na swoje barki, wchłonął jej ból. Kiedy się wreszcie uspokoiła, podniosła głowę i zobaczyła mokrą plamę od łez, jej łez na koszulce F. Scotta, właściwie dwie plamy tuż - tuż nad jego sercem. Usiłowała je szybko wytrzeć, ale tylko jeszcze bardziej rozmazała.

- A teraz powiedz - odezwał się F. Scott. - Czy ma to coś wspólnego ze mną?

Narczyz.

- Wielkie nieba, skąd! To Peter, mój mąż, przyszedł do mnie wieczorem, opowiedział mi różne rzeczy, wiesz, takie, o których wolałabym nie wiedzieć, niechlubne historie z przeszłości, nie wiem, dlaczego tak się przejmuję...

F. Scott skinął głową.

- Zdradzał cię, kiedy byliście małżeństwem?

Louise przytaknęła. Zaczęła jej drżeć warga. Ale skąd on o tym wie?

- Więc pewno chodzi o mnie - stwierdził F. Scott.

- Co?

- Wyczuł mnie. Wyczuł, że przyspieszyłem twoje tętno. Jest zazdrosny. Pragnie cię odzyskać.

- Tak uważasz? - spytała Louise. W świetle tej teorii sprawy wyglądają zupełnie inaczej. Dlaczego nie traktować wyznań Petera jako pewnego rodzaju przypochebienia się?

To lepsze niż widzieć w nich podły, wrogi atak, jakim w gruncie rzeczy były.

- Daj mu więc kopa. Powiedz mu, żeby spadał. Louise wyprostowała się. Od chwili gdy się spotkali,

T. Scott tak się o nią troszczył, co chciał przez to osiągnąć?

- Ale my, ty i ja, dopiero się poznaliśmy... - zaczęła Louise i zaraz umilkła. Czy naprawdę dopiero się poznali, czy znali się już od dawna?

- Wiem - odparł F. Scott. - To jest właśnie najdziwniejsze. Dopiero się poznaliśmy. - Urwał na chwilę, zastanawiając się nad wagą tego stwierdzenia. - Ale, Louise, klnę się na Boga, mam wrażenie, jakbyśmy się znali od niepamiętnych czasów. Jakby w tym, co się dzieje - F. Scott uściskał jej dłoń - co się dzieje między nami, był jakiś czynnik magiczny... chcę się przekonać, co to takiego... i nie życzę sobie, żeby twój ekszawłaszczył cię i wszystko zepsuł, teraz, kiedy jesteśmy na początku drogi.

Cofnęła rękę, przesunęła palcami po włosach.

- Posłuchaj, faceci to ogiery - mówił F. Scott. - Jesteśmy zwierzętami - tłumaczył Louise. - Ale przy tobie nie czuję się jak ogier. Tylko jak człowiek.

Louise wlepiła w niego wzrok. Do czego on zmierza? Czyżby naprawdę tak mu na niej zależało? Czy może uprawia jakąś głupią gierkę? Albo po prostu to świr?

Wydawało się, że F. Scott czyta w jej myślach.

- Nie chcę cię przerażać. Jeśli wolisz, żeby działało się to wolniej, dostosuję się.

Louise skinęła głową.

- A teraz musisz pewnie wziąć prysznic, przecież mamy dziś randkę, prawda? Nie ma żadnej przeszłości, jesteśmy tylko my, ty i ja. Na wszystko przyjdzie czas. Mam rację?

Co prawda, to prawda, pomyślała Louise. Nie ma żadnej przeszłości. Doskonale. Wstała. Ruszyła do łazienki.

- Zaraz wracam - obiecała.

- Nie musisz się spieszyć - odezwał się F. Scott. - Dzisiejszy wieczór należy wyłącznie do nas. Tylko ty i ja.

Racja. Ty i ja. I tysiące statystów, myślała Louise. Więcej niż dublerów w Ben Hurze. Plus to, co za sobą wloką. Ty głupku. Narcyzie. Myślisz, że jesteś moim jedynym duchem przeszłości.

Kolację jedli w Chinatown, w restauracji na świeżym powietrzu. U „Grubego Winga”. F. Scott zamówił kraby, potem zostawił Louise nad smażonymi pierożkami, a sam pobiegł i za chwilę wrócił z sześciopuszkowym pakietem piwa. W ciągu dziesięciu minut samotności Louise zjadła wszystkie pierożki palcami, tłuszcz skapywał jej po ręce, aż wreszcie wytarła go serwetką. F. Scott po powrocie, zobaczywszy pusty talerzyk, wybuchnął śmiechem i zamówił następną porcję. Potem łagodnie wyjął jej z dłoni serwetkę i czule oblizał po kolei wszystkie pobrudzone tłuszczem palce. Siedzieli koło siebie nie naprzeciwko, jak na jakimś bankiecie w bardziej wytwornej restauracji. Pochylali się nad blatem ze sztucznego tworzywa, F. Scott zajmował się jej dłońmi, Louise zaś przyglądała się ich odbiciu w lustrze. Jaki miły widok, myślała, kiedy F. Scott oblizywał palec wskazujący i kciuk. Był młody, przystojny, naprawdę dobra imitacja zakochanego faceta albo takiego, który ma nadzieję coś uzyskać. To akurat podobało się Louise, przyjemna była świadomość, że jest się pożądanym. Uśmiechnęła się do swojego odbicia, jego pozłacane smugi korzystnie rozszczepiały jej twarz, wygładzały zmarszczki i kiedy przymrużyła oczy, wyglądała jak młoda dziewczyna, śliczna młoda dziewczyna z warkoczem, w rustykalnej bluzce, dżinsach i drewniakach - strój, jaki dzisiejszego wieczoru

widziała przynajmniej na kilkunastu nastolatkach na ulicy. Tyle że jej stara dzinsowa bluza była naprawdę stara, a ich - sztywne i ciemnogrnatowe, jakby tkanina była mocno nasączona ciemnym atramentem. Jej młodzieżowe ubranie było takie samo jak ich, tylko że one zapewne zapłaciły za swoje bajońskie sumy lub wygrzebały w garderobach matek, a Louise miała własne.

Tak czy owak, w tym złoconym lustrze, nawet w ostrym żółtawym świetle, nie wyglądała na niczyją matkę, lecz na przystojną, dojrzałą kobietę, z którą F. Scott chciał się kochać. Uśmiechnęła się do swojego odbicia.

Kiedy skończyli pierwsze danie, F. Scott pilnie przestudiował menu umieszczone na stoliku pod pożółkłym i poplamionym blatem z pleksiglasu i oznajmił, że wciąż jest głodny - jak dorastający chłopiec. Zamówił żeberka, zupę z kluseczkami i chińską potrawę. Louise odmówiła, oświadczyła, że już niczego więcej nie zmieści, Ale kiedy talerze wylądowały na stole - kelner przyniósł je na przedramieniu, spiętrzone jak skala muzyczna, zjadła wszystko, wypła zupę tak, jak jej pokazał F. Scott, ostre chińskie przyprawy paliły jej wnętrzności. Do tego w rekordowym tempie wypła trzy piwa. Alkohol i jedzenie zaróżowiło jej policzki, czuła to pod dotykiem dłoni - zawsze lodowatych. F. Scott ujął jej dłoń i całował ją, nie przestając mówić, przez cały czas, kiedy jedli, F. Scottowi nie zamykały się usta. Gdy się włączyła, był przy sztuce, znowu. Dlaczego uwielbia „SZTUKĘ - wersalikami - sztukę jako pojęcie”. Niektóre obrazy, jakie oglądał w niektórych muzeach w niektórych miastach europejskich, są w mocy przemienić cząsteczki krwi w jego żyłach - o co mu, u diabła, chodzi? Fizycznie czuł, jak wnikają w niego przez skórę. „Jak ty, Louise Harrington, czuję, jak wnikasz we mnie, czasami chciałbym mieć cipkę”. Starszy mężczyzna, siedzący obok z

żoną, parsknął gniewnie, ale żona go uciszyła. Każdy lubi oglądać młode, zakochane pary, pomyślała Louise. Nawet ja. Znów zerknęła na ich odbicie w lustrze. Louise i jej student. Wyglądamy wprost uroczo. Widać między nami pewną różnicę, ale cóż w tym dziwnego? Nic, po prostu wolny, interesujący związek, uznała. W pewnej chwili, kiedy F. Scott zakończył swoje „ginekologiczne” wynurzenia, jak to nazwał, ona zaczęła mówić. Oczywiście Rauschenberg. No i Robert Ryman. Biel. Agnes Martin. Byłaby szczęśliwa po kres swoich dni, westchnęła, gdyby mogła budzić się co rano, mając przed oczyma obraz Agnes Martin - ta cudowna sieć krzyżujących się linii, niczym położone ręką pola koloru - i podziwiać go cały dzień, popijając kawę.

- Zdumiewasz mnie - odezwał się F. Scott. - Agnes Martin działa na mnie dokładnie tak samo. Jej obrazy są takie czyste, takie piękne.

Po kolacji F. Scott musiał podtrzymywać Louise na schodach wiodących z restauracji na ulicę - albo była tak nakręcona, albo tak oklapnięta, kto to wie i kto by o tym myślał, trzymając ręce na jej pośladkach - potem zabrał ją na wodę sodową z Hongkongu, której nigdy przedtem nie piła, z perełkami tapioki na dnie szklanek.

- Chcę wiedzieć o tobie wszystko - powiedział F. Scott poważnym tonem, kiedy sącząc napój przez słomkę, siedzieli koło siebie wsparci o kontuar baru. Aby udobitnić swoje słowa, zakręcił stopą stojący obok stółek.

Dlaczego? - zdziwiła się Louise; o tak wielu rzeczach sama chciałaby teraz zapomnieć.

- Jakie jest twoje ulubione danie? Poczekaj, niech zgadnę. Sushi, tak, Louise? Sushi i murzynki, nie takie, jakie się kupuje w delikatesach, ale prawdziwe, tradycyjne, z cukierni?

Owszem, tak.

- A kolor? Ecrú, kawowy, jasnobrązowy? Skąd wie?

- Zespół?

Zespół? - pomyślała Louise. Zespół?

Cierpliwie czekała, aż F. Scott powie jej, jaki jest jej ulubiony zespół. Może w tej sprawie F. Scott zdoła ją oświecić - pomoże jej głębiej wejrzeć w swoje wnętrze. Dotąd słuchała wszystkiego, co aktualny partner puszczał na stereofonicznej aparaturze. Po paru chwilach stało się jasne, że i F. Scott tego nie wie. Ten jasnowidz wreszcie utknął.

Nachylił się bliżej. Jego oddech pachniał chmielem. Przypominał słodki, lekko sfermentowany oddech krów wracających wieczorem z pastwiska. Skąd u Louise taka analogia? To pewnie za sprawą tego poety, który zabierał ją na łąkę, by popatrzyła na owce, to pewnie on pokazywał jej farmę. A może to za sprawą Petera, który swego czasu, gdy wracali z pikniku starym chevroletem, postanowił zjechać na pobocze i namówił ją, żeby przez zardzewiałe druciane ogrodzenie nakarmiła trawą brązowooką holenderkę; Petera, który kazał jej zamknąć oczy i wdychać ten wilgotny, mocny, zielony oddech krowy, aż ją odurzy. Kto to wie? Jedno wspomnienie zlewa się z drugim. A wkrótce wszystkie połączą się i z tym, czego doświadcza od tego chłopaczka.

F. Scott chuchnął jej piwem w twarz.

- Czy masz przyjaciółkę od serca? - spytał, a kiedy otworzyła oczy, patrzył na nią tak uważnie, tak natarczywie, że musiała odpowiedzieć.

- Cóż, owszem, tak. A ty masz przyjaciela?

- Miałem - odparł F. Scott. - Ten Ricky, o którym ci mówiłem. Zżyliśmy się w szkole. Ale to szajbus.

Oho, pomyślała Louise.

- Hm, Missy to też szajbuska. Ale wciąż moja najbliższa przyjaciółka.

F. Scott spojrział na nią z tą samą pochmurną, dziwną miną.

- Missy?

Co to za pytanie? Louise postanowiła odpowiedzieć mu źródłowo.

- To zdrobnienie od imienia Melissa, popularnego w latach siedemdziesiątych.

Och! F. Scottowi rozszerzyły się źrenice.

- Przyznam ci się - powiedział. Do czego?

- Rozmawiałem z nią przez telefon.

Rzeczywiście. F. Scott rozmawiał z Missy. Dlaczego Louise wcześniej nie zwróciła uwagi na ten znamieny fakt.

F. Scott wbił wzrok w podłogę.

- Zatelefonowała, kiedy byłaś w pracy. A potem... później... ja do niej zadzwoniłem.

On do niej zadzwonił? - Chyba nie masz mi tego za złe?

Zależy od tego, co Missy mu powiedziała. Co między nimi zaszło? Boże, dlaczego podniósł słuchawkę, kiedy telefon zadzwonił?

Jakby czytając w jej myślach - czy w głowie Louise można się jeszcze doszukać jakichś myśli? - F. Scott uniósł głowę.

- Podniosłem słuchawkę w nadziei, że to ty dzwonisz.

- Hm - Louise usiłowała zachować zimną krew. Zapaliła papierosa. Zaciągnęła się tak mocno, że zaczęło się jej kręcić w głowie. - No i? - spytała, nie wypuszczając dymu z płuc.

- No i mówiła, że jest twoją najserdeczniejszą przyjaciółką, to chyba prawda, co? - upewniał się F. Scott. - Missy szajbuska jest twoją najlepszą przyjaciółką?

Louise wydmuchała dym.

- Dobrze zrozumiałeś - potwierdziła. Chociaż za chwilę będzie może była najlepszą przyjaciółką. - Co jeszcze mówiła? - wypytywała załamującym się głosem.

- Louise, głos ci się łamie - zauważył F. Scott. Louise poczuła, jak się czerwieni, oblewa ją żar.

- Co cię tak wytrąca z równowagi? - spytał, naprawdę wytrącając ją z równowagi. - Moim zdaniem to fajne.

Louise znów się zaciągnęła.

- Co jeszcze mówiła? - powtórzyła.

- Że przyjeżdża do Nowego Jorku. Do Nowego Jorku? Missy?

- Kiedy? - spytała Louise.

- Nie wiem. Przekazała tylko taką wiadomość. Że zamierza przyjechać. Chce się z tobą zobaczyć. Tyle wiem.

Tyle wie. Louise modliła się, żeby to była prawda. Modliła się też o strajk kontrolerów lotów. I o mądrość i radę, jak sobie poradzić, gdy Missy już się zjawi.

- W porządku - powiedziała - wiadomość odebrana. - I dodała: - Ale po co, u diabła, ty do niej dzwoniłeś?

- Zadzwoń, bo mówiła, że jej mąż jest reżyserem filmowym. Wydawało mi się, że to świetny pomysł.

Boże, co za dzieciak. Kimże jest reżyser? Przecież to facet, który robi filmy, cały dzień chodzi po domu w kalesonach i nie zmienia skarpet.

- Tak. Pomysł na co?

- Cóż, nudziłem się - wyjaśnił F. Scott. - Chciałem sobie wypożyczyć jakąś kasetę. No i postanowiłem się dowiedzieć, co ten gość ostatnio zrobił, żeby sobie to wypożyczyć.

Duch bagien 2? Czy Missy opowiedziała mu o Duchu bagien 2? Czy wysłała go po niego do wypożyczalni? Czy może tylko paplała o najnowszym kinowym hicie Marcosa, o budżecie wynoszącym sto milionów dolarów, o śmiertelnym wypadku polinezyjskiego nurka?

- Dobrze - odezwała się Louise. No więc wypożyczył Bitwę o głębinę. Cóż takiego? Z tym można żyć.

- Dobrze - zawtórował F. Scott. - Ale teraz ja mam pytanie.

Louise znowu zaciągnęła się głęboko.

- Wał, F. Scott. O co chodzi?

Nachylił się bliżej. Sięgnął po jej papierosa, zaciągnął się, potem zdusił obcasem niedopałek. Wydmuchał dym, przysunął do niej twarz. Ujął dłonią jej brodę. Ciało Louise zadrżało, zatrzepotało jak motyl. Następne słowa F. Scott wymówił szeptem.

- Czy możesz powiedzieć, że Missy cię rozumie? - spytał.

- Czy Missy zna cię najlepiej, lepiej niż ktokolwiek inny?

O cóż mu chodzi? Louise odsunęła się. Znow sięgnęła po papierosa, ale on nakrył jej rękę swoją. Spojrzała w dół. Postanowiła powiedzieć prawdę.

- Cóż, tak i nie. To znaczy, zna mnie dość dobrze. Tak jak nikt, może poza moją matką, poza Peterem...

- Ciii - powiedział F. Scott. Przyłożył wskazujący palec do jej ust, rozchylił wargi. Błądził palcami po ich konturach, tam gdzie stają się miękkie i wilgotne, gdzie zewnętrzna skóra przechodzi w wewnętrzną, delikatną, gładką jak jedwab tkanę. - O nim nie mówmy. Jesteśmy tylko my. Ten facet już nie istnieje.

Jeśli chodzi o mnie, zgoda, pomyślała Louise.

- Przyjaźnimy się z Missy od niepamiętnych czasów. Takie wyjaśnienie najwyraźniej go zadowoliło.

W milczeniu dopili wodę sodową. Nagle F. Scott, jakby go użądliła osa, poderwał się ze stołka i wybiegł z baru. Po prostu. Stołek obok Louise, który zajmował F. Scott Feinstadt, był pusty, ona została sama wśród chichoczących nastolatek, siorbiących wodę z bąbelkami. Louise, nie bardzo wiedząc, co ma począć, zapłaciła i w ślad za F. Scottem wyszła w mrok z jasno oświetlonego baru. Czekał na nią na chodniku, trochę dalej, w ciemnej bramie.

- Co się stało? - spytała Louise, kiedy ujrzała, jak czai się w ciemności.

- Wybacz - przeprosił F. Scott. - To chyba zazdrość.

- Zazdrość? - zdumiała się Louise. - O kogo?

- O wszystkich, którzy znają cię dłużej ode mnie. O każdego faceta przede mną i tego, który może się jeszcze pojawić. O wszystkich mężczyzn na ziemi, Louise. Boże. Jestem zazdrosny nawet o twoje przyjaciółki. Nie myśl, że masz do czynienia z wariatem, nie, po prostu jestem zazdrosny.

Co on plecie? - pomyślała Louise. Ale jego wyznanie wlało miód w jej serce.

Prawdziwy żółtodziób. Większość mężczyzn, których Louise знаła, gdyby w ogóle zechcieli się nad tym zastanawiać, większość z nich chciała, żeby ich kobieta należała wyłącznie do nich, ale żaden nigdy nie zdobył się na to, żeby przyznać się do tego głośno.

- Wybaczysz mi? - spytał F. Scott.

Jasne, pomyślała Louise. Dlaczego nie? Co prawda, ani rusz nie mogę się w tym połapać, ale co mi pozostaje?

W milczeniu, trzymając się za ręce, powędrowali mrocznymi ulicami śródmieścia. W pewnej chwili F. Scott sięgnął do kieszeni i wyjął skręta. Palili go na spółkę, podsuwając sobie nawzajem. Wreszcie wylądowali w starej włoskiej knajpce w Nolicie. „Marachiarà”. Oprócz kilku zwalistych mafioso przesiadywali tam bankierzy i paru podstarzałych bywalców, facetów w wieku Louise, facetów, z którymi zaledwie tydzień temu rozpaczliwie pragnęłaby umówić się na randkę. Pewnie artyści, graficy komputerowi, mężczyźni na topie, pokazujący się z dziewczynami młodszymi nawet od F. Scotta. Nieletnimi. Ślicznymi panienkami w obcisłych spódniczkach i skąpych sweterkach, spod których wychylał się pepek, z mikroskopijnymi metalowymi kolczykami zalotnie połyskującymi w barowym świetle. Ale F. Scott nie zwracał na to uwagi. Louise przesłaniała mu cały świat.

W barze F. Scott co chwila ujmował dłonią brodę Louise, nie tak jak przedtem, delikatniej, dziwnie, jakby z nabożeństwem. Lub odgarniał z jej twarzy niesforne loczki - mimo prostowania ich pod suszarką włosy Louise wciąż się kręciły. Ale niechby się kręciły, jeśli F. Scott miał ich tak dotykać; gotowa była zaryzykować nawet trwałą, jeśli miałyby tak odgarniać za uszy jej włosy swoimi długimi pięknymi palcami, Scott Feinstadt też miał długie, kształtne palce. A jakie miał Peter Harrington? Jak wyglądały jego dłonie? Louise pamiętała ręce Scotta Feinstadta, szczupłe palce, paznokcie z obwódkami farby: czerwonej i niebieskiej, czarnej i brązowej, mikroskopijne, różowe blizny na nadgarstkach, silne, szerokie dłonie. Zapierało jej dech, kiedy zamykał w nich jej drobne dłonie. Scott Feinstadt obejmował palcami jej szczupłe ramię i dziwił się: „Jak gałązka, mógłbym je złamać”. Pamiętała to wszystko do dzisiaj, odciski, zadarcia naskórka, brązową plamkę na kciuku - niewielki pieprzyk. Ale za nic nie potrafiła sobie przypomnieć, jak wyglądały ręce jej męża. Ani żadnego mężczyzny, z którym obcowwała w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Dłonie F. Scotta Feinstadta były takie same jak dłonie Scotta Feinstadta, tyle że na nadgarstkach miał kilka włosków, parę już siwiejących. Znowu odgarnął jej loczek za ucho. Missy zdechłaby z zazdrości, gdyby to zobaczyła, pomyślała Louise i przez chwilę miała ochotę zadzwonić i powiedzieć, że słodki dzieciak, którego zagadywała przez telefon, właśnie pieści jej najlepszą przyjaciółkę Louise. Tylko po co? Czyż nie potrafi przeżyć kilku miłych chwil nieprzypieczętowanych zazdrością Missy? F. Scott co pewien czas, w toku jej monologu wewnętrznego, spoglądał na nią z uwielbieniem. Z uwielbieniem przypalał jej papierosy, potem ujmował je z jej dłoni i sam się zaciągał. Oparty o bar, wypuszczając dym nosem, przypominał trochę niespełnionego młodego

gwiazdora. Podkoszulek unosił się lekko na nieco zbyt obfitym brzuszku. Jest cudowny. A zachowuje się jak zdobywca, pomyślała Louise. To słowo przyszło jej do głowy, kiedy spojrzała w jego niebieskie oczy. Podbił mnie, sukinsyn. Nie ma co. Najpierw nauczył ją grać w lotki, potem pożyczył od niej pięćdziesiąt centów i wrzucił je do grającej szafy. Sinatra. F. Scott chwycił Louise i okręcił ją.

- To muzyka dla ciebie. Stare, dobre piosenki o miłości.

Kiedy ją postawił, kiedy krew, alkohol i maryśka zaszumiały jej w głowie, spojrzała na niego i powiedziała:

- Chodźmy do domu, kochanie.

Tej nocy w domu Louise nie sięgnęła po dezodorant, gdyż F. Scott zapragnął poczuć zapach jej potu. Powiedział, że chce go posmakować. Letnia noc była parna, gorąca, chociaż lato jeszcze nie nadeszło. Ta noc dowodziła, że kula ziemską ulega ociepleniu. F. Scott otworzył wszystkie okna, jedwabne hinduskie zasłony wydymały się, poruszane przeciągiem. Jednak F. Scott wciąż się wahał. Czyżby się jej bał? Dlaczego? Oboje byli już nadzy.

- Boję się, Louise - powiedział. - Nie chcę się stać następną ofiarą.

- Ofiarą? - zdumiała się Louise.

F. Scott drżał na całym ciele. Louise wyciągnęła rękę, żeby go uspokoić. Ujęła go pod łokieć.

- Tak, twoją ofiarą - wyjaśnił. - Ofiarą miłości. - Po jego policzkach popłynęły łzy, których nie otarł.

Stał przed nią, tak blisko, że czuła jego słodki oddech. Czuła, jak słone są jego łzy. Przytuliła się do niego, przycisnęła usta do jego mokrych policzków, potem odchyliła się i scałowała łzy. Miały smak morskiej wody. Przysunęła się jeszcze bliżej, przycisnęła wargi do wilgotnych rzęs, a kiedy zamrugał i popłynęło więcej łez, rzęsy przypominały skrzydła anioła. Muskała wargami jego szyję, zatrzymała usta przy

pulsującej tętnicy, gdzie czuła bicie jego serca, szybkie, mocne, coraz szybsze. To, co działo się między nimi, było jak z młodzieńczych wyobrażeń, którymi dzieliły się dziewczęta w szkolnej łazience (obskurnej i cuchnącej), jak z książek i filmów (cudownych i romantycznych), jak coś, co zdarzyło się jej już w przeszłości (dzięki czemu czuła się teraz mocniej osadzona w rzeczywistości, a zarazem jakby unosiła się coraz wyżej i wyżej, ku niebu, skąd mogła obserwować specyficzne ruchy dwóch ciał, jej i jego), a równocześnie wszystko między nimi wydawało się nowe i inne, jakby wreszcie udało jej się dotrzeć do zawsze przeczuwanej prawdy. Westchnęła głęboko. F. Scott nachylił się. Przyciągnął ją do siebie pocałunkiem, jakby jego wargi były magnesem, ale jego mocne dłonie musiały objąć ją wpół, gdyż w tej samej chwili ugięły się pod nią nogi, osłabła, widziała własne ciało jak przez drżącą mgiełkę. Przycisnął usta do jej ust, a ona odrzuciła w tył głowę, otworzyła się dla niego, a on otworzył się dla niej, pieściła jego zęby językiem, poruszali się w jednym rytmie. F. Scott jęknął, ugiął kolana i całował odchyloną szyję Louise, przesuwając usta w dół, przez bluzkę, ku szczupłemu brzuchowi. Przyklęknął, niezręcznie zaczął ściągać jej figi, aż się poddała i pomogła mu. Nim się spostrzegła, wylądowali w łóżku.

Kiedyś w młodości Louise przeżyła już taką noc. Duszną, parną, zaprawioną odrobiną niezręczności, wypełnioną rodzącą się dojrzałą miłością. Wymyślna gimnastyka miłosna, jaką wtedy uprawiała, wydawała jej się dziś trochę smutna - smutne wydawały jej się też podobne sztuczki z F. Scottem, w dorosłym już łóżku, ale tamte młodzieńcze były jednak smutniejsze. Nigdy nie zapomni, jaka była szczęśliwa tamtej nocy, kiedy naga, spocona, zmęczona leżała w jego łóżku, z pobliskiego wąwozu wiatr przynosił przez okno wilgotną mgiełkę, która zraszała ich ciała. Dom leżał wysoko, nad

brzegiem wąwozu, jak domek na drzewie, jak stalaktyt, jak część formacji skalnej. To był jej ulubiony dom Ithaki; i nie tylko Ithaki - takiego już nigdy później nie spotkała. Właśnie dlatego, że ten stary rozpadający się dom akademicki był przylepiony do wysokiej skały, że był częścią natury. Później, kiedy on już zasnął, naga Louise usiadła na parapecie i zapaliła papierosa nasączonego aromatem goździka. Oblizwała wargi i poczuła korzenny smak, jego smak, smak niezwykłego hinduskiego dymu, który wypełniał jej płuca i przenosił ją gdzieś daleko, w tajemniczą dorosłość, więc paliła i patrzyła na wodospad w dole, aż w końcu on otworzył oczy i powiedział: „Jesteś piękna, Louise”. Jego głos brzmiał szczerze i uczciwie, jak nigdy dotąd żaden skierowany do niej głos. A potem dodał równie szczerze i uczciwie: „Jesteś najpiękniejszą kobietą na świecie, nie będąc gwiazdą filmową”.

I nagle to stało się prawdą, była piękna, Louise była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał, piękną po ludzku, która zakosztowała już życia, przez co, zdawało się, jeszcze bardziej pociągała młodego mężczyznę, chłopca, który muskał językiem jej pieprzyki, znacząc ścieżkę między nimi, który delikatnie całował bliznę na jej nadgarstku, pozostałość po próbie samobójstwa, kiedy rodzice się rozwiedli; młody mężczyzna uważał, że jest najcudowniejsza pod słońcem, więc naprawdę była. Piękna Louise siedziała, paląc, na parapecie, małe wysoko sklepione piersi, długie kręcone włosy między udami - tak długie, że F. Scott musiał rozgarniać je czułymi, wspaniałymi palcami, tak długie, że w dawnych czasach Scott Feinstadt groził, że zaplecie je w warkoczyki - długie włoski wciąż wilgotne, zwijające się między udami. Louise była piękna, była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał - tak powiedział! - mimo że do tej chwili nie myślała o sobie jeszcze jak o dojrzałej kobiecie, mimo że nim słowa te padły z

jego ust, uważała się za małą dziewczynkę. Spojrzała na niego, na Scotta, nie, nie na Scotta, Scott umarł na długo przedtem, nim ona pojawiła się w Ithace; tamtej nocy patrzyła więc zapewne na Petera Harringtona, to Peter Harrington nawiedzał jej wspomnienia; kiedy czuła się taka piękna, pomyślała, że nikt nigdy nie będzie kochał jej tak jak on, a teraz, w łóżku z F. Scottem Feinstadtem, pomyślała, że to była prawda. Oni, jej mężczyźni, kochali ją na różne sposoby, ale nikt nigdy nie kochał jej tak, że budziło to w niej grozę, nikt nie przesuwiał tak dłoni po jej plecach, z zachwytem sprawdzając szerokość jej bioder, szczupłość talii, nikt tak nie pożerał wzrokiem jej piersi, a zasypiając, nie tulił ich w dłoniach.

Nikt nigdy nie był tak nienasycony że brał ją raz po raz, aż była dla niego nieustannie otwarta. Nie, nikt nigdy nie kochał jej tak, jakby urodził się tylko po to, by ją kochać. Och, Boże, Peter! - pomyślała. Och, Scott. Och, F. Scott, albo mnie uratujesz, albo zgubisz mnie na zawsze. W jego objęciach doznała spełnienia.

Rano, kiedy Louise się obudziła, F. Scotta nie było. Odwróciła się na łóżku, aby się do niego przytulić, i niespodziewanie okazało się, że jest sama, skulona w pogniecionej pościeli. Odczekała chwilę, wzięła prysznic, zaparzyła sobie kawę, zrezygnowała ze śniadania, cały czas spodziewając się, że się pojawi, zabierze ją na miasto; wspaniała para z wilgotnymi jeszcze włosami zasiadająca w przytulnym kąciku jakiegoś lokalu. Spędziła prawie godzinę, z napięciem nasłuchując skrzypienia otwierających się drzwi, żywiąc nadzieję w beznadziei, że F. Scott przyjdzie z torbą obwarzanków i z „New York Timesem” wysuwającym się spod pachy. Ale to byłby nadmiar szczęścia. Odszedł. Tym razem nie zostawiwszy żadnego liściku ani kota. Zniknął. Po tej nocy trudno było w to uwierzyć. Ale właściwie dlaczego?

Przecież Louise nie urodziła się wczoraj. Już przydarzyło się jej coś podobnego, już spędzała upojną noc z pewnym chłopakiem - chłopakiem, którego zachowanie przekonałoby każdą normalną kobietę, że zostanie on jej następnym kochankiem - a rano zbudziła się samotnie, czując się wykorzystana, wyciśnięta jak cytryna i oszukana. Wróciłaś do punktu wyjścia, Louise. Mogła się tego spodziewać. Scott Feinstadt. F. Scott Feinstadt. Obaj jednakowe gnojki. Miała ochotę dać sobie kopniaka. Co za pożytek z całego doświadczenia, skoro nie potrafi wyciągnąć z niego wniosków?

Podniosła słuchawkę, chcąc zadzwonić do Missy. Zachował się skandalicznie. Louise zapragnęła porozmawiać z kimś o tym. Co ważniejsze, pragnęła dowiedzieć się, co zaiskrzyło między nimi podczas telefonicznej rozmowy. Ale u Missy nikt nie odbierał, wreszcie usłyszała rozkoszne szczebiotanie bliźniaków. Pewnie dla Missy pora była za wczesna, może załatwiła dzieciakom jakąś nową formę opieki. Louise już miała się rozłączyć, kiedy odezwała się niania.

- Halo. Dzień dobry.

- Dzień dobry, Mercedes. Mam nadzieję, że cię nie obudziłam.

- Bliźniaki nie śpią już od piątej - westchnęła Mercedes. - Ręce mi opadają.

Rzeczywiście.

- Jest Missy? - spytała Louise.

- Missy wyjechała na weekend - odparła Mercedes. Gdzieś w tle zaczęło się wydzierać któreś z bliźniaków. Mercedes uspokoiła je po hiszpańsku.

- Wyjechała? Gdzie?

- Do Cannes - wyjaśniła Missy. - Tam gdzie Marcos.

- Czy mogłabym zostawić dla niej wiadomość? Żeby skontaktowała się ze mną zaraz po powrocie do domu? Nie,

chwileczkę. Przekaż jej, żeby zadzwoniła do mnie zaraz, jak tylko do ciebie zadzwoni. Mercedes, przekaż jej, że to pilne, proszę.

- Tak, tak, nie - powiedziała Mercedes.

Louise nie wiedziała, czy mówi do niej, czy do kapryszącego dzieciaka.

- Mercedes? - zawołała Louise, ale niania już się rozłączyła.

Missy wyjechała do Cannes. Świetnie. Z innego kontynentu Missy nie może spieprzyć życia Louise. A Louise nie pogłębi utraty szacunku dla siebie, skamłając w telefon. Skarżyć się Missy na jakiegoś faceta - to ostatnia rzecz, jaka była jej w tej chwili potrzebna. Niestety, nie miała pojęcia, co jeszcze mogłaby zrobić z cennym czasem. Rzecz jasna, była praca. Ale przecież teraz rządziła sama sobą, mogła zdecydować, kiedy się przyłożyć, a kiedy zrobić sobie chwilę wytchnienia, dzień wolny. Była panią własnego świata. No i był niedzielny poranek. Niedzielny poranek. Nikt nie pracuje. Mogłaby wybrać się na zakupy. Pójść do kina na poranny seans. Obejrzeć jakieś nowe galerie sztuki w Chelsea. Ubrała się elegancko. Potrafi świetnie wyglądać. Niepotrzebny jej mąż, przyjaciółka od serca, niepotrzebny kochanek. Może sama jadać na wytwornej porcelanie. Zafundować sobie samej wykwinłą kolację.

Wyszczotkowała włosy, spakowała torbę na ramię, zostawiła na automatycznej sekretarce nową informację: „Jeśli to Missy, jestem w Larchmont, jeśli ktoś inny, proszę zostawić wiadomość...” - i najbliższym pociągiem pojechała do domu.

Kiedy Louise weszła, w kuchni nie było nikogo.

- Mamo! - zawołała. - Przyjechałam.

Ale mama Silverstein jej nie powitała. Louise przeszła do jadalni, zajrzała do małego pokoiku, który niegdyś służył ojcu za gabinet, a teraz był czymś w rodzaju graciarni, do salonu,

gdzie nikt nigdy nie bawił, odkąd pamiętała; salon był zastrzeżony dla gości.

Tylko że u nich nie bywali goście.

Liga Wyborcza Kobiet, przychodzą panie z Ligi Wyborczej Kobiet.

Co to za towarzystwo, mamó, prychnęła zjadliwie Louise. Grupka pełnych dobrej woli, przemądrzałych, niespełnionych rozwódek.

Kogo jeszcze mogłabym zaprosić?

Louise zastanowiła się nad tym dłuższą chwilę. No tak, nikogo! Nikogo na całym świecie, dostawca wody sodowej byłby lepszy od Ligi Wyborczej Kobiet!

Salon, z kiepskimi dziełami sztuki - dwa obrazy namalowane przez kumpelkę mamy w okresie „buntu”, jakieś wyroby ludowe, parę oprawionych reprodukcji z Metropolitan Museum of Art, rodzinny portret pędzla Sammy'ego, na pierwszym planie mama, tato i Sammy, Louise celowo z boku. Taki naturalny i pełen ekspresji! - zachwycała się mama; salon z żółtymi dywanami, z masywną, półkolistą, zieloną rozkładaną sofą, panoszącą się pośrodku pokoju niczym martwy wąż. Salon okazał się równie wymarły jak zawsze.

- Mamo! - wołała Louise.

Gdzie ona się podziała? Louise nigdy nie przeszłoby przez myśl, że może przyjechać do domu i nie zastać mamy Silverstein, która witałaby ją z otwartymi ramionami.

Zaczęła ją ogarniać panika.

- Mamo, mamó! - krzyknęła. - Mamusiu, gdzie jesteś?

Popędziła schodami na piętro, potykając się o chodnik w orientalne wzory, który powinien być jakoś lepiej przymocowany - mama mogłaby się przewrócić i złamać kark.

- Mamo!

Najpierw energicznie otworzyła drzwi swojej dawnej sypialni, mamy nie było, potem drzwi łazienki w korytarzu,

też nie. Serce ścisnął jej strach - dlaczego mama się nie odzywa? - Louise zobaczyła, że drzwi do sypialni mamy są uchylone, wsunęła przez nie głowę, wciąż wołając: - Mamo, mamo! - i zaczęła podchodzić bliżej.

Mama leżała w łóżku. Stara i siwa. Dziwnie mała w tej chwili, zwinięta na podartej i wygniecionej narzucie jak ptaszek, jak tłuściutkie pisklę, które wypadło z gniazda. Ogłuszone i przerażone. Zatrzepotała powiekami. Gdzie jestem? - pytała wzrokiem. Co to za świat? Jak ja tutaj przeżyję? Louise nigdy dotąd nie widziała takiego wyrazu na twarzy mamy.

- Louise? - przemówiła mama. Jakby nie była do końca pewna, kim jest Louise. I teraz jej twarz, stara, znajoma twarz mamy, zaczęła nabierać normalnych rysów. - Zdrzemnęłam się trochę.

Drzemka w środku dnia. Coś podobnego, mama odpoczywająca.

- Och, mamo - westchnęła Louise, kamień spadł jej z serca.

- Co się stało, kochanie? - spytała mama.

- Och, sama nie wiem. Może wszystko? Peter, mamo. Peter i nowy facet, którego poznałam.

Mama rozwarła ramiona. A dorosła córka wdrapała się na łóżko i pozwoliła, aby jej nagle postarzała matka otoczyła ją nimi.

- Peter ma nową dziewczynę - powiedziała Louise.

- Cieszę się, że przyjechałaś.

Louise także się cieszyła, że jest w domu, leży na starym małżeńskim łóżu rodziców z mamą.

Złośliwą, wiercącą dziurę w brzuchu, wiecznie wszystko komentującą matką.

Louise ją kochała.

- Ma nową dziewczynę, mamó - powtórzyła Louise. Tym razem głos jej zadrżał. - Dasz wiare?

Mama pogłaskała ją po głowie. I teraz Louise poczuła, jak ptasia i krucha jest jej dłoń.

- Czemu nie, kochanie? Mogę w to uwierzyć - odparła mama. I dodała, jakby do siebie: - Dobrze, że młodość mam już za sobą. Cieszę się, że nigdy już nie będę młoda.

Louise prawie całe popołudnie i wieczór przegadała z mamą. Nie o Peterze, nie o tym, jak on się tam zwał. Rozmawiały o domu, o Hillary Clinton, trochę o Sammym, o mamie i o czasach, kiedy mama była panienką. Po kilku chwilach, spędzonych czule w jej ramionach, Louise uznała, że mamie należy się jeszcze odrobina wytchnienia, więc wstała. Przecież wystarczało jej, że mama jest w pobliżu, są razem, co spowoduje, że mama przestanie ciosać Louise kołki na głowie. Ale, prawdę powiedziawszy, w tej chwili, po raz pierwszy, mama wcale nie gderwała, nie wtykała nosa w nie swoje sprawy. W rzeczywistości mama wolałaby o wszystkim nie wiedzieć. Może mama ma własne kłopoty i dosyć wszystkiego. Zatem Louise oszczędziła jej swoich. Zamówiły jedzenie u Chińczyka, Louise pojechała do restauracji, by je odebrać. Potem mama się położyła, Louise zaś pozmywała naczynia, przy czym wrzuciła plastikową chińską pałeczkę do pojemnika zmywarki, a potem omal na dobre nie skręciła sobie karku, starając się ją wydobyć. Na dobre? Z kretesem, mamó... Tak więc przestała sama na siebie wyrzekać, kiedy bowiem mama się obudzi i odzyska formę, zrobi to osobiście.

Rano Louise nie zadzwoniła do pracy - sama jestem sobie panią - upomniała się, mam samodzielne stanowisko p.o. pełnomocnika do spraw rekrutacji. Obie z matką wybrały się na zakupy do Loehmanna. Na wyprzedaży znalazły oryginalne stroje od sławnych projektantów mody, metki były poprzecinane, lecz wciąż dało się odcyfrować fragmenty

markowych napisów: Ca...lein, ...ada, Ral...uren, a mama wykazała prawdziwie detektywistyczny węch. Przerzucała właśnie stos szaroniebieskich bezrękawników z myślą o Louise, kiedy nagle wypłynął temat Feinstadtów. Mama powiedziała:

- Któregoś dnia spotkałam w Cheese Bazaar Fran Horowitz i spytałam, co słysząc u Feinstadtów. - Mama nie odrywała wzroku od wieszaków. Umilkła jednak na chwilę, czekając, aż Louise okaże zainteresowanie. Louise uznała, że się dostosuje.

- Nie prosiłam, żebyś się dowiadywała, mammo, ja tylko... ja... - urwała, żeby zaczerpnąć tchu. - I co?

- I - odezwała się mama - okazało się, że jakieś pół roku temu rabbi dał nogę. Rzucił swoją gminę, wyjął z banku całą gotówkę, kupił sobie jacht i ulotnił się, nim Rachel zdołała się zorientować, co się święci. Któregoś ranka obudziła się i okazało się, że została bez męża, bez grosza i bez widoków na przyszłość. Teraz mieszka w domu opieki w Gainesville. Jej pobyt opłaca zięć. A rabbi, ten wariat, żegluje sobie po Karaibach, przynajmniej tak sądzi Fran. Czasem kontaktuje się z dziewczętami, dasz wiarę? Czasem prosi o pieniądze, ale dziewczęta niewiele mówią matce, nie chcą wchodzić między nich.

Mama przeszła teraz od kolorów niebieskich do oliwkowych. Nie wydawała się zmęczona. Po takim potoku słów Louise byłaby kompletnie wyczerpana, prawdę mówiąc, już i tak ciężko oddychała - stara znajoma hiperwentylacja - a mama nawet się nie spociała. Louise podążała za nią od jednego stojaka do drugiego.

- Chyba żartujesz, mammo. Biedna pani Feinstadt. To okropne. Przecież on jest rabinem. A rabbi nie powinien robić czegoś takiego.

- Cóż z tego? - zdziwiła się mama. - Rabin też jest mężczyzną.

Louise przypomniała sobie ojca Scotta Feinstadta. Jak na rabina był wyjątkowo wolnego ducha, na tyle, na ile mógł sobie pozwolić rabin w średnim wieku z gminy w Larchmont. Pamiętała, że pozwolił Scottowi korzystać z synagogi jako pracowni. Pamiętała, jak siedział na pogrzebie Scotta, a łza skapywała mu z czubka nosa. Jak musiała się powstrzymać siłą woli, żeby nie wyciągnąć własnej chusteczki higienicznej i nie wytrzeć jej.

- Najwidoczniej popadł w jakiś kryzys psychiczny - odezwała się mama; nie potrafiła długo milczeć.

- I nie było żadnych sygnałów? - zdumiała się Louise.

- Sygnałów? W takiej sytuacji dopiero po fakcie okazuje się, że były jakieś sygnały ostrzegawcze. - Zdjęła z wieszaka garsonkę i przyłożyła ją do Louise. Był to manewr obliczony na to, by zaskoczyć Louise i przytrzymać ją wzrokiem. Udało się. - Mam rację, kochanie? Kiedy rozpada się małżeństwo, dopiero po fakcie widać, że dawno wszystko było jasne jak na dłoni. Prawda?

Louise kiwnęła głową. Mama odwiesiła garsonkę.

- Chyba pogrubiałaby ci uda - stwierdziła. Odwróciła się znowu do wieszaka. - Zdaniem Fran i tego psychiatry, którego radziła się Rachel, to przypadek stresu posttraumatycznego. Rabbi musiał w końcu jakoś odreagować śmierć syna. Podobno może się to przytrafić każdemu, kto w odpowiednim czasie nie potrafił sobie poradzić z żałobą. Ponoć kilka tygodni przed ucieczką rabbi powiedział Annie, że widział w synagodze Scotta, rozglądał się po swojej dawnej pracowni. Wstał z martwych. Dziewiętnasto - czy dwudziestolatek, ile tam ten biedny dzieciak sobie liczył. Powrócił jako student szkoły rabinicznej. Ten szalony chłopak. I Annie nie przyszło do głowy, że ojciec potrzebuje pomocy...? Scott miał brodę. I

pejsy, opowiadał rabbi. Mówił, że nazywa się Simcha, wyobraź sobie. A ta idiotka, Annie, nic nikomu nie powiedziała. - Mama przyłożyła do Louise kolejną garsonkę i westchnęła. - Przecież to było jasne jak słońce, jakby Irv Feinstadt ogłaszał w gazecie: „Mam zaburzenia psychiczne”.

- Co ty opowiadasz? Scott się ukazał? - Serce Louise biło jak oszalałe.

- Posłuchaj, rabbi zobaczył jakiegoś snującego się po okolicy dzieciaka. Najwidoczniej już był stuknięty, i to wszystko.

- Stuknięty?

- Oczywiście - stwierdziła mama. - Ucieczka w chorobę... to najlepsza ucieczka od narastających problemów, Louise. Rozumiesz, o czym mówię?

Louise kiwnęła głową, chociaż wcale nie była pewna, czy rozumie.

- Tego właśnie szukałaś? - Mama podsunęła Louise kolejną garsonkę.

Louise znowu kiwnęła głową. Garsonka pasowała idealnie.

- Założę się, że spodoba się temu twojemu nowemu chłopaczkowi, skarbie.

- Nie ma żadnego nowego chłopaczka - zaprzeczyła Louise, i była to prawda. To był chłopak z odzysku. Ale ani on, ani jego poprzednik nie pofatygowali się, żeby zadzwonić. Sprawdziła automatyczną sekretarkę, mamie powiedziała, że idzie do toalety.

- Ten dawny też byłby zachwycony - skwitowała mama.

Gdy wróciły od Loehmanna, Louise pomogła mamie wnieść zamówione bratki i niecierpki, a potem zostawiła ją w ogródku, sama rzekomo udając się znowu do toalety. Kiedy była już sama w matczynej kuchni, korzystając ze swojej karty, zadzwoniła do informacji, a potem zamówiła

międzymiastową. Dzwoniła do F. Scotta Feinstadta, do domu jego matki na Long Island, z domu własnej matki w Larchmont, nie spuszczać oka z kuchennego okna, za którym widziała mamę krzątającą się w ogródku. Telefon zadzwonił trzy razy, w słuchawce odezwał się kobiecy głos.

- Czy pani Feinstadt? - spytała Louise cichym głosem.

- Halo? Halo? - zawołała kobieta. - Proszę mówić głośniej, nic nie słyszę.

- Szukam F. Scotta Feinstadta - powiedziała Louise głośnym szeptem.

- Jest u Ricky'ego - odparła pani Feinstadt.

U Ricky'ego. To tak. Matce mówił, że idzie do Ricky'ego, zawsze kiedy umawiał się z jakąś panienką? Po chwili pani Feinstadt dodała:

- Kto mówi, jeśli mogę spytać?

- Czy ma pani telefon Ricky'ego?

- To gdzieś w centrum - wyjaśniła pani Feinstadt i potem, już bardziej stanowczym tonem, dowiadywała się: - Co mam mu powiedzieć? Kto mówi?

- Louise? - zawołała mama z ogródka.

- Louise - szepnęła Louise w słuchawkę.

- Louise? - zdziwiła się pani Feinstadt.

Louise, ogarnięta paniką, nie odpowiadając, rozłączyła się.

Drżały jej ręce. Nie pierwszy raz rozłączyła się, nie odpowiadając matce. Kiedyś dzwoniła trzy, cztery razy dziennie do domu Scotta Feinstadta, w nadziei, że on osobiście odbierze telefon, ale on był wtedy zbyt flegmatyczny, żeby spieszyć do telefonu, więc nieuchronnie słuchawkę podnosiła pani Feinstadt, a Louise się rozłączała.

- Już idę, mamó! - zawołała. I błyskawicznie wykręciła numer informacji. - Margarita Cipriani - powiedziała cicho. Ale w spisie abonentów nie było takiej osoby.

- Louise! - wołała mama. - Zemdlałaś tam?

Na te słowa Louise odłożyła słuchawkę i potykając się, wyszła do ogródka. Kiedy pomagała mamie sadzić kwiatki, sprzeczały się trochę o przyszłość opieki zdrowotnej i społecznej. Mama znów była sobą, dawnym „wulkanem w kombinezonie”; tyle że trochę drobniejsza - osteoporoza - i mniej wulkaniczna. Przysiadła co chwila, żeby odpocząć - nadeszła fala upałów, tak mówili w prognozie pogody, a wilgotność powietrza okazała się jeszcze gorsza - żyły na dłoniach i ramionach mamy przypominały sine robaki, które jakby wiły się, gdy kopała w ziemi. Louise po trosze chciała się jej zwierzyć ze wszystkiego, opowiedzieć o swoich telefonach, o Scotcie, F. Scotcie, o maniacu seksualnym Peterze, a po trosze wołałaby nie podawać mamie amunicji. Mama uważała, że rabbi postradał zmysły, co pomyślałaby więc o własnej córce? Czy F. Scott, nim ruszył na północ, aby prześladować Louise, najpierw był na Florydzie, a może krążył po świecie jak postacie z filmów o duchach? Czy rabin Feinstadt i Louise cierpieli na te same zaburzenia psychiczne? Czy mama umarłaby, gdyby się dowiedziała, że jej córka jest kompletnie stuknięta? Nie. Louise nie była kompletnie stuknięta. F. Scott Feinstadt nie miał pejsów. Ale może w Louise i w rabbim przeszłość pozostawiła inne piętno - każdemu zjawiał się taki, jakiego które chciało zobaczyć.

Louise powściągnęła potrzebę zwierzeń - trzymała buzię na kłódkę. Pod koniec dnia zaprowadziła mamę na piętro. Kiedy czekała, aż mama wyjdzie spod prysznic, wydawało się jej, że słyszy domofon, lecz nim zbiegła na dół, aby otworzyć drzwi, mama wyszła z łazienki w starej flanelowej koszuli nocnej. Drobna jak dziecko. Louise po raz setny pokazała jej, jak obsługuje się pilota od telewizora, a potem zapakowała ją do łóżka. Później przepakowała torbę, wyjęła kamizelkę i zeszła na dół.

W kuchni siedział Sammy, braciszek. Opychał się właśnie kupnym ciastem. Prosto z celofanowej tacki. Placek z jagodami. Oczywiście, Louise знаła upodobania Sammy'ego, a placek z jagodami zawsze był jego ulubionym przysmakiem - cóż więc innego mogłaby kupić mama Silverstein?

Przecież nie ulubiony przysmak Louise.

Nie wiedziałam, że przyjedziesz.

A wiedziałaś, że Sammy przyjedzie? Nigdy się przecież nie zapowiada.

Nie musi. To jego dom rodzinny. Sammy wpada tu, żeby zobaczyć się z matką. Zawsze trzymam dla niego jakiś przysmak pod ręką, w pojemniku na chleb.

Cóż, na wszelki wypadek mogłabyś też kupić mój ulubiony przysmak i trzymać go pod ręką, w pojemniku na chleb, pomyślała Louise. Powinnaś to zrobić, bo chcesz zatrzymać mnie przy sobie. Chcesz, żebym tu wróciła.

Nie jadasz ciasta, Louise.

Zapędziła ją w kozi róg.

Przynajmniej na oczach innych.

Dziękuję, mamó.

- Jak się masz, Louise - odezwał się Sammy.

Mimo że nie podnosił głowy znad placka, w jego głosie brzmiała jowialność maklera z Wall Street, tak samo mógłby zagadnąć kogoś z tłumu na Times Square, spieszącego do kolejki. Z pogodną nonszalancją. Co odpowiadało rzeczywistości, gdyż Sammy był naprawdę maklerem z Wall Street. Z tego, co Louise o nim wiedziała. Facet od interesów, jej braciszek. Nieźle zarabiał, ale nie wkładał w pracę serca. Louise niemal oczekiwała, że zaraz poklepie ją po ramieniu.

Tylko największym wysiłkiem woli opanowała się i zachowała zimną krew.

- Cześć, Sammy. Świetnie. A ty?

- Wyśmienicie - odparł Sammy, nie odrywając się od jedzenia. Czytał „Wall Street Journal”, „Sports Illustrated” i „New York Magazine” - wszystko naraz. Sammy zawsze tak czytał gazety, tak samo oglądał telewizję - skacząc po kanałach.

Biedny dzieciak, cierpi na zespół niedoboru koncentracji. Dlatego zaczął brać narkotyki, chciał sobie pomóc.

Miał sympatyczną twarz, jak na ćpuna, jak na zdrajcę, krótko ostrzyżony, w okularach od Armaniego, o prostokątnych oprawkach, podobne mógł nosić ich ojciec w latach pięćdziesiątych, w nieskazitelnie białym T - shircie - jakim cudem jego koszulki są tak białe? Pewnie używa wybielacza. Nie, mamó, wkłada je tylko raz, a potem wyrzuca. Nie, oddaje do pralni chemicznej. Są zbyt nieskazitelne, mamó, oślepiająco białe. A w Chinach ludzie głodują. Ale on je wyrzuca. Nie Sammy, Sammy oddaje na cele dobroczynne więcej pieniędzy, niż ty i ja zarabiamy w ciągu całego roku - z silnie zarysowaną szczęką, wielkimi piwnymi oczyma o długich, podwijających się rzęsach. Był takim ślicznym bobasem! Wyglądał na tego, kim był, bogatego faceta, który wziął wolne w pracy i siedzi u mamy w kuchni. Wyglądał jak ktoś obcy, jak facet, który dwadzieścia lat temu nosiłby różowy sygnet, a teraz, na przełomie tysiącleci, zaopatruje się u Gucciego. Wyglądał jak ktoś, kogo Louise nigdy przedtem nie widziała.

Ściągnęła sweter, przysunęła krzesło bliżej Sammy'ego i usiadła przy stole. Siadywali tak wielokrotnie w domu rodziców. Razem jedli śniadanie, pudełko z płatkami kukurydzianymi odgradzało ich jak mur, szczęśliwi, że nie muszą na siebie patrzeć. Po szkole razem wrzucali coś na ząb, Louise kroїła swoje ulubione owoce na coraz cieńsze kawałki, żeby starczyło na dłużej, Sammy zajadał się batonikami Nestle's Thousand Dollar i kanapkami z masłem orzechowym.

Często spotykali się, kiedy buszowali po spiżarni w poszukiwaniu resztek po Świącie Dziękczynienia albo zakradali się do szafki z alkoholami, a w latach szkolnych palili w otwartym oknie na spółkę skręta, kod DNA łączył ich ze sobą nierozdzielnie, genetycznie, choćby nie wiem jak oboje pragnęli go wymazać. Nieskończenie wiele razy Louise i jej mały braciszek siedzieli tak przy tym samym stole, ale przecież nigdy ze sobą nie rozmawiali. Louise z Sammym. Zawsze milczeli na najrozmaitsze sposoby, jedyną odmianę stanowiły pytania o zdrowie, szkołę i pieniądze, kilka chrząknięć na temat starzejących się rodziców, a potem znów milczenie.

Ale nie dzisiaj. Jeśli to zależało od Louise. Dzisiaj będzie inaczej. Louise się zmienia. Musi. Cóż to za tragedia dorastać, dorośli są wyższymi, twardszymi, bardziej pomarszczonymi dziećmiakami.

- Jak mogłeś? - zawołała Louise lekko drżącym głosem. I dodała: - Jesteś moim bratem, Sammy.

- Co? - zdziwił się Sammy, przełykając ostatni kęs.

- Mój brat, mój brat - powtarzała Louise, a brzmiało to jak jakieś zaklęcie.

- Wiem, że jestem twoim bratem - powiedział Sammy. Ale czy on zdaje sobie sprawę, co to znaczy być czyimś bratem? - Ale co mogłem?

Louise dopiero po chwili zdołała odpowiedzieć. Chwilę musiała się opanować, uspokoić mocno bijące serce.

- Peter - odparła, kilka łez popłynęło po jej twarzy. Otarła je palcami.

- Zamierzasz beczeć? - I zaraz już łagodniej: - Nie płacz. Nie jest tak źle, on sobie teraz lepiej radzi. Ten biedak naprawdę wychodzi na prostą...

- Powinieneś mi o tym wcześniej powiedzieć.

- Prosił mnie, żebym tego nie robił. Daj spokój, Louise, nie miałem prawa.

Nawet Sammy, gdy to mówił, spokojnie i bez zacierzewienia, miał w sobie jakąś godność. W przeciwieństwie do Louise. Godność nigdy nie była jej mocną stroną. Nie wykazała się godnością potem, gdy Scott Feinstadt ją porzucił, nawet gdy już wiedziała, że spotyka się z Missy, jej najlepszą przyjaciółką. Tarzasz się w błocie, kochanie. To prawda, nagrała wszystkie ich piosenki i wsunęła mu je do magnetofonu, który trzymał na przednim siedzeniu w swoim czerwonym furgonie, gdyż nie mógł sobie pozwolić na samochodowe stereo, w nadziei, że będą mu ją przypominać. Pisywała do niego listy, niektóre wysłała, pamięta, jak wykaligrafowała atramentem na papierze ryżowym erotyczne haiku: „Słodki sok truskawki...” Boże, jak teraz bołą te wspomnienia. Gdyby miała pod ręką prześcieradło, tutaj, w matczynej kuchni, nakryłaby się nim z głową. Nie. Godność. Sprawę godności ma już za sobą. Teraz jest mądrzejsza. Poradzi sobie ze wszystkim. Nawet Sammy ma godność. Nienawidziła go.

- W porządku - odezwała się. - Szanuję to. Naprawdę. Prosił cię, żebyś milczał, więc milczałeś. Ale nie dałeś mi nawet najmniejszego sygnału... Jestem twoją siostrą. Co za głupota. - Louise podniosła głos, zaczęła nabierać rozpędu.

- To żadna głupota, Louise. Możemy zarobić kupę forsy. A forsa to niegłupia rzecz. - Sammy wstał i chciał wyjść.

- Forsa? Forsa? Kogo obchodzi ta cholerna forsa!

- Mnie - odparł Sammy. - I mnóstwo innych osób.

- Nie mówię o pieniądzach, Sammy. Choć oczywiście powinnam, bo chcesz obedrzeć Petera ze skóry...

- Obedrzeć go ze skóry? Ja chcę, by zrobił majątek!

- Ale ja nie o tym mówię, dupku. Czy mnie wreszcie wysłuchasz? Mówię o czym innym... rozumiesz. O tym wszystkim.

Sammy spojrzał na siostrę. Potem na stół. I znowu na Louise.

- Już ci to wyjaśniłem. Peter powiedział mi to w zaufaniu. Nie moja sprawa opowiadać ci o czymś, o czym sama powinnaś wiedzieć.

W oczach Louise zakręciły się palące łzy. Drżała. Spojrzała na Sammy'ego, a on na nią.

- Wybacz, sądzę jednak, że powinieneś.

- Może byś wreszcie dorosła, co? - zdenerwował się Sammy. Wstał i ruszył ku drzwiom.

- Sammy! - zawołała za nim. - Może przynajmniej pożegnasz się z mamą?

- Przecież śpi, prawda? Wpadłem tylko, żeby zjeść coś słodkiego.

Stanął przed kuchennymi drzwiami, położył rękę na gałce.

- A, byłbym zapomniał, kiedy byłaś na górze z mamą, dzwonił Marcos.

- Marcos?

- Tak, Marcos.

- Dlaczego Marcos tu do mnie telefonował? - zdziwiła się Louise. Czego chciał?

- Szukał Missy. Najwyraźniej uważał, że przyjechała do ciebie. Albo coś w tym rodzaju, połączenie było fatalne. Chyba mówił, że jest w Cannes. Czy odbywa się tam festiwal filmów o nadmuchanym budżecie?

Sammy roześmiał się z własnego dowcipu - nienawidził Hollywoodu, jego bonzowie zbijają majątek, chadzając na lunche - przekręcił gałkę i otworzył drzwi.

- Dlaczego Marcos uważał, że Missy jest u mnie?

- A skądże miałbym to wiedzieć, Louise? Sama musisz sobie wykombinować.

I wyszedł z domu, zarazem z jej życia.

- Sammy, ty sukinsynu...

Louise usłyszała trzaśnięcie drzwiami. Marcos myślał, że Missy jest u niej. W Nowym Jorku? Pewnie tak, bo Missy nienawidziła Larchmont. Louise zostawiła na automatycznej sekretarce wiadomość. Sammy powiedział, że to nie jego sprawa... że sama powinna wiedzieć. Więc dlaczego nie wiedziała? Dlaczego nie wiedziała, że jej własny mąż...? Czy ktokolwiek w ogóle wie cokolwiek o drugim człowieku? Marcos myślał, że Missy bawi w Nowym Jorku. Sammy kazał jej sobie wykombinować.

Po raz pierwszy w życiu Louise postanowiła posłuchać Sammy'ego.

F. Scott. F. Scott i Missy rozmawiali przez telefon. Marcos myślał, że Missy jest u niej. F. Scott mówił, że Missy wybiera się do Nowego Jorku.

Tym razem Louise uda się wykombinować. Ależ tak. Wszystko jasne. Skoro F. Scott zniknął, to pewnie Missy go dopadła.

Louise biegiem pokonała drogę na dworzec. Do najbliższego pociągu wpadła tuż przed zamknięciem drzwi. Kiedy dojechała do Grand Central Station, popędziła do budki telefonicznej, przeskakując nad śpiącym ćpunem, i wykręciła numer własnego telefonu, by sprawdzić, czy nie nagrała się Missy, czy nie zadzwonili Peter albo F. Scott, ale nie było żadnej wiadomości. Odgarnęła włosy z czoła. Było późno, ona była zmęczona, spocona, ale wcale nie uśmiechał się jej powrót do domu. Mogłaby jeszcze raz zadzwonić do Kalifornii, ale co nowego dowiedziałyby się od Mercedes? Mogłaby odszukać Marcosa w Cannes, ale to wyglądałoby jak jakaś propozycja, zwłaszcza kiedy ten biedak marnował forszę,

usiłując odnaleźć niewierną żonę nawet w Larchmont. Postanowiła obdzwonić wszystkie hotele w okolicy, w której Missy i Marcos lubili się zatrzymywać, w nadziei, że ją tam odnajdzie. „Four Seasons”, „Mark”, „Carlyle”, gdzie, jak się okazało, Missy zameldowała się pod własnym nazwiskiem. Spokojnie, tylko spokojnie.

Z sercem dudniącym jak młot, ze spoconymi dłońmi, Louise połączyła się z operatorem.

Telefon odebrano po drugim dzwonku.

Missy.

Suka.

- Cześć, Missy - odezwała się Louise. - To ja.

Po drugiej stronie słuchawki zapanowała cisza. Missy odpowiedziała dopiero po dłuższej chwili.

- Jakim cudem mnie znalazłaś?

- Marcos zadzwonił do mnie, kiedy byłam u mamy. Szukał cię.

- Chyba nie powiedziałaś mu, gdzie jestem?

- Wtedy nie wiedziałam, gdzie się podziewasz, Missy. Masz szczęście, to nie ja z nim rozmawiałam. Telefon odebrał Sammy.

- Sammy - powtórzyła Missy. - Muszę zadzwonić do tego skunksa. Doradza mi w pewnych sprawach finansowych. Nie pamiętam, czy ci mówiłam?

Nie.

- Zainwestuj wszystko, co masz - powiedziała Louise. - Nawet oszczędności na naukę dzieci. Cokolwiek ci mówi, to pewna sprawa, pewny interes. - Louise odegrała się. - Oto moja rada, Missy. Szczera.

Missy westchnęła głośno. Nie była idiotką.

- Posłuchaj, zanim zaczniemy sobie toczyć krew, może złapiesz taksówkę i przyjedziesz do mnie? - zaproponowała Missy.

Louise wsiadła do metra. W tunelu było piekielnie gorąco. Kiedy wysiadła na rogu Siedemdziesiątej Siódmej Ulicy i Lexington Avenue, skierowała się prosto na szpital Lenox Hill, w którym jej ojciec przepracował trzydzieści lat. W ciągu tych trzydziestu lat Louise ani razu nie odwiedziła jego gabinetu. Po jeździe metrem wieczorne powietrze wydawało się chłodne i wilgotne. Zadrżała, kiedy osuszało jej spocony kark. Szybkim krokiem zmierzała ku „Carlyle”.

Gdy zjawiała się w apartamencie Missy - zgodnie z przewidywaniem był przeładowany, draperie, złociste dywany, błękitne pokrycia - zastała Missy skuloną na kanapce w saloniku.

Wyglądała naprawdę wspaniale.

Wbrew sobie, bo musiała to zauważyć, zbита z tropu Louise, która biegła tu jak wariatka, musiała przyznać.

- Ślicznie wyglądasz, Missy - powiedziała.

- Sztuczna opalenizna, kremy, wodny stanik, dobre geny - odparła Missy.

Louise jak ogłuszona opadła na fotel. Missy położyła nogi na drugim, sączyła margaritę. Oszroniony hotelowy mikser na nocnym stoliku. Pewnie zostawi ślad, pomyślała Louise, ale Missy miała to w nosie. Dlaczego miałyby się przejmować? Przecież to nie był jej stolik.

Najlepsza przyjaciółka Louise.

Nigdy się niczego nie nauczysz.

Przez chwilę Louise usiłowała sobie wmówić, że Missy odbyła taką daleką podróż do Nowego Jorku, gdyż zorientowała się, że ona, Louise, wpadła w tarapaty, Missy znała Louise, znała ją „lepiej niż ktokolwiek inny”, wyczuwała, że Louise ma jakieś kłopoty, i przyjechała na ratunek. Z Missy u boku nie będzie musiała sama stawiać im czoła. Czas zakręcił koło. Louise zacytowała Janis Joplin, która nie żyła już od dziesięciu lat, kiedy Louise przepisała

balladę Me and Bobby McGee najpierw na niebieską dżinsową spódniczkę, a potem do zeszytu z nauk społecznych. Kilka następnych chwil straciła na samooszukiwanie.

Wreszcie, nie mogąc dłużej wytrzymać, powiedziała:

- Dzwonił Marcos. Myślał, że przyjechałaś do mnie. Jeśli tak, to może należałoby mnie o tym uprzedzić, nie uważasz?

- Och, co mi tam jakiś Marcos - powiedziała Missy. - Widziałam się z nim, staruszek - dodała. Oczy świeciły się jej jak kocicy. Twarz jaśniała wewnętrznym blaskiem. - Widziałam się z nim.

Więc to prawda. Louise skurczył się żołądek. Poczula się tak, jakby musiała natychmiast udać się do łazienki.

- Odstawiłaś mnie od siebie, laleczko. Wiesz, że nie powinnaś tego robić. - Missy mówiła jak mafioso.

- Z kim się widziałaś? - spytała Louise. Opanowana, kierująca się instynktem.

- Dobrze wiesz. Z Feinstadtem. Z nim się widziałam.

Jeśli się z nim widziała, to chyba znaczy, że on naprawdę istnieje? Nie jest wytworem wyobraźni Louise. To znaczy, że jest z krwi i kości.

- Więc on naprawdę istnieje - powiedziała Louise. Było to stwierdzenie, lecz zabrzmiało jak pytanie. Wypowiedziała je niedowierzającym tonem. Zdumiona.

- Naprawdę istnieje - potwierdziła Missy. - To on.

Mimo że słowa Missy ją przeraziły, mimo że przerażała ją cała sytuacja, Louise w tej chwili nie czuła się samotna. Towarzyszyła jej najserdeczniejsza przyjaciółka i ta najlepsza przyjaciółka znała jej najskrytszą tajemnicę. Najlepsza przyjaciółka ją zrozumie.

- Nie mogę uwierzyć, że on naprawdę istnieje - wyznała Louise. Zaczęła drżeć na całym ciele. - Nie mogę uwierzyć, że nie oszalałam.

- Louise, ty się trzęsiesz - zauważyła Missy. Wyciągnęła rękę, ujęła dłoń Louise, aby ją uspokoić. - Przestań dygotać. - I roześmiała się: - To, że on istnieje, nie znaczy wcale, że ty nie oszalałaś. Ha, ha. Chociaż, jeśli ty zwariowałaś, to zapewne i ja też. Może równocześnie nawiedziły nas duchy przeszłości. Wiesz, co się mówi o dziewczynach i ich miesiączkach. Może mamy równoczesne załamanie nerwowe.

Louise z trudem łapała oddech, lecz pomagało jej, że Missy trzyma ją za rękę, że żartuje, że jest przy niej najbliższa przyjaciółka.

- Wszystko to jest jakieś niesamowite, nie sądzisz? - Louise rozplakała się, z ulgą, ze zgrozą. Ta cała sytuacja ją przerastała; przerażało ją, że jej tajemnica wyszła na jaw, że mimo wszystkich przeciwności miała nadzieję i modliła się, żeby okazało się to prawdą. Scott Feinstadt wrócił, Missy też go zobaczyła.

- No cóż, niesamowitość niesamowitością - odezwała się Missy. - Takie jest życie. Problem polega na tym, co dalej poczniemy?

Dodając lodu, tequili, szczyptę soli, trochę soku z limonek, który Missy przywiozła z targu w L.A. w swojej starej haftowanej torbie (jakby w Nowym Jorku nie było soku z limonek; „Wierz mi, że nie ma”), Missy zamieszała w hotelowym mikserze kolejną margaritę, piły do upojenia. Missy rozkrochmałała się. W tym ekskluzywnym hotelu ledwo działała klimatyzacja, gorzej niż w mieszkaniu Louise, która pomyślała o tym z triumfem, ale zaduch apartamentu Missy jej odpowiadał, podobało się jej, że było tu parno. Siedziała swobodnie w starej koszuli Petera, którą znalazła u mamy w szafie, Missy miała na sobie stare bokserki Marcosa i rzeczony wodny stanik. Paliły papierosy i popijały margaritę, smakowała niczym lemoniada, ułatwiając rozmowę.

- Jak to możliwe, że nie umarłaś, kiedy go zobaczyłaś - mówiła Missy. Ciepłym, serdecznym tonem.

- Nie wierzyłam własnym oczom. Ale potem uwierzyłam - odparła Louise. - To tak, jakbym nigdy nie wierzyła, że on nie żyje. Czy ktokolwiek naprawdę wierzy, że ludzie umierają? Czy nie wydaje nam się, że po prostu przeprowadzają się do innego miasta?

- Ja wierzę, że umierają - stwierdziła Missy, zgarniając ręką włosy i upinając je w węzeł. - Ja tylko nie wierzę, że na zawsze pozostają martwi.

Louise wyprostowała nogi. Usiadła. Otóż to, o to właśnie chodzi. Ona wierzyła, że Scott Feinstadt umarł tylko na chwilę. Może dlatego do niej wrócił. Missy to pojęła. Zrozumiała.

- Uhm - przyznała Louise. - Byłam zdumiona, gdy go zobaczyłam, ale miało to jakiś sens, to, że się pojawił, miało jakiś sens.

Missy potakująco skinęła głową. Splecione wcześniej włosy rozsypały się. Sięgnęła po drinka, upiła potężny haust, kroplami z oszronionej szklaneczki zwilżyła palce. Przesunęła nimi po włosach, chcąc je okiełznać, ale jeszcze bardziej się rozwichrzyły.

- Nieźle się prezentuje, co? - powiedziała. - Lepiej, niż można by się spodziewać. - Teraz już obiema rękami zagarnęła włosy, usiłując je zapleść. - To znaczy, nigdy nie przypuszczałam, że tak wcześnie zaczniesz łysieć... jego ojciec chyba nie był łysy?

Przyjacielska pogawędka. Rozmowa, zwierzenia, obopólne zaufanie.

- To się dziedziczy po matce - stwierdziła Louise, popijając swoją margaritę. - Męski gen łysienia przekazuje matka. - Wiedziała to od Petera. Powiedział jej to, kiedy zastanawiali się nad potomstwem. Na nieszczęście ojciec

Louise był kompletnie łysy. Peter mówił o tym mimochodem, to była jedna z wymówek, żeby nie mieć dzieci. „Weźmiemy gumkę”, mówił Peter w chwilach bliskości, gdyż Louise nienawidziła małżeńskiego kalendarzyka, a lekarz radził, żeby odstawiła pigułki antykoncepcyjne, chociaż teraz rozumiała już, że w ten sposób Peter chciał ją chronić przed samym sobą.

- Czy ojciec pani Feinstadt był łysy? - spytała Missy, zapalając papierosa.

- Kto to wie? On chyba zginął w Dachau.

- Cóż, szkoda. Zajmijmy się więc chłopakiem. Zajmijmy się chłopakiem. Zajmijmy się chłopakiem.

Zająć się chłopakiem - to brzmiało nieźle. Dobrze, że Louise miała kogoś, z kim mogła się tym zająć, o tym pogawędzić. Dobrze było wiedzieć, że nie postradała zmysłów, a nawet jeśli, to nie ona jedna. Zbiorowe szaleństwo? Do tej pory to określenie nie miało dla niej sensu.

- Jak go namierzyłaś, Missy? - spytała Louise.

Missy paliła się, by opowiedzieć wszystko. By się pochwalić. By pokazać swoje zdolności detektywistyczne. Jak już było wiadomo, Missy zadzwoniła do mieszkania Louise, kiedy ta wyszła do pracy.

- Dlaczego, na miłość boską, dlaczego? - spytała Louise.

- Czasem zapominam - odparła Missy. - Zapomniałam, że gdzie wychodzisz. Jesteś jedyną ze znanych mi osób, która ma etatową pracę.

No więc, kiedy zatelefonowała, zastała F. Scotta. O tym Louise wiedziała, wiedziała, że rozmawiali, F. Scott jej o tym powiedział, ale nie przyznał się, że odbyli z Missy taką rozmowę.

No więc była to długa pogawędka, F. Scott opowiedział Missy wszystko o Louise, Missy usiłowała odgadnąć, kim jest ten tajemniczy chłopak.

Zdradził go tembr głosu.

- Och, nie tylko głos - ciągnęła Missy, wydmuchując kóleczka dymu, ale też to, co mówił, słowa, których używał. - To było jakby déjà vu. Miałam wrażenie, że znowu z nim jestem, z kimś, o kim kompletnie zapomniałam, nie tyle ja, ile tamta napalona, rozgrzana dziewczyna. Pojmujesz. Miałam uczucie, że rozpoznaję w lustrze własną twarz, ale to była twarz dziewczyny. Moja twarz, gdy byłam dziewczyną. I nie była to twarz matki dzieciom.

Dziewczęca twarz. Właśnie. Za sprawą F. Scotta Louise tak się poczuła. Jakby wróciła do dziewczęcych lat. A więc to pewne, że Missy maczała w tym palce.

Ale Missy dopiero po mniej więcej półgodzinnej rozmowie z F. Scottem - pół godziny! - wpadła na pomysł, aby zapytać tajemniczego faceta o nazwisko. Missy rozmawiała całe pół godziny z chłopakiem Louise? Tygrys nie zmienia swojej natury, Louise. Mama się chyba właśnie przebudziła.

- Musiał mi powtórzyć trzy razy, a wreszcie kazałam biednemu dzieciakowi przeliterować - opowiadała Missy. - Pewnie myślał, że zwariowałam.

Podstępna lisica, pomyślała Louise. Ale trzymała język za zębami. Wielu rzeczy chciała się jeszcze dowiedzieć.

Tak więc Missy długo rozmawiała z F. Scottem. W sumie wyglądało na to, że rozmawiała z nim dłużej niż Louise w czasie ich krótkiej znajomości, w tym krótkim czasie, kiedy za sprawą F. Scotta wszystko się zmieniło, przewrócił się cały jej świat. Kiedy Missy nie mogła już tego dłużej znieść - „za cholerę nie mogłam już tego dłużej znieść”, powiedziała Missy - kiedy miała wrażenie, że zaraz postrada zmysły, upchnęła dzieciaki z nianią - Marcos nurkował w Cannes na jachcie „Mira - max” - kupiła bilet, nie oglądając się na cenę (Missy mogła sobie na to pozwolić), i ruszyła na wybrzeże, żeby go zobaczyć. Na to wybrzeże. Lotnisko JFK. Skłoniła F.

Scotta, żeby się spotkał z nią w hotelu. Dwa dni temu, mówiła Missy. Cholerne dwa dni temu. Właśnie wtedy F. Scott puścił Louise kantem. O świcie zostawił ją śpiącą w domu, żeby opychać się z Missy omletem za dwadzieścia dwa i pół dolara. O co w tym wszystkim chodziło? Missy mogła mu zdradzić wszelkie tajemnice z życia Louise. Był tego bardzo ciekaw, opowiadała Missy. Zupełnie jakby przyszedł z misją śledczą.

- Gdybyś ty była na miejscu tego dzieciaka, też pewnie chciałabyś wiedzieć wszystko o podstarzałej rozwódce, z którą wylądował w łóżku?

Suka, pomyślała Louise. Kiedy chodziło o mężczyznę, przestawały być przyjaciółkami. Zawsze przecież tak było. Nic dziwnego, że później nie odezwał się do Louise. Dwa minione dni należały do Missy, podczas gdy głupia Louise pojechała do Larchmont doglądać starzejącej się matki. W ciągu ostatnich dwóch dni Missy działała jak zwykle na pełnych obrotach, zapraszała go na lunche, do galerii sztuki... Kurczę, ona go przekupywała, pomyślała Louise; poniżała ją...

- Opowiedziałam mu całą prawdę o twoim małżeństwie - ciągnęła Missy. - Wzięłam go na muszkę i sprawiłam mu łaźnię...

Tego już było za wiele.

- Jakąż to prawdę mu wyjawiałaś?

- Że to właściwie nie było małżeństwo - odparła Missy. - Świetnie to wiem, to do mnie wydzwaniałaś w środku nocy od Bóg wie ilu lat.

- Jakie masz prawo oceniać czyjeś małżeństwo? - zdenerwowała się Louise. - A ty i Marcos i wasze głupie gierki? Mieszkaliśmy razem, kochaliśmy się, kiedy któreś z nas rzygało, drugie trzymało mu głowę.

- Słuchaj, wszyscy wiedzą, że Peter to wspaniały facet. Tak? Dlaczego więc się wycofałaś?

Dlaczego? Dlatego. Któż to może zrozumieć? Bo Peter okazał się śmiertelnie nudny? Bo puszczał się na prawo i na lewo? Bo nie zdawała sobie sprawy, że wszystko pieprzy, że ma kłopoty, że jest chory, że usiłuje ją chronić przed tym, co było z nim nie w porządku? Bo, spójrzmy prawdzie w oczy, zażyłość przerodziła się w odrazę.

Louise zakręciło się w głowie.

- Prawda jest taka, że wszyscy twoi faceci źle kończyli - stwierdziła Missy. - Peter, Scott...

- Chyba nie opowiedziałaś mu o Scotcie?

- Wybacz. Nie jestem idiotką. Opowiedziałam mu o pewnym twoim dawnym kochanku. Nie jestem na tyle głupia, by wymieniać jego głupie nazwisko.

Z ich rozmowy nie wynikało, jak daleko posunęła się Missy w swoich opowieściach.

- Co mu właściwie opowiedziałaś, Missy? - spytała Louise.

- I mało, i dużo. Louise pociągnęła drinka.

- Zadrasnęłam go - wyznała Missy.

- Zadrasnęłaś?

- Wierz mi, siostrzyczko - powiedziała Missy. - Zadrasnęłam jego delikatną skórę.

Oczy Missy płonęły. Podniecona, ożywiona, pijana, szalona. Louise nigdy dotąd nie widziała Missy tak szalonej. Albo tak wstrętnej. Od tamtych okrutnych, zmysłowych, bolesnych dni ich młodości w Larchmont. Missy była wstrętna, a Louise nie miała godności. W jednym z listów, jakie wysłała do Scotta Feinstadta, potem, jak ją rzucił, napisała: „Godzę się na to, byśmy pozostawali w luźnym związku”. Luźny związek? Skąd Louise wzięła to określenie? Dlaczego nie potrafiła nazwać rzeczy po imieniu? Będę twoją drugą dziewczyną, powinna była napisać, kurczę, twoją kochanką na boku. Kiedy wrzuciła już list - nie miała

odwrotu, chociaż za wszelką cenę starała się wyciągnąć go ze skrzynki - Missy i Scott, plus dwoje „niezaangażowanych” przyjaciół osaczyli Louise w Cheese Bazaar. Scott pokazał Missy list - Louise miała wątplą nadzieję, że niektóre fragmenty przemówią do jego serca - a Missy uznała, że raz na zawsze należy załatwić tę sprawę, dla dobra ich wszystkich.

Och, Boże, jak trudno było wspominać ten ból, całe to poniżenie. Pięcioro nastolatków, siedzących ze skrzyżowanymi nogami w którymś doku podczas półgodzinnej przerwy w pracy Scotta Feinstadta. Sąd - Allison Harris i Lori Bookerman miały dopilnować, aby spotkanie przebiegło zgodnie z wszelkimi formami. Po dłuższej dyskusji postanowiono, że Scott może się wciąż widywać z Louise, ale nie wolno im się pieprzyć. „Widywać?” A co to znaczy? Louise miała nadzieję, że będą mogli się całować, nie ośmieliła się jednak prosić o wyjaśnienie. Wszakże po ich pierwszym spotkaniu, po tym sądzie, wtrąciła się Missy. Louise poszła ze Scottem do kina, nie było żadnych pocałunków, nie pocałował jej też na pożegnanie, kiedy ją odprowadził do domu, chociaż Louise aż paliły wargi, nie miała pojęcia, co zrobić z rękami. Scott Feinstadt siedział przy niej w kinie, zgarbiony jak zwykle, taki cudowny. Nachylony kark aż prosił się o pieszczotę, więc Louise musiała kurczowo zaciskać palce. Missy ponownie sprawiła, że Scott się z nią rozstał. Tamtej pamiętnej nocy Scott zadzwonił do Louise, ledwie drzwi zdążyły się za nim zamknąć: „Missy twierdzi, że to nie ma sensu”. Dzwonił z telefonu Missy. Po spotkaniu z nią pojechał prosto do Missy! Louise słyszała oddech Missy. Tak więc przypomniawszy sobie teraz - przez te wszystkie lata starała się wyrzucić z pamięci tamtą rozpacz, wstyd, straszliwe poniżenie że Scott Feinstadt zerwał z nią dwukrotnie tego lata i nie widział się z nią aż do ranka, kiedy

ofiarował jej obraz, kilka dni przed wyjazdem do Szkoły Rysunku w Rhode Island. Koniec pieśni.

Ten sąd to była jej szkoła w pigułce - okropna, nawet jeszcze nim Scott Feinstadt umarł. Prawdę mówiąc, za jego życia wszystko było gorsze.

- Jak mogłabyś mnie powstrzymać? - spytała Missy. - Ja go także kochałam.

Louise zdumiało jej zaangażowanie. To był krzyk serca. Missy poczuła się zdradzona.

Tym razem, po raz pierwszy w życiu, Missy czuła, że to ją wystrychnięto na dudka.

Nie Louise, ona już przywykła, że przyjaciółka wystawia ją do wiatru. Missy to uczucie było obce. A teraz przyszła kolej na nią. Missy nagle jest skłonna dzielić się. Trochę za późno.

- Rozumiem - powiedziała Louise, kręcąc szklaneczką. - Ale kogo to wzrusza?

Missy wlepiła w nią oczy. To jest inna Louise.

- To nie ma sensu. - Louise rzuciła w Missy cytatem z niej samej. - Nie będziemy się nim dzielić.

Missy głośno przełknęła ślinę. Tego się nie spodziewała.

Louise, nabrawszy animuszu, dodała:

- On teraz "należy do mnie, Miss. I tylko to się liczy. Święte prawo własności. On pożąda tylko mnie.

W pokoju znowu zapadła cisza.

- I co z tego? Mówisz, że jest twój. Ale kimże on jest? Uważasz, że zmartwychwstał?

- A ty uważasz, że nie? - odparła Louise. - Przecież sama powiedziałaś... powiedziałaś, że to on.

- Mówiłam, że to on. Ale ty chyba zwariowałaś, sądząc, że to on we własnej osobie.

- Tak mówiłaś. Przecież to powiedziałaś. Missy roześmiała się w głos.

- Coś podobnego, Louise, ty wierzysz w reinkarnację? Chciałam powiedzieć, że jest jak on, to pewne, ale czy to on - wierzę w to i nie wierzę. Rozumiesz, to nie może być on, on we własnej osobie, chyba ty też w to nie wierzysz, Louise? Czyś ty oszalała? Myślisz, że ja też oszalałam?

Louise pokręciła głową, nic już nie rozumiała. I miała tego dość. Missy po prostu chciała wytrącić ją z równowagi.

- Mam tego dość - powiedziała.

- Masz dość? - zdziwiła się Missy.

- Tak. Absolutnie dość. Ja go mam i chcę go mieć dalej.

On należy do mnie.

- Kiedy umarł, był mój - przypomniała Missy.

- Nic mnie to nie obchodzi.

- Był wtedy mój - powtórzyła Missy. Z pogrózką w głosie.

- No tak. Ale co z tego? Co? Gdyby żył, pewnie by do mnie wrócił.

Missy potrząsnęła głową. Zmrużyła oczy.

- On już wybrał, Louise. To była zamknięta sprawa.

- Gdyby dalej żył, zatęskniłby za mną - broniła się Louise.

- Przekonałby się, jaka naprawdę jesteś.

- Jaka?

- Puszczalska! - zawołała Louise.

- To był ciełący wiek - powiedziała Missy.

- Gdyby żył, rzuciłby cię dla pierwszej lepszej siksy!

- Gdyby żył, może byśmy się pobrali, mielibyśmy dzieci, zamieszkali w Soho...

- Albo wylądowałby jako sprzedawca używanych samochodów u wujka w Jersey.

Missy uśmiechnęła się złośliwie.

- Zazdrosna?

- O co?

- Zazdrosna, że ja, mój mąż filmowiec, nasze wspaniałe dzieci i rasowy terier mieszkamy w Soho?

- Coś ci się przywiduje, Miss.

- Lepsze to niż molestowanie seksualne kandydata na studia. Wiesz, że mogę spowodować, aby wiadomość o tym przeciekła do prasy.

- A ja mogę spowodować, żeby do prasy przeciekła wiadomość, że Marcos siedział w więzieniu.

- Jesteś podła.

- Będziemy kwita. - Louise czuła się teraz silna, odporna na wszelkie ciosy.

- Jesteś podła - powtórzyła Missy. - Ale ja cię przebiję. Jeśli chcesz takiej gry, nie pozostaje mi nic innego. - Missy wstała, podeszła do biurka i przekartkowała notes z numerami.

- Zaraz do niego zadzwonię. Jest u Ricky'ego, zadzwonię i wszystko mu powiem. Pięć - pięć - pięć - trzy - sześć - dziewięć - cztery. Opowiem mu całą prawdę o Scotcie Feinstadcie, całą prawdę o tobie.

Więc naprawdę był u Ricky'ego. Mama najlepiej wie.

- Jaką to prawdę? Jaka jest prawda o mnie, Missy? - spytała Louise. - Cóż to takiego strasznego?

- Nie zmuszaj mnie, bym to powiedziała.

- Ależ mów. Wypluj to z siebie. Dobrze wiesz, że nie ma żadnej strasznej prawdy o mnie.

Missy wzięła głęboki oddech. Rozważała, jakie będą skutki. Wreszcie się zdecydowała:

- Zawiodłaś go, Louise. Wiesz, że zawiodłaś Scotta Feinstadta i dlatego umarł.

Co ta Missy plecie? Ona go zawiodła? To on ją zawiódł! Ona zawiodła jego?

- Wiesz, o czym mówię - powiedziała Missy.

Louise wiedziała. Zadzwonił telefon. Tego ranka, kiedy Scott wyjeżdżał do szkoły, kiedy miał ruszyć w tę tragiczną w

skutkach podróży. Scott Feinstadt zadzwonił do niej, do Louise, a ona go zawiodła.

„Louise” - odezwał się. Leżała samotnie na łóżku w swoim pokoju w Larchmont, miała złamane serce, była przygnębiona, opuszczona przez wszystkich. Odruchowo podniosła słuchawkę.

„Muszę się z tobą zobaczyć, nim wyjadę” - powiedział Scott Feinstadt.

„Po co?” - spytała Louise, serce biło jak oszalałe, zrodziła się nadzieja.

„Sam nie wiem - odparł Scott Feinstadt. - Po prostu muszę”.

„Coś z Missy? - spytała Louise. - Macie jakieś problemy?”

„Nie, nie. Z Missy wszystko w porządku”.

To o co chodzi? - myślała Louise. Chcesz się po raz któryś przekonać, czy jestem wciąż w tobie zakochana? Chcesz wyjechać ze świadomością, że dalej możesz mnie mieć na skinienie ręki, że jestem twoją niewolnicą, że przybiegnę na każde wezwanie, kiedy zachce ci się ze mną przespać? A odpieprz się, myślała Louise.

„Jestem zajęta, Scott” - powiedziała, choć był ranek, a ona jeszcze w nocnej koszuli, za którą służył jej jego stary czarny T - shirt z jakiegoś koncertu, leżała w łóżku.

„Jestem trochę zdenerwowany, może nie powinienem wyjeżdżać tak daleko” - wyznał Scott Feinstadt.

Jeśli dobrze pamięta, rzeczywiście był zdenerwowany.

Chciał porozmawiać. Chciał porozmawiać o sobie. Do tej pory Louise zawsze go wysłuchiwała. A teraz?

„To nie jest odpowiednia pora. Może zadzwonisz do mnie, kiedy przyjedziesz na święta? Teraz jestem zajęta” - powtórzyła Louise.

Scott Feinstadt westchnął głęboko. Usłyszała to westchnienie.

„W porządku - powiedział. - No cóż, chyba będę musiał odłożyć to na później”.

Tylko że nie było już żadnego „później”, tylko że, jak zawsze w jej życiu, było tylko „teraz”. Zmarnowała je, owo „teraz”, teraz mogłaby być z nim. Louise nigdy nie dowiedziała się, co Scott Feinstadt chciał jej powiedzieć. Może chciał, aby go skłoniła do rezygnacji z wyjazdu? A może przeciwnie, aby go utwierdziła w tym zamiarze? Rzecz jasna, zwierzyła się z tej rozmowy Missy, gdyż wtedy, po śmierci Scotta, straszliwie przygnębiał ją fakt, że z nim nie pogadała. Tak ją to dręczyło, że później starała się za wszelką cenę o tym zapomnieć.

Kiedy Louise opowiedziała o tym Missy, ta odparła:

„Może on przeczuwał, wiedział, że umrze”.

Missy pognębiła ją ostatecznie.

Nikt nigdy już jej tak nie pognębił.

- Chrzanię to - powiedziała Louise teraz, w tej chwili, w hotelu „Carlyle”, gdyż tylko to „teraz” się liczyło. - Daj mi jego telefon, to powiem mu to sama. Albo jeszcze lepiej daj mi adres Ricky'ego, pojedę tam i powiem mu to osobiście. - Wyrwała notes z ręki Missy. - Powiem, że zmartwychwstał. Cholera, powiem mu to. Skoro uważasz, że go zawiodłam, to powiem mu też o tobie. Na pewno będzie zachwycony, kiedy się dowie, że był na spóźnionej randce, na którą kiedyś, przed laty się z tobą umówił.

- Nie rób tego! - zawołała Missy. - Tylko się popisywałam. Wcale tak nie myślałam. To nie w porządku. Nie powinnam była tego mówić.

- A ja nie powinnam cię słuchać - powiedziała Louise.

- Mówię poważnie. To okropny pomysł. Rozumiesz.

Nie możesz powiedzieć komuś, że jest martwy. Przyprawisz go o szok. Poczekajmy, ułożymy wspólnie jakiś plan, obie.

- Obie?

- Co dwie głowy, to nie jedna, prawda? Mam większe doświadczenie w takich sprawach. Coś wykombinujemy, zaprosimy go na lunch do jakiejś sympatycznej knajpki, trochę go dopieścimy...

Może ona ma rację? - pomyślała Louise. Może we dwie będzie łatwiej? Razem, we dwie z Missy, są przecież w stanie zrobić wszystko.

- Wybij to sobie z głowy - odpowiedziała. - To ja powiem F. Scottowi całą prawdę. - I z notesem Missy w ręce opuściła apartament.

- Nie rób tego! - krzyknęła Missy, otwierając za nią drzwi i wychodząc na korytarz w staniku. - Wracaj!

- Nic z tego - odparła Louise.

- Mówię ci. Spieprzysz to, jak spieprzyłaś wszystko, czego się tknęłaś. Spieprzysz dokumentnie. Posłuchaj mnie, Louise, zadasz sobie ból i nic więcej.

Louise mocno przycisnęła notes Missy do piersi. Zjechała windą do holu, skinieniem dłoni odprawiła portiera, wyszła na Madison Avenue i sama zatrzymała taksówkę.

- Róg Avenue D i Dziewiątej Ulicy - powiedziała do taksówkarza. Była sama, skupiona i silna. Tym razem postąpi tak, jak powinna. Nie będzie niczego unikać.

Kiedy taksówka zajechała na miejsce, F. Scott stał przed czynszowym blokiem. Missy musiała go uprzedzić. Wyszedł na powitanie Louise.

- Reszty nie trzeba - powiedziała Louise do kierowcy. Wyskoczyła z taksówki, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Taksówka odjechała.

F. Scott wyglądał na zaspanego. Miał na wpół przymknięte oczy, pomięty podkoszulek. Ale był.

- Obudziłam cię? - spytała Louise.

- Missy mnie obudziła. Dziś wieczór gra kapela Ricky'ego, ale ja wcześniej padłem. Byłem zmęczony.

- Przykro mi - powiedziała Louise.

- Dlaczego? - zdziwił się F. Scott.

- Że cię obudziłam.

- To ona mnie obudziła, Louise, już ci mówiłem. Zerknął w dół, na swoje stopy. Był boso.

- Nie włożyłeś butów - stwierdziła Louise.

- Wiem - przyznał F. Scott.

- Wejdziemy?

- Nie. Wolę tutaj.

Louise rozejrzała się. Przy sąsiednim budynku był taras.

- Może usiadziemy na tym tarasie? - spytała.

- Nie. Jeśli chcesz mi coś powiedzieć, możesz to zrobić tu, na chodniku.

Co chciała mu powiedzieć? Co chciała powiedzieć temu zaspanemu dzieciakowi?

- Missy mówiła, że masz mi powiedzieć coś ważnego, Louise. Mów śmiało. Miejmy to z głowy. - Wydawał się jakby roztrzęsiony, zły albo przestraszony.

- A jak myślisz, co mogłabym ci powiedzieć?

- Że chcesz ze mną zerwać? - Odniosła wrażenie, że F. Scott za chwilę się rozplacze. Niepokojnie przestępował z nogi na nogę. - Oj!

- Co się stało?

- Nadepnałem na szkło. - F. Scott uważnie obejrzał stopę.

- Skaleczyłeś się? Krwawisz?

- Nie. To drobiazg.

- Mogę zerknąć?

- Nie mogłabyś raczej przejść do rzeczy? - poprosił F. Scott, wciąż drżący, choć już uśmiechając się nieśmiało. - Wiesz, ten odprysk szkła w stopie pomoże mi znieść ból serca.

- Jego uśmiech był niepewny. Usiłował udawać chojraka, ale bez powodzenia.

- W porządku - zgodziła się Louise. - Spróbuję przejść do rzeczy.

Ale jak to zrobić? Jak może mu wytłumaczyć, że nie rozumie samej siebie?

- Louise - odezwał się F. Scott. Tracił cierpliwość.

- No dobrze. Dowiedz się. Kiedy byłam młodą dziewczyną, jeszcze w szkole, miałam chłopaka. Miałam chłopaka, do którego jesteś cholernie podobny.

F. Scott wlepił w nią oczy. Potem spojrzął na swoją stopę. Uniósł ją. Zastygł w pozycji lotosu.

- Wał dalej. Słucham.

- Był do ciebie podobny, tak jak ty był artystą, chodziłam z nim, a potem, cóż, Missy z nim chodziła.

Słyszając to, F. Scott podniósł wzrok.

- Missy?

- Tak jest, Missy. Obie z nim chodziłyśmy, a potem on umarł, zginął w wypadku samochodowym, przecież wiesz... - Głos Louise załamał się.

- Och, Louise - odezwał się F. Scott. - To okropne. - Przysunął się, żeby ją pocieszyć, ale kiedy stanął na obu stopach, syknął z bólu.

- Może jednak obejrzę to skaleczenie? - poprosiła Louise.

- Dobrze? Żeby nie wdała się jakaś infekcja.

- Nic mi nie będzie - zaprotestował F. Scott. - Jestem odporny.

Zatrzymał ją wzrokiem. Louise wzięła głęboki oddech. Była silna. Niezłomna. Mocna.

- Cóż, wyglądał jak ty, malował jak ty, nawet nazywał się tak jak ty...

- Nazywał się tak jak ja? - przerwał F. Scott. - To znaczy, F. Scott? Bo „F.” to skrót od...

- Scott Feinstadt. Nazywał się Scott Feinstadt.
- Tak bardzo był do mnie podobny? I nazywał się Scott Feinstadt? - upewniał się F. Scott.

- Nazywał się Scott Feinstadt i wyglądał tak samo jak ty - potwierdziła Louise. - Nawet urodził się w tym samym dniu i miał twój głos.

Za plecami F. Scotta znajdowały się pojemniki na śmieci. Cuchnęło z nich w ten upał. Szczur wielkości kota przeskakiwał z jednego do drugiego. Louise przestraszyła się, ale F. Scott nie zwrócił na to uwagi.

- Urodził się w tym samym dniu? Co ty mówisz?

- Mówię, że prawie w każdym szczególe jesteś taki sam jak tamten, jak prawdziwy. - Mówiąc to, Louise czuła się jak wariatka.

- Jak prawdziwy?

- Prawdziwy Scott - potwierdziła.

F. Scott rozejrzał się po ulicy. Przesunął dłonią po rozczochranych włosach. Potem spojrzał na nią.

- Jesteś nienormalna, wiesz?

- No cóż, może.

- Missy też uważa, że jestem tak podobny do tamtego gościa?

- Tak. Prawdę powiedziawszy, ona uważa, że on to ty. Albo ty to on. Rozumiesz?

- Nie ma na kuli ziemskiej nikogo, kto mógłby to zrozumieć - orzekł F. Scott.

- No więc jak, jesteś nim? - spytała Louise. - Jesteś prawdziwym Scottem Feinstadtem?

F. Scott popatrzył na nią uważnie. Wytrzymała jego spojrzenie. Była silna, niezłomna, mocna. A on nie.

- O co ci chodzi, Louise?

- Nie rozumiesz?

- Powiedziałaś, że zdaniem Missy jestem jakimś facetem, który wrócił z zaświatów. Ty też tak myślisz?

- Cóż. Tak i nie.

- Tak i nie? - powtórzył F. Scott.

- Tak i nie. Jesteś do niego podobny, mówisz jak on, całujesz, całujesz jak on...

- Całuję jak on? - zdziwił się F. Scott.

- Jak on, tylko trochę lepiej. - Louise powiedziała prawdę. Teraz musiała mówić tylko prawdę.

F. Scott nie spuszczał z niej oczu.

- Kochałaś go? Kochałaś tego faceta, który całował cię tak jak ja?

Louise odetchnęła głęboko. Czy go kochała?

- Kochałam go.

- Och.

Zapadło milczenie.

F. Scott wbił wzrok w ziemię.

- I wciąż go kochasz? - spytał.

Czy go kocha? Czy wciąż kocha Scotta Feinstadta?

- Nie wiem - przyznała. F. Scott popatrzył na nią.

- A co wiesz?

Co wie? Louise udzieliła mu odpowiedzi.

- Wiem, że kochałam go całym swoim siedemnastoletnim sercem, a teraz wiem, że później wyrzuciłam go z pamięci. Zapomniałam o nim, aż nagle zjawiliś się ty. - Urwała, zastanowiła się chwilę. - Wiem, że nie wszystko było między nami skończone, przynajmniej jeśli o mnie chodzi. Nie wszystko było skończone, kiedy on zmarł.

- Nie wszystko skończone? - pytał F. Scott, wciąż nie spuszcżając z niej wzroku.

- Nie - potwierdziła Louise. - Zadzwoił do mnie, zadzwonił w tym dniu, kiedy zmarł, chciał się ze mną spotkać, ale ja czułam się zanadto zraniona, zbyt wściekła, ja...

- Więc się z nim nie spotkałaś?

- Nie. A potem on zginął.

Wieczór był parny, duszny. F. Scott ostrożnie postawił skaleczoną stopę na ziemi.

- A później spotkałaś mnie.

- Hm, w tym czasie zdarzyło się to i owo. - Louise roześmiała się niewesoło. Jak to dobrze zrzucić ten ciężar z piersi. Pewnie tak samo poczuł się Peter, kiedy przyznał się jej do wszystkiego. - W ciągu minionych dwudziestu lat niejedno się zdarzyło, ale owszem, potem spotkałam ciebie.

F. Scott wciąż nie spuszczał z niej wzroku.

- Dlaczego się śmiejesz? - spytał.

- Nie wiem - przyznała. - Może to jest na swój sposób zabawne.

- Myślisz, że to zabawne?

- Nie. A może trochę tak. Sama nie wiem.

- To wcale nie jest zabawne, Louise. Nie jest zabawne, że mając prawie czterdzieści lat, wciąż oplakujesz jakiegoś szajbniętego faceta, który potraktował cię jak gówno.

Louise cofnęła się jak rażona piorunem. F. Scott trafił w sedno.

- To prawda - przyznała. - Niezbyt przyjemna, ale prawda. Skoro tak to widzisz...

- Nie ma nic zabawnego w tym, że nie możesz się pozbierać po jakiejś szkolnej miłostce, choć wszyscy inni potrafią się z czymś takim uporać, traktują to jako dobrą lekcję na przyszłość.

- Masz rację - zgodziła się Louise, zastanawiając się, jak ci wszyscy inni radzą sobie z takimi sprawami. - Ale on umarł. Może gdyby żył, poradziłabym sobie.

- I pewnie dlatego ja się zjawiłem - powiedział F. Scott. - W twojej rozwichrzonej, zaśmieconej wyobraźni przybyłem, aby pomóc ci wyjść z tego.

- Cóż, tak i nie - odparła Louise. - To znaczy, jesteś wspaniała - zapewniła, gdyż rzeczywiście był wspaniały, mówiła szczerą prawdę. - I jesteś sobą... Tyle że tak dużo masz w sobie z niego...

- I całuję jak on - dodał sarkastycznie F. Scott.

- To jest coś więcej niż łądzące podobieństwo. Missy też to stwierdziła.

- Jesteś szurnięta - orzekł F. Scott. - Moim zdaniem obie jesteście szurnięte. Prawdę mówiąc, myślę, że jesteś nie tylko szurnięta, ale i podła.

- Nie chciałam postąpić podle. - Cała ta jej nienaturalna pewność siebie gdzieś się ulotniła. Czowała się jak idiotka.

F. Scott znów spojrzał na swoje stopy.

- Wracam do łóżka - powiadomił ją.

- Teraz?

- Teraz.

- Ale ja chcę ci jeszcze coś powiedzieć - zaprotestowała Louise.

- Najświeższa wiadomość, Louise. Nie życzę już sobie więcej z tobą rozmawiać. Idź sobie.

- F. Scott! - zawołała Louise. - Poczekaj!

Lecz on odwrócił się do niej plecami i kuśtykając, wrócił do domu.

- F. Scott! Przepraszam, chciałam się tylko wytłumaczyć, pogadać...

Ale F. Scott zlekceważył ją. Pchnął drzwi do holu, a te zamknęły się za nim automatycznie.

Louise przemierzyła osiem długich, opustoszałych, okropnych przecznic, nim wreszcie zdołała zatrzymać taksówkę. Całą drogę zastanawiała się, co zrobiła. Może F. Scott miał rację, była szalona i podła? Spieprzyła to, tak jak przewidziała Missy. Okazała się okrutną egoistką. Zachowała się jak szczeniak.

Cały ten długi wieczór był zbyt okropny, aby się nad nim zastanawiać, więc wróciwszy do domu, Louise od razu położyła się do łóżka; wyobrażała sobie, że rano jakimś cudem się z nim dogada.

Kiedy Louise obudziła się następnego ranka, zobaczyła, że w nogach jej łóżka siedzi Peter. Elektroniczny zegarek wskazywał piątą piętnaście. Czy to jeszcze sen? Nie. To on. Jak się dostał do mieszkania? Przez wzgląd na bezpieczeństwo zawsze upierał się, by mieć zapasowe klucze. Nigdy dotąd z nich nie skorzystał.

Siedział ubrany, wspierając głowę na dłoniach.

- Pete? - odezwała się Louise. - To ty?

Oczywiście, że on. Ileż to ranków siedział na brzegu ich łóżka - niegdyś było to ich wspólne łóżko, te same sprężyny i rama, ten sam materac - z głową schowaną w dłoniach, usiłując stawić czoło nadchodzącemu dniu? Louise zawsze sądziła, że to dlatego trzyma głowę w dłoniach - zbiera energię, by wstać, wziąć prysznic, ogolić się, zabrać do prac studentów. U Louise taki brak natchnienia sprawiał, że głębiej zakopywała się w poduszkę i udawała, że śpi. Louise nigdy nie przyszło do głowy, że wówczas Peter starał się znaleźć w sobie siły, żeby stanąć twarzą w twarz ze swoją żoną. Teraz zasmuciła ją owa myśl. Usiadła, otuliła się prześcieradłem, chociaż nie spała nago; miała na sobie starą koszulkę Petera, ale odczuła potrzebę skromności, gdyż Peter wydał jej się taki obnażony i wystawiony na ciosy.

Przyjrząwszy się baczniej, dostrzegła, że się nie ogolił, choć to było do niego niepodobne. Peter zawsze się golił, codzienne golenie należało do jego niewzruszonych zasad. Wydawał się nieco zmięty, jakby nie spał albo przespał się w ubraniu. Louise wyciągnęła rękę i położyła ją na ramieniu Petera.

- Peter? - zawołała. - Peter?

Jego ramiona zadrżały pod jej dłonią. Peter płakał bezgłośnie. Peter, ten wspaniały, wielki, silny i opanowany mężczyzna, płakał.

Louise objęła go pocieszającym gestem.

- Skarbie - powiedziała. - Nie płacz.

Ale jej słowa sprawiły, że jeszcze bardziej się rozszlochał.

Louise ocierała mu łzy, a one wciąż płynęły. Dłońmi gładziła go po policzkach, po wilgotnej, szorstkiej od zarostu twarzy. Peter otworzył oczy, miał zaczerwienione białka, tęczywki głębsze i intensywniej niebieskie niż zazwyczaj, błyszczące od łez.

- Nie płacz, kochanie, proszę.

Peter usiłował się opanować, wstrzymał oddech, ale wciąż wstrząsał nim szloch, łzy nie przestawały płynąć. Musiał koniecznie wydmuchać nos.

- Musisz wytrzeć nos, kotku - powiedziała Louise, głaszcząc go po głowie, przyglądając potargane włosy. - Przyniosę ci chusteczkę. - Poruszyła się, chciała oderwać się od jego ciała, twarzy, włosów i rąk, gdyż i on ją obejmował, z początku nieśmiało, ale teraz, gdy chciała odejść, przytrzymał ją mocniej, nie pozwalając wstać.

- Zostań - poprosił. - Błagam. - Płakał i łkał, łkał i płakał bez końca.

I Louise została. Nie poszła po chusteczkę. Podsunęła mu w zamian róg prześcieradła.

- Mogę? - spytał.

- Pewnie - odparła Louise.

Peter Harrington wytarł nos w prześcieradło. Wciąż pochlipywał, chyba to się nigdy nie skończy, aż wreszcie Louise poddała się.

- Płacz, skarbie. Płacz. Wypłacz się, wypłacz wszystko, co ci leży na sercu.

Peter Harrington posłuchał jej. W ramionach żony płakał z całego serca. Jak mu radziła.

Louise była tak wykończona, że szloch Petera widocznie ukoił ich oboje do snu, bo kiedy kilka godzin później otworzyła oczy, ujrzała Petera nie w nogach łóżka, ale obok siebie na poduszce. Obejmowała go ramionami. Spał, oddychał lekko, z jego twarzy zniknął wszelki smutek, może zmyty przez łzy, a może za sprawą uzdrawiającego snu. Zniknęły nawet zmarszczki, te od trosk i te od śmiechu. Wyglądał jak młody mężczyzna, jak wtedy, kiedy go poznała, kiedy zaledwie parę lat dzieliło go od wieku chłopięcego. W ramionach Louise wyglądał pięknie, czysto i schludnie. Był przystojny.

Chociaż Louise musiała iść do łazienki, nie poruszyła się, nie chciała tracić tej chwili z Peterem. To jakby zawitał do nich fragment ich przeszłości, jakby dane im było przeżyć na nowo utraconą i cenną chwilę, a ponieważ okazała się taka cenna, tak znamienna dla ich pierwszych lat, Louise nie ośmieliła się nawet drgnąć. Choć naprawdę musiała iść do łazienki. Zdawała sobie jednak sprawę, że pewnie nigdy nie dozna już takiej łaski. Więc trzymała Petera w ramionach, czuła jego oddech. Jeszcze trochę.

Wreszcie zaczął się budzić. Przekręcił się, tak że Louise mogła się wydostać i pójść do łazienki. Zamknęła za sobą drzwi, chociaż ani ona, ani Peter nigdy tego nie robili podczas trwania ich małżeństwa, a nawet później. Zamknęła drzwi, nie tyle chcąc zapewnić intymność sobie, ile chcąc dać ją jemu. Zamknęła drzwi i siusiała, siusiała bez końca - to te margarity - a kiedy pozbyła się nadmiaru płynu, poczuła się lżejsza, o wiele, wiele lżejsza. Daleka od szczęścia, lecz jakby bogatsza i bardziej chłonna. W domu, siusiając we własnej łazience, za zamkniętymi drzwiami, z mężem budzącym się w sypialni, czuła się jak normalna kobieta.

Kiedy się wytarła, spuściła wodę i umyła ręce, popatrzyła na swoje odbicie w lustrze. Miała potargane włosy, ale był to ładny nieład, burza loków, jasne oczy. Jasnooka Louise wróciła do sypialni. Peter stał z rozpiętymi spodniami, upychając w nich poły koszuli. Ogarniał się. Dla niej. Kiedy weszła, poniosł głowę, popatrzył i uśmiechnął się. Odwzajemniła uśmiech. Potem zapiął suwak, pasek, wsunął koniec paska w szlufkę spodni koloru khaki. Tych, które pomagała mu wybrać.

- Lou - odezwał się Peter, a kiedy wymówił jej imię, Louise uświadomiła sobie, jak niewiele ze sobą rozmawiali. W ciągu paru minionych godzin wymienili zaledwie kilka słów. On płakał, zasnęli, ale nie rozmawiali ze sobą. A jednak jakoś się porozumieli.

- Wiem - odezwała się Louise.

Tak było. Zdawała sobie sprawę ze wszystkiego, z tego, jak złożone uczucia nim targały, gdyż na własny, pogmatwany sposób czuła się tak samo.

- Chciałbym spróbować raz jeszcze - powiedział Peter. - Żebyśmy jeszcze raz spróbowali.

Usiadł na łóżku. Wyciągnął do niej rękę. Louise przyjrzała się jej uważnie. Dłoń, którą niedawno bezskutecznie próbowała sobie odtworzyć w pamięci. Była piękna. Silna, zdecydowana, kanciasta. Prostokątne paznokcie jak małe ekrany telewizora. Krótko obcięte. Złociste włoski na nadgarstkach i rękach. Ujęła jego dłoń w swoje i usiadła obok niego.

- A Farrah? - spytała.

- No tak. Ale ona to nie ty.

Louise dotknęła jego dłoni, uściśniła ją. Jest taki dla niej miły. Serdeczny. Ale czy naprawdę ją zna, czy wie, jaką potrafi być egoistką? Jak okropnie potraktowała wczoraj w nocy tego młodego mężczyznę, który jej w niczym nie

zawinił? Czy Peter na pewno chciałby się z nią wiązać, gdyby ją znał?

- Nie udaję, że mam jakiś plan - mówił Peter. - Nie udaję, że wiem, co naprawdę robię.

- No to jest nas dwoje - stwierdziła Louise, śmiejąc się nieco ochryple. Gardło i usta miała zaschnięte.

- Ale ja jestem inny niż przedtem - powiedział Peter. - I widzę, że ty się także zmieniałaś.

Czyżby? Czyżby stała się teraz inna? A może bardziej przypominała siebie z wcześniejszych lat. Czy też przeistoczyła się teraz w kogoś innego, okropną istotę bez serca i - co najważniejsze - silną?

- Nie wiem - odparła Louise.

- Ja wiem - odparł Peter. Uścisnął jej dłoń.

- Ufam, że powiesz mi, gdy się dowiesz.

Louise odprowadzała Petera do drzwi, kiedy odezwał się dzwonek. Missy. Nie mogłaby trzymać się z dala, zanim się stąd wyniesie?

- Nie otwieraj - szepnęła Louise.

- Dlaczego? - zdziwił się Peter.

- To Missy - odszepnęła Louise. - Przychodzi pewnie, aby sprawdzić, co się ze mną dzieje.

Sprawdzić, co zaszło wczorajszego wieczoru, ulitować się nad nią, napawać się jej porażką.

- Wiem, mówiła, że się pokłóciłyście, ale przecież wy kłóciłyście się już przedtem nieraz... - Ruszył ku drzwiom, ale Louise go zatrzymała.

- Rozmawiałeś z Missy?

- Zadzwoiła do mnie wczoraj w nocy, mówiła, że doszło między wami do wojny z mojego powodu - odparł Peter, jakby trochę tym usatysfakcjonowany. - Powiedziała, że jej zdaniem jesteś skłonna zacząć od nowa.

Znów odezwał się dzwonek u drzwi.

- Co takiego? - zawołała Louise. Właściwie to wysyczała. Idiotka, idiotka i jeszcze raz idiotka. Okazała się idiotką, sądząc, że Missy daruje sobie odwet.

- Daj spokój, Louise - powiedział Peter. - Starła się postąpić jak przyjaciółka. Wiem, że ze mną Missy nie zawsze była w przyjaźni, ale rozumiesz, ona uważa, że my, ja i ty, należymy do siebie. Myśli...

- Jej nie można ufać - stwierdziła Louise. Czuła, że zaczynają jej płonąć policzki. - To fałszywa...

- Uspokój się. Chciała dobrze.

Znów dzwonek. Głośniejszy, bardziej natarczywy. Peter ruszył w kierunku drzwi.

- Nie otwieraj, Peter.

- Posłuchaj. Muszę wrócić do domu, ogarnąć się, a potem do pracy. Aha, zadzwoniłem do twojego dziekanatu, na wszelki wypadek, gdybyś ty nie chciała iść. Zauważyłem, że opuściłaś już jeden dzień, powiedziałem, że miałaś ważne sprawy rodzinne. Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi tego za złe. Nie chciałem, żebyś wpadła w tarapaty. Poza tym - dodał, odgarniając Louise niesforny lok za ucho - twoja nieobecność wywołała pewien niepokój...

Cały Peter.

Znowu dzwonek. Potem pukanie do drzwi.

- Boże! - zawołała Louise. - Nie mogę już tego wytrzymać.

Peter stał między drzwiami a Louise. Dzwonienie i pukanie nie ustawały.

Louise starała się odciągnąć Petera.

- To bez sensu - stwierdził Peter. Ruszył naprzód i otworzył drzwi.

F. Scott. F. Scott Feinstadt. Stał w progu.

W oplakanyim stanie. Jak Peter nie zadał sobie trudu, aby się ogolić. Jak Peter miał podkrażone oczy, zmęczoną twarz, pomięty i poplamiony podkoszulek.

- Och, F. Scott, dzięki Bogu - powiedziała Louise.

- To ty - F. Scott zwrócił się do Petera. - Kurde, nie mogę uwierzyć.

- Hm? - zdziwił się Peter.

- Dlatego wciskałaś mi ten cały kit? - ciągnął F. Scott. - Bo zamierzałaś do niego wrócić? No wiesz, Louise, powinnaś była powiedzieć zwyczajnie: „To nie ma sensu...”

- Chwileczkę - przerwał mu Peter. A potem zwrócił się do Louise: - Kto to?

- Kandydat na magistra sztuki.

- Kandydat na magistra sztuki? - powtórzył F. Scott.

- Peter Harrington. - Peter wyciągnął rękę.

F. Scott nie odwzajemnił tego gestu. Ręce F. Scotta zwisały bezwładnie wzdłuż ciała. Miał na sobie te same co wczoraj wieczorem opięte dżinsy. Louise widziała rysujące się przez nie jego bieliznę, brzuch i kości.

- Peter Harrington - powtórzył Peter. Tym razem nieco bardziej oficjalnie. - Mąż Louise.

- Raczej eksmąż - uściślił F. Scott. Potem zwrócił się do Louise: - Może i on powstał z martwych? - Przebierał palcami po szwach. Przeszł z nogi na nogę, nerwowo, niczym bokser albo ćpun.

- Słucham?

- Daj spokój. Spóźnisz się do pracy - powiedziała Louise, wypychając Petera za drzwi.

- Nie szkodzi. - Peter wzruszył ramionami.

- Nic się nie dzieje - przekonywała go Louise. - Peter, proszę. Sama dam sobie radę.

Peter popatrzył na nią z powątpiewaniem. Zmierzył F. Scotta Feinstadta wzrokiem.

F. Scott Feinstadt odwzajemnił mu spojrzenie.

- Jesteś pewna? - spytał Peter.

- Absolutnie - zapewniła Louise. - Dam sobie radę. - Wypchnęła go za drzwi.

- Zadzwoń do ciebie później - obiecał Peter.

- Dobrze - zgodziła się Louise.

- Za kwadrans - powiedział Peter. - Będę dzwonił co piętnaście minut.

- W porządku. Dzwon. Miłego dnia, Peter. Cześć.

- Do zobaczenia.

- Sajonara - pożegnał go F. Scott, przestępując próg mieszkania Louise.

Peter zatrzymał się w holu.

- Do widzenia, Peter. - Louise zamknęła drzwi. Stali z F. Scottem w korytarzu. W milczeniu. Słyszeli,

jak Peter czai się za drzwiami. Potem nasłuchiwali jego kroków, gdy ociągając się, szedł holem. Skrzypnięcie otwieranych i zamykanych drzwi windy. Oboje oddychali cicho, póki nie upewnili się, że naprawdę odszedł.

- Nie mogę w to uwierzyć - odezwał się F. Scott.

- W co? W co nie możesz uwierzyć?

- Przyszłaś do mnie, opowiadałaś jakieś bzdety, a tymczasem zaciągnęłaś do łóżka byłego małżonka. Missy mnie ostrzegała.

- Missy? - zezłościła się Louise.

- Powiedziała, że go u ciebie zastanę. Wiedzma.

Najpierw Louise ogarnął wstyd, wstyd i poczucie winy, a potem odezwała się prawie błagalnym tonem:

- To nie tak, to nie to, o co mnie podejrzewasz...

Nie zrozumiał nic z całej sytuacji, musiała go we wszystko wprowadzić.

- Jesteśmy rozwiedzeni - tłumaczyła. - Wcale nie spaliśmy ze sobą dziś w nocy. Prawdę mówiąc, nawet w małżeństwie nie sypialiśmy ze sobą zbyt często...

- On mnie gównie obchodzi - przerwał jej F. Scott.

- Daj mi szansę - ciągnęła Louise. - Chcę się wytłumaczyć. Przepraszam cię za to, co zrobiłam wczoraj, to było głupie, bezmyślne, nietaktowne. Nie wiem, nie miałam pojęcia, co robię... Tak bardzo mi kogoś przypominasz, ale jednocześnie jesteś inny, miły, zabawny, cudowny, byłam z tobą szczęśliwa. - Louise zadziwiły własne słowa, lecz to była prawda, obcowanie z F. Scottem było może szaleństwem, ale tak ją uszczęśliwiało. - Wszystko, co czułam, było wspaniałe, ale zarazem pogubiłam się w tym, a potem wymknąłeś mi się... - Kiedy wypowiedziała to na głos, zdała sobie sprawę, co ją tak dręczyło. - Zniknąłeś. Zostawiłeś mnie samą w łóżku po wspólnie spędzonej nocy, nie napisałeś nawet kartki, nie zatelefonowałeś...

F. Scott cofnął się o krok. F. Scott zaczerwienił się.

- Sam nie wiem. Wiem tylko, że chociaż nie spędziliśmy ze sobą wiele czasu, chociaż tylko dwa razy się przespaliśmy, dla mnie to było wspaniałe, to, co między nami zaszło. Zbyt wspaniałe, jeśli chcesz wiedzieć...

Louise skinęła głową. Jej też wydawało się to zbyt wspaniałe.

F. Scott wepchnął ręce głęboko w kieszenie.

- Obudziłem się, zobaczyłem cię pogrążoną we śnie, byłaś taka śliczna, znajoma i zarazem nieznajoma, hm, nie potrafiłem sobie z tym poradzić. Rozumiesz mnie? Musiałem sobie wszystko uporządkować, musiałem... ale to chyba nie usprawiedliwia twojego zapomnienia z Przemądrzalskim?

Louise parsknęła śmiechem.

- Skąd wiesz, że to Przemądrzalski?

- Nocny marek - uzupełnił F. Scott. Zdawało się, że za chwilę się rozplącze.

- Och, F. Scott! - zawołała Louise. Wyciągnęła rękę, ale ręka zawisała w próżni. F. Scott nie podszedł, więc Louise, też stojąc w miejscu, cofnęła dłoń. - Do niczego między nami nie doszło - zapewniła.

- Spodziewasz się, że w to uwierzę? - F. Scott przygładził ręką zmierzwiłone włosy. - Spodziewasz się, że uwierzę, że nic nie zaszło między tobą a tym dupkiem?

- Spodziewam się, że mi uwierzysz - powtórzyła Louise.

Teraz F. Scott popadł w histerię. Zaczął się śmiać; śmiał się i śmiał bez końca. Skręcał się ze śmiechu, błagalne spojrzenia Louise jeszcze bardziej go rozbawiły.

- Spodziewasz się, że ci uwierzę? Co za pomysł.

- Co się z tobą dzieje?

- Co się ze mną dzieje? Co się ze mną dzieje? Coś się dzieje, prawda? Ty mi powiedz, co się ze mną dzieje. Uważasz, że jestem jakimś kretynem, który wrócił z zaświatów, i jeszcze masz czelność pytać mnie, co się ze mną dzieje... - Potrząsnął głową i trochę się uspokoił. Ukrył twarz w dłoniach. Spojrzał na Louise, łzy popłynęły mu po policzkach.

Wielki Boże, pomyślała Louise, cóż ja najlepszego zrobiłam?

- Nigdy się z nikim tak nie czułem, nigdy nie czułem czegoś takiego do nikogo. Tak, jakbyś mnie już wcześniej znała. Jakbyś wiedziała, co myślę, zanim jeszcze to powiedziałem. Nawet seks...

F. Scott Feinstadt patrzył jej prosto w oczy, a po policzkach wciąż płynęły mu łzy. Otarł nos grzbietem dłoni. Louise wyciągnęła rękę, wytarłaby mu nos własną ręką, wytarłaby nos temu rozzalonemu i rozzłoszczonemu dzieciakowi starą koszulą Petera, którą wciąż miała na sobie.

F. Scott Feinstadt jej nie pozwolił. Odepchnął jej wyciągniętą rękę.

- I oczywiście ty mnie znałaś, tak? Znałaś mnie, bo jestem dla ciebie czymś w rodzaju mamidła. Inną postacią jakiegoś fagasa, który cię puścił w trąbę, kiedy byłaś w szkole? Jego wcieleniem, czy jak to nazwać. Jak to powiedziała ta suka Missy? Pieprzony Frankenstein. Ucieleśnienie twojej samotności i żałoby. I Missy. To ta suka jest twoją najlepszą przyjaciółką, tak? Znać mnie, bo znałyście jego, a ja jestem dla was duchem jakiegoś dawnego szkolnego gacha. Takie nawiedzenie.

Louise patrzyła na F. Scotta bez ruchu. Spływał potem, zalewał się łzami, z nosa mu ciekło; rozpląwał się na jej oczach.

- Rozmawiałeś z Missy?

- A jak! Co innego mogłem zrobić? Nie spałem całą noc. Odwiedziłem chyba wszystkie nocne bary w tym mieście, a potem poszedłem do Missy. Opowiedziała mi wszystko o tobie. Siedzieliśmy przy kawie. W jej apartamencie w tym głupim hotelu „Carlyle”.

Niech szlag trafi Missy.

- A potem - ciągnął F. Scott. Trzęsły mu się ręce. Patrzył na swoje drżące dłonie. - A potem usiłowała zaciągnąć mnie do łóżka.

Splunął na podłogę. Na podłogę w mieszkaniu Louise. Na drewnianą podłogę, tuż obok perskiego dywanu. Strzęp wstrętnych gęstych glutów.

Louise nie miała pojęcia, co powiedzieć. Która z nich okazała się gorsza? Louise czy Missy? Jak mogły tak potraktować F. Scotta?

- Wybacz, F. Scott... Ja...

- Nie nazywam się F. Scott. Francis. Francis Scott Key Feinstadt. Mój chrzaniony dupkowaty biologiczny ojciec tak

mnie nazwał. Miał pewnie bzika na punkcie Fitzgeralda. Podpisałem się skrótem, gdyż wydawało mi się to fajne. W domu mówiono na mnie po prostu Scotty.

Poza tym ojciec nie pochodził z Larchmont. Gdzieś z przedmieść Baltimore, i był tak stary, że mógłby być moim dziadkiem. Uczył mamę literatury, jak chcesz wiedzieć, i był żonaty. Wychował mnie ojczym, Feinstadt, a on pochodził z Cincinnati, żeby ci czasem nie przyszło do głowy, że jestem ukochanym dzieckiem twojego eksfagasa. Missy już to przerabiała. Chyba że jestem wcieleniem lub ucieleśnieniem jakiegoś innego wspomnienia...

F. Scott nie przestawał potrząsać głową, jakby starał się wytrząsnąć z niej wszelkie myśli.

- Według ciebie nie jestem nawet samodzielnym artystą. Jestem przedłużeniem jego talentu, epigonem...

- Ależ to nieprawda - zaprzeczyła Louise.

- Skąd wiesz? Nigdy nie widziałaś moich prac. Coraz bardziej czerwieniał na twarzy. Zdawało się, że za chwilę eksploduje.

- Uspokój się - prosiła Louise. - Za chwilę coś ci się stanie.

F. Scott chwycił się za klatkę piersiową.

- Chyba puściły mi nerwy.

- Boże, tak mi przykro, przepraszam - powiedziała Louise. Powinna była zdawać sobie sprawę, że to ona jest przyczyną tego całego zamieszania, ona, nie on. Powinna była wiedzieć, że F. Scott Feinstadt to żywa osoba osadzona w prawdziwym życiu. I tak powinna go traktować. Teraz tak go będzie traktować.

- Wybacz. Oszalałam. Odebrało mi rozum. Źle postąpiłam. Nie chciałam cię zranić...

F. Scott wycelował palcem w jej twarz.

- Wcale nie chodziło ci o mnie. Louise cofnęła się. Zasłoniła się rękami.

- Już dobrze, Scotty.

- Nie zwracaj się tak do mnie - powiedział F. Scott. Zadzwoił telefon. Włączyła się automatyczna sekretarka. Peter.

- Lou? To ja. Jeśli nie odbierzesz, zatelefonuję na policję, słyszysz, na policję.

Louise ruszyła, aby podnieść słuchawkę. Jednocześnie F. Scott skierował się ku drzwiom.

- Nie odchodź. Proszę.

- Chyba żartujesz.

- Rozłączam się i dzwonię na policję - mówił Peter do sekretarki.

Louise złapała słuchawkę.

- Nic mi nie jest, Peter. Oddzwonię do ciebie. - Rozłączyła się. - F. Scott, błagam, zostań!

Trzasnął drzwiami. Louise pobiegła za nim.

- F. Scott! Scotty, poczeka!

Ale on już szedł korytarzem. Otworzył drzwi ewakuacyjnej klatki schodowej. Zniknął, zatraskując za sobą drzwi.

Zaczął wyc alarm.

W mieszkaniu rozdzwoił się telefon.

- Louise, tu mama...

Kolejny telefon przerwał połączenie. Dzwonek. Dzwonek. Peter.

- Louise? Czy nie rozmawiasz z własnej woli? Czy może on...

Stuknięcie. Missy.

- Nie wiem, czy powinnam się w to mieszać, ale ten dzieciak, kiedy z nim porozmawiałam, wydał mi się kompletnie zwa...

Klik. Dzwonek. Dzwonek.

- Louise? Louise? Tu mama. Czy coś się stało? Klik. Dzwonek. Dzwonek.

Louise stała w opustoszałym korytarzu i słuchała, jak mama, Peter i Missy nagrywają się na jej automatyczną sekretarkę. Wreszcie podniosła słuchawkę.

- Missy - odezwała się. - Musimy porozmawiać.

Spotkały się w holu „Carlyle”. Missy siedziała na kremowej kanapie, na ślicznym stoliku przed nią stała filiżanka kawy. Pozostali goście byli siwowłosi, elegancy. W dzinsach i kaszmirowym sweterku Missy przypominała zabląkaną tu przypadkowo nastolatkę, a była przecież dobiegającą średniego wieku, do szpiku kości zepsutą dziwką. Kiedy Louise szła ku niej przez hol, uśmiechnęła się znad kawy.

- Witaj, staruszek. Coś ty zrobiła z włosami?

Louise uczesała się w koński ogon, zawiązała go jakąś starą skarpetką Petera. Wpadła jej w ręce, kiedy w pośpiechu przeszukiwała garderobę. Louise odruchowo sięgnęła do skarpety, ale zaraz pomyślała, nie, nie dam się już nabrać, nie będziesz sobie więcej na mnie używać, Missy, jestem odporna na twoje zagrania, i po chwili opuściła rękę.

Usiadła w fotelu naprzeciwko Missy.

- Jesteś wyrachowana, podstępna i okrutna - stwierdziła.

- Och, daj spokój! - zawołała Missy. - Wygrałaś tę rundę. Czy to takie przyjemne siedzieć tu i napawać się swoim triumfem?

- Napawać się triumfem? - zdziwiła się Louise. - Ten biedny chłopak cierpi z naszego powodu. A ty twierdziłaś, że go kochasz.

- Och, tylko go pożałowałam, bo ty go miałaś - powiedziała Missy. Upiła łyk kawy.

To oczywiście była prawda. Ale jednak. Słyszeć, jak Missy przyznaje się do czegoś takiego!

- To prawda?

- Jasne, że prawda - przyznała Missy. - Przynajmniej Marcos tak uważa.

- Opowiedziałas to wszystko Marcosowi?

- Oczywiście. - Missy nie potrafiła powstrzymać się od złośliwego uśmiešku. - Wylatuje z lotniska Charles'a de Gaulle'a najbliższym samolotem. W weekend mamy się spotkać w Napa...

Ona jest nie do pokonania, pomyślała Louise. Gdybym miała choć trochę jej zimnej krwi. To nie zimna krew, to zdrowy rozsądek.

- Słuchaj - ciągnęła Missy - gdyby naprawdę był Scottem Feinstadtem, to... - Missy przeciągała głoski, zaczęła wykonywać rękami okrągłe gesty, które towarzyszyły modulacjom jej głosu jak w grze cieni na ścianie. Dodawały wiarygodności jej słowom. - On jest za miękki. Oryginał był bardziej bez serca. Bardziej seksowny. I większy, o wiele większy drań. - Westchnęła. W tym westchnieniu dało się odczuć żal i tęsknotę. Jej także go brakowało. To jasne... - Ale co można na to poradzić - dodała. - Czasu nie da się przecież zawrócić, żadną miarą.

Zapaliła papierosa, drugiego podsunęła Louise. Ta wzięła go drżącą ręką.

Missy spojrzała na Louise. Z wyrazem szczerego żalu. I czułości. Tak, w jej spojrzeniu była także czułość. Niezapalony papieros zwisał z warg Louise. Missy nachyliła się i podała jej ogień.

- Świat jest nieprzewidywalny i pełen tajemnic - stwierdziła Missy. - A największą niespodzianką, Louise, jest to, że tym razem przytrafiło się to tobie.

Co? Co?

- Co? - spytała Louise. Missy wstała.

- Muszę się pakować, słoneczko. Wolałabym się nie spóźnić na samolot.

- Co? - powtórzyła Louise. - Co mi się przytrafiło? Odpowiedz mi, do cholery!

Missy wyjęła czek, podpisała go. Potem popatrzyła Louise prosto w oczy.

- Znasz starą bajkę o płatkach śniegu. Może dwa płatki śniegu okazały się bardzo do siebie podobne, ale tym razem będziesz miała więcej szczęścia. Ten płatek śniegu naprawdę cię lubi. Dziwne rzeczy się zdarzają.

- Nie, nie zdarzają się - zaprzeczyła Louise.

- Owszem - upierała się Missy. - Spójrz na historię świata.

- Przesłała Louise pocałunek i poszła.

Kiedy Louise się pojawiła, Farrah siedziała w recepcji, znajdującej się przed gabinetem Petera. Louise wiedziała, kim jest ta piękna młoda kobieta. Rozpoznała ją po srebrnym pierścionku na kciuku, po czarnym lakierze na paznokciach u nóg, po eleganckiej czarnej koszulce i szkarłatnym batikowym sarongu. Różowej apaszce. Po tym, jak zgasła jej twarz, kiedy ujrzała Louise przed biurkiem. Farrah bez wątpienia od razu wiedziała, z kim ma do czynienia.

Louise dalej miała na sobie starą koszulkę Petera, powyciągane duże dżinsy, w których przypominała hipisa, i włosy miała związane tą samą zniszczoną skarpetką.

- Czy zastałam profesora Harringtona? - spytała. Farrah podniosła głowę. Miała ogromne, piwne oczy.

Przypominała sarnę, schwytaną światłami reflektorów. Ofiarę tuż przed ciosem sztyletu. Spojrzała na Louise, jakby ta miała ją zranić.

- Pani Harrington? - upewniła się Farrah.

- Tak. Nie. Po prostu Louise.

- Dam znać, że pani przyszła.

- To niepotrzebne - odezwał się Peter. Stał w drzwiach swojego gabinetu. Przenosił wzrok z jednej kobiety na drugą. - Właśnie zamierzałem się trochę przejść.

- Mogę ci towarzyszyć? - spytała Louise.

- Oczywiście. Farrah, odbieraj moje telefony.

Farrah spojrzała na Petera badawczo. Wymownym wzrokiem. Skinął jej głową, ona odpowiedziała mu tym samym, przygryzając dolną wargę. Louise wydało się, że dostrzegła w jej języku błysk srebrnego sztyftu. W innym świecie, innym życiu, mogłaby skojarzyć F. Scotta z Farrah, ale nie teraz.

- Oczywiście, Peter... to znaczy, panie profesorze - odparła Farrah.

Czuję się, jakbym grała w filmie, myślała Louise, kiedy w milczeniu szli z Peterem korytarzem, zostawiwszy tę drobną dziewczynę samotną za wielkim, wspaniałym biurkiem. Jak morderczynie. Zwycięzczynie. To już nie jest sprawa między nią a Peterem. Teraz są w to wmieszane inne osoby. Harringtonowie nie stanowią już odrębnego świata.

Nigdy nie stanowiliście odrębnego świata. Zawsze ktoś jeszcze w tym świecie był. Dzięki za przypomnienie. Ty też nie jesteś bez grzechu. Zamknij się, mamó. Ale masz jeszcze szansę. To jest twój mąż. Był, mamó, pomyślała Louise, był. Na dworze, na terenie kampusu, tętniło życie. Lekki wietrzyk unosił krążki frisbee, na trawniku leżeli półnaczy wielbiciele opalenizny. Co pewien czas któryś ze studentów leniwie zaglądał do otwartego podręcznika. Na placyku stał wózek z importowanymi z Ekwadoru ciuchami, lecz nikt w nich nie grzebał, a para leciwych hipisów drzemała nad nimi w szacownych rozkładanych fotelach. Na uniwersytecie Columbia życie toczyło się zwykłym trybem.

Ani Peter, ani Louise nie wszczynali rozmowy.

Wreszcie on przerwał milczenie.

- Widzę, że jednak żyjesz - stwierdził Peter.
- Owszem - potwierdziła Louise. - Żyję.
- Ten chłopak mnie przeraził - mówił Peter. - Widziałas, że jestem przerażony, ale nie odbierałaś moich telefonów.
- Mówiłam, że dam sobie radę.
- I dałaś sobie.

Szli dalej. Minęli kampus, znaleźli się na Broadwayu.

- Mam dobre wiadomości, chcesz usłyszeć?
- Jasne - odpowiedziała Louise. Była spragniona dobrych wiadomości.

- Wczoraj Sammy sprzedał akcje w publicznej ofercie. Zarobiliśmy kupę forsy, Louise, mówię ci. No, może nie tyle, żeby zaraz odejść na emeryturę. Ale trochę później tak. Z fasonem. - W jego głosie brzmiała duma. - Ale zaraz dodał: - Chociaż na razie jesteśmy bogaci na papierze.

Na papierze? Czy to znaczy „na święty nigdy”? Emerytura? Czy któreś z nich myśli o emeryturze, dziś, kiedy każde w pewnym ważnym, głębokim sensie dopiero zaczyna? Ale czy ma wylać na niego kubeł zimnej wody? Peter czuje się uskrzydłony.

- Cudownie - zachwyciła się. - Więc Sammy naprawdę tego dokonał.

Świat jest nieprzewidywalny i pełen tajemnic.

- Czy Missy włożyła w ten interes pieniądze?
- Nie - roześmiał się Peter. - Chyba nie. Zero dla Missy. Punkt dla Louise.

Spacerowali z Peterem, każde napawało się uśmiechem losu, zastanawiając się, czy to okaże się trwałe.

- Teraz, kiedy świat należy do ciebie, czy to jest ten punkt, w którym mnie delikatnie zostawisz? - spytał Peter.

W jego głosie czuć było lekką ironię. Ale kiedy ośmieliła się spojrzeć mu w oczy, widać w nich było powagę. Uśmiechnęła się.

- Czy to jest ten punkt, w którym powiesz mi, że Farrah to autentyczna istota, wyposażona w autentyczne uczucia?

- To jeszcze dzieciak, Louise. Bardzo mi pomogła, wspierała mnie, ale czy zwiążemy się ze sobą? Bardzo wątpię.

- Tu Peter umilkł, jakby ta myśl nawiedziła go dopiero w tej chwili.

- Cóż, nie mogę powiedzieć, że mnie to zdziwiło. Chodzi mi o to, że co innego jest mieć romans ze studentką, gdy masz dwadzieścia osiem lat, a co innego, gdy dobiegasz wieku średniego.

- I ty to mówisz.

Louise zastanowiła się. Była o wiele starsza od F. Scotta, ale czy była zbyt stara?

- To coś zupełnie innego, Peter - powiedziała.

- Dlaczego? - zdziwił się Peter. - Ciebie obowiązują inne zasady?

Może tak, pomyślała Louise. Może zasady są inne, gdy chodzi o jedyną życiową szansę. A może zasady się nie liczą, kiedy spotykasz kogoś, kogo możesz pokochać.

Szli dalej. Przypomniała sobie wyraz oczu Farrah. Jakie były szeroko otwarte, gdy patrzyła, jak wychodzi z Peterem. Czy ona też miała takie oczy, gdy wiele lat temu zobaczyła Scotta Feinstadta z Missy? Jakie miał oczy F. Scott Feinstadt, kiedy Missy długo opowiadała mu żałosne historie z ich życia? Albo kiedy zastał u niej Petera? A jakie oczy miała ona, kiedy F. Scott Feinstadt opuszczał jej dom?

- Posłuchaj - odezwał się Peter. - Ja mam to powiedzieć czy ty to zrobisz?

- Między nami nic się nie ułoży - powiedziała Louise. - Mimo że się kochamy.

- Nie, nic się między nami nie ułoży - potwierdził Peter. Uśmiechnął się kącikiem warg. - Mimo że się kochamy. - I ujął jej dłoń.

Niespiesznie odprowadziła go do pracy.

Kiedy Louise wreszcie przypomniała sobie, że ma pracę, F. Scott siedział na marmurowej posadzce przed jej biurem. Szła okreśną drogą, mijając przeszklone gmachy i kierując się na Broadway. Przystanęła, by zjeść precla i wypić wodę sodową, potem pospacerowała po parku, nad rzeką, dłuższą chwilę postąła, podziwiając wiry na wodzie, zastanawiając się, co by było, gdyby wskoczyła, zanurkowała i spróbowała w nich popływać. I wreszcie ruszyła do kampusu.

Siedział przed drzwiami jej biura, popijając kawę z kubka, który trzymał w papierowej torebce.

- F. Scott - odezwała się.

- Louise. - Wręczył jej kopertę. Czy to zerwanie?

- Od ciebie? Dla mnie?

- Nie - odparł F. Scott. - Była przyklejona taśmą do twoich drzwi.

Louise powoli otworzyła kopertę. Szybko przebiegła wzrokiem pierwsze linijki: „Gratuluję! Została Pani mianowana pełnomocnikiem do spraw rekrutacji na Wydziale Sztuk Pięknych uniwersytetu Columbia...”

Louise miała ochotę roześmiać się w głos. Ale popatrzyła tylko na F. Scotta.

- Przykro mi - powiedziała. - Przepraszam za wszystko.

- Przepraszasz? - zdziwił się F. Scott. - Przykro ci, Louise? A mnie nie.

Usiadła obok niego. Nawet przez dzinsy czuła chłód marmurowej posadzki. Taki piękny chłopak. Ale to już nie chłopak, już nie. Na jego twarzy pojawiła się zapowiedź zmarszczek, rysy przeszłości. Będzie miły, inteligentny, poważny, bardziej skomplikowany, niż się wydawało; bez względu na to, jaka okaże się jego przyszłość. Jeśli idzie o Scotta Feinstadta, nigdy już nie będzie wiadomo, jakim stałby się mężczyzną, mimo że starała się wyobrazić to sobie, z

miłością wpatrując się w jego uśpioną twarz, tamtej nocy, którą spędzili razem, kiedy rodzice Scotta wyjechali na weekend, albo wtedy, kiedy sypiał z Missy, a ona, samotna i opuszczona w głębokich, martwych ciemnościach nocy, wciąż widziała jego przymknięte powieki, słyszała równy oddech, widziała rozchylone wargi, srebrzystą smużkę śliny na poduszce. Czekala bez końca w środku nocy, gdyż oczyma duszy widziała go śpiącego, i nieważne było, kto śpi obok niego. W otoczce snu Scott Feinstadt był sam. Dlatego jego śmierć okazała się dla niej pocieszeniem. W otoczce śmierci także był sam, może nie z nią, ale też z żadną inną. W jego samotnej śmierci był triumf Louise. A teraz siedziała tu z F. Scottem, żywym i niepograżonym we śnie, jeszcze nie mężczyzną, a już nie chłopcem, siedzieli oboje, wystawieni na widok publiczny, wspierając się nawzajem. Mimo wszelkich podobieństw do Scotta Feinstadta był kimś zupełnie innym. On miał wrażliwe serce.

- Mnie nie jest przykro - powiedział F. Scott - bo cię poznałem. A gdybym nie zjawił się z przeszłości, nigdy byś mnie nie poderwała i nie miałbym okazji cię poznać. A to było bardzo przyjemne, to znaczy, dopóki nie wyprułaś mi flaków.

Uśmiechał się do niej, choć wyglądał, jakby go coś dręczyło. Zdawało się, że chce ją o coś zapytać, lecz nie zdobył się na odwagę.

Ale Louise postanowiła odpowiedzieć na to niezadane pytanie.

- Nie pochodzisz z tamtego życia. Należysz do naszej realnej rzeczywistości.

- Cóż, świetnie to wiedzieć - oświadczył F. Scott z wyraźną ulgą. - Nie uważasz więc, że jestem jakimś umarlakiem...

- Nie. To Scott Feinstadt nie żyje.

Umarł. Scott Feinstadt umarł. Ona go kochała, a on umarł. Gdyby żył, może nie wytrwałaby w swojej miłości. Ale on umarł, a ona trwała 'w miłości, świadoma tego czy nie, czy zasługiwał na to, czy nie. Mimo że nie potrzebował tej jej miłości, tej wiecznej miłości i zmarnował ją. Scott Feinstadt umarł. I to koniec tej całej cholernej sprawy.

Jest martwy jak kłoda. Nie ma go. W tym liście nie będzie postscriptum.

- On nie żyje, a ty nie jesteś nim - powiedziała Louise.

Minęło trochę czasu, nim dotarła do niej doniosłość tego stwierdzenia. Skoro F. Scott nie jest wcieleniem Scotta, musi być kimś z krwi i kości. Może Missy mówiła prawdę, świat jest nieprzewidywalny i pełen tajemnic. Może to jest szansa Louise... Szansa na prawdziwą i trwałą miłość. To ją przerażyło. Serce, ten zawodny mięsień, źródło lęku i paniki, zamarło na chwilę, nie mogła złapać oddechu. Louise Harrington nie mogła zaczerpnąć powietrza, chociaż starała się ze wszystkich sił, serce waliło jak oszalałe, jakby próbowało się wyrwać z jej piersi, samo zachłysnąć się powietrzem, skoro odrętwiałe płuca odmawiały posłuszeństwa. Dusiła się, poczerwieniała, łapiąc oddech, rozpaczliwie szukała tlenu.

- Nie mogę odetchnąć - krztusiła się Louise. - Naprawdę.

Jakby ktokolwiek, kto ma oczy, mógł w to wątpić.

Świat bez powietrza stał się szary jak ta papierowa torebka F. Scotta. Wszystko, co Louise, dusząc się, dostrzegała wokół siebie, miało wygląd białych i szarych plam, układających się w zamgloną postać F. Scotta Feinstadta. Ogromnie zaniepokojonego F. Scotta Feinstadta. F. Scotta Feinstadta, który jej wierzy. Który wie, że nie udaje. Który wie, że nie może oddychać. Zaraz zemdleje. Louise pomyślała, że właśnie traci przytomność lub umiera. Ostatni widok, jaki pozostanie mi w oczach, to F. Scott, który mi wierzy.

To byłoby zbyt piękne. Pożyjesz i jeszcze niejedno zobaczysz.

- Chwileczkę - powiedział F. Scott. Wyjął z torebki kubek z kawą i podsunął jej torebkę pod usta i nos. - Masz, oddychaj głęboko. - Jedną ręką mocno i pewnie przytrzymał torebkę, a drugą gładził Louise po włosach.

Co zrobiłby w tej sytuacji Scott Feinstadt? Louise nie wiedziała i nic jej to nie obchodziło. Słuchała poleceń F. Scotta.

Oddychała. Oddychała głęboko we wnętrzu torebki. Oddychała i oddychała, aż nagle świat znów nabrał barw, podobnie jak jej policzki.

- Oddychaj, Louise. - W głosie F. Scotta słyhać było troskę i niepokój. To ją uspokajało.

Louise słuchała go. Oddychała w skupieniu. I w pewnej chwili wrócił jej normalny oddech, a wraz z nim życie. Znow zaczęła oddychać bezwiednie. Papierowa torebka wypadła jej z rąk na marmurową posadzkę.

Już spokojna, skupiła się na czym innym. Na F. Scotcie, który patrzył na nią w zdumieniu. Boże, jakież on jest wspaniały. Jakby żył tylko dla niej. Ogarnęło ją przemożne uczucie miłości.

- F. Scott?

Spojrzał w dół na torebkę. Schylił się i podniósł ją. Przez chwilę trzymał w rękach. Kiedy pomyślała, że już dłużej tego nie zniesie, nie zniesie tego, że na nią nie patrzy, F. Scott podniósł głowę, a w Louise serce urosło. Popatrzył na nią i triumfalnie pomachał torebką w powietrzu. Louise uśmiechnęła się do niego. Odpowiedział jej szerokim uśmiechem, tak szczerym, tak wyrazistym, tak szczęśliwym, że Louise roześmiała się w głos. Wyglądał jak zakochany mężczyzna. Jak to możliwe, że spotkało ją takie szczęście?

- Hej! - zawołała. - Pomogło.

